

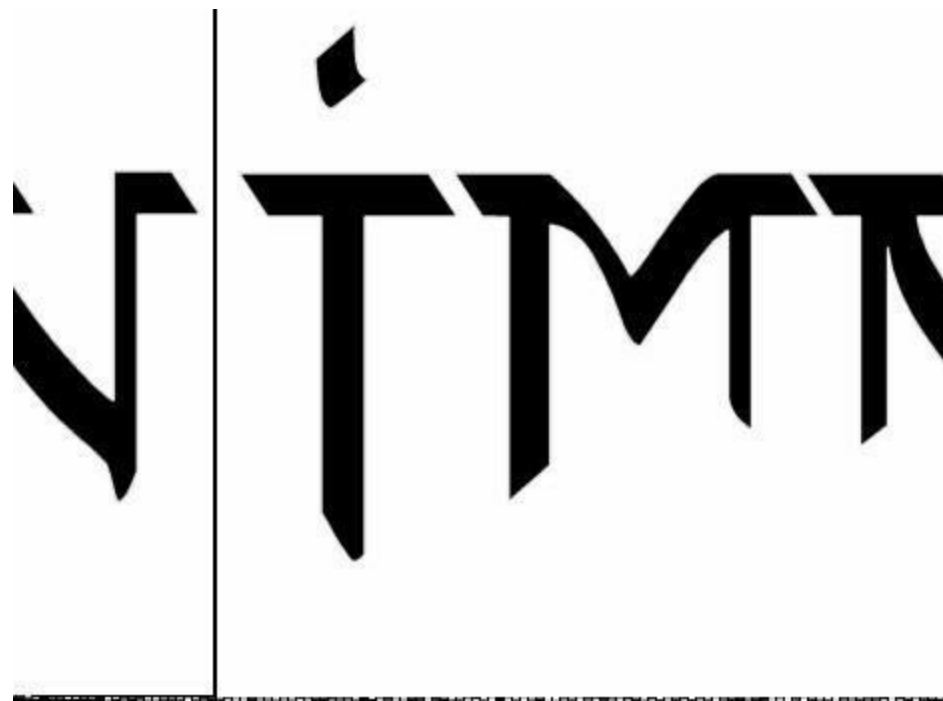
**JULIUSZ VERNE**  
**WYPRAWA DO WNETRZA ZIEMI**



**JULIUSZ VERNE**

# WYPRAWA DO WNEŹTRZA ZIEMI

Voyage au centre de la Terre



Przekład: Ludmiła Duninowska

**Data wydania polskiego: 1990**



## Rozdział I

W niedzielę 24 maja 1863 roku wuj mój, profesor Lidenbrock, wrócił w wielkim pośpiechu do swego domu pod numerem 19 na Königsstrasse, jednej z najstarszych ulic wiekowej dzielnicy Hamburga.

Służąca Marta była zapewne przekonana, że mocno spóźniła się z obiadem, który zaczynał dopiero perkotać na płycie kuchennej.

„Ładna historia! – pomyślałem sobie. – Jeżeli wujaszek, najbardziej niecierpliwy człowiek, jakiego znam, jest głodny, narobi zaraz wielkiego krzyku!”

– Jak to? – zawołała ze zdziwieniem Marta, uchylając drzwi od jadalnego pokoju. – Pan Lidenbrock już przyszedł?

– Tak, Marto, ale na obiad jeszcze czas; nie ma drugiej, dopiero co wybiła pierwsza trzydzieści u Świętego Michała.

– To dlaczego pan profesor wraca?

– Zapewne zaraz nam to wyjaśni.

– Oto on! Uciekam... Proszę mu tam przemówić do rozsądku, panie Akselu.

I poczciwa Marta powróciła do swego kulinarnego laboratorium.

Zostałem sam. Lecz przemówić do rozsądku temu najbardziej popędliwemu spośród profesorów – nie, na to nie mogłem się zdobyć przy moim trochę niezdecydowanym charakterze. Już-już zamierzałem wycofać się ostrożnie do swego pokoiku na górze, gdy skrzypnęły drzwi frontowe, odgłos zamaszystych kroków rozległ się na drewnianych schodach i pan domu, minawszy szybko jadalnię, wpadł jak szalony do swego gabinetu. Ale w czasie tej krótkiej chwili cisnął w kąt laskę z ciężką, masywną gałką, na stół – szeroki, włochaty kapelusz, siostrzeńcowi zaś rozkazał donośnym głosem:

– Chodź tu do mnie, Akselu!

Nie zdążyłem ruszyć się z miejsca, a już profesor wołał, wyraźnie zniecierpliwiony:

– No jak, jeszcze cię tu nie ma?! Pośpieszyłem do gabinetu mego groźnego opiekuna.

Czuję się w obowiązku wyjaśnić, że Otto Lidenbrock bynajmniej nie był złym człowiekiem, ale jeżeli nie zajdą jakieś nieprzewidziane zmiany – co jest mało prawdopodobne – wuj mój pozostanie aż do śmierci niebywałym dziwakiem.

Był profesorem tutejszego uniwersytetu, prowadził wykłady z mineralogii i na każdym przynajmniej ze dwa razy wpadał w okropną złość. Nie chodziło mu wcale o to, by słuchacze uczęszczali pilnie na jego wykłady, okazywali wielkie zainteresowanie przedmiotem i osiągnęli z czasem sukcesy na polu naukowym – nie przejmował się tego rodzaju drobiazgami. Wykładał „podmiotowo”, używając określenia filozofii niemieckiej, dla własnej satysfakcji, a nie z myślą o innych. Był to uczyony należący do typu egoistów, studnia wiedzy, której kołowrót skrzypiał, kiedy chciało się coś z niej wydobyć, jednym słowem – skąpiec.

Zdarzają się w Niemczech tacy profesorowie. Na nieszczęście wuj mój miał pewną trudność w wysławianiu się, co nie tyle dawało mu się we znaki w gronie najbliższych, ile wtedy, gdy występował publicznie. Trzeba przyznać, że była to nader przykra wada dla mówcy.

W czasie wywodów w Johanneum profesor częstokroć zaciął się, staczał walkę z jakimś opornym słowem, które stawało mu sztorcem w gardle, jednym z owych słów, które potrafią sprzeciwić się, pęcznić i wydostają się wreszcie z ust jako przekleństwo – to znaczy w zgoła nienaukowej formie. I tu właśnie tkwił powód wybuchów złości mego wuja.

W mineralogii istnieje mnóstwo nazw trudnych do wymówienia, surowych terminów, które raziłyby ucho poety. Nie chcę źle się wyrażać o tej gałęzi wiedzy, daleki jestem od tego. Lecz gdy stanie się oko w oko z krystalizacją romboidalną, z wulfenitem, tungstytem wolframowym lub tytaniumem cyrkonu, nawet najbardziej wyćwiczony język może sprawić zawód.

Otóż całe miasto wiedziało o tej skądinąd wybaczalnej wadzie wymowy wuja i wykorzystywano to, czyhano na krytyczne momenty jego wykładów, a wówczas wuj wpadał we wściekłość, audytorium natomiast zaśmiewało się, co było doprawdy bardzo niesmaczne i rażące. Jeśli słuchacze napływali tłumnie na wykłady Lidenbrocka, wielu spośród nich uczęszczało na nie pilnie głównie dlatego, aby ubawić się kosztem wybuchów złości profesora.

Tak czy owak, wuja mego zaliczyć należało w poczet prawdziwych uczonych, co raz jeszcze pragnę podkreślić. Chociaż nieraz niszczył okazy manipulując nimi zbyt gwałtownie, obok talentu geologa posiadał też oko mineraloga. Gdy operował młotkiem, stalowym rylcem, namagnesowaną igłą, dmuchawką czy flaszką z kwasem, azotowym, był mistrzem w swoim zawodzie. Po przełamie, wyglądzie, twardości, topliwości, dźwięku, zapachu i smaku danego minerału potrafi określić bez wahania, do jakiej kategorii należy.

Toteż nazwisko Lidenbrock wymawiano ze czcią w zakładach naukowych i krajowych towarzystwach geologicznych. Uczni tej miary, co Humphry Davy, Humboldt i Sabine, nie omieszkali złożyć mu swego uszanowania, gdy gościli przejazdem w Hamburgu. Becquerel, Ebelman, Brewster, Dumas, Milne-Edwards chętnie zasięgali jego rady co do najbardziej pasjonujących problemów z dziedziny fizyki i chemii. Ta gałąź wiedzy zawdzięczała mu niejedno doniosłe odkrycie, a w 1853 roku ukazały się w Lipsku „Problemy krystalografii” profesora Ottona Lidenbrocka, wielkie dzieło in folio z rycinami, które jednak przyniosło wydawcy znaczne straty materialne.

Ponadto wuj miał w swojej pieczy, jako kustosz, muzeum mineralogiczne ambasadora rosyjskiego, pana Struve, cenne zbiory, głośnie w całej Europie.

Tak wyglądała z grubsza osobistość, która wzywała mnie tak niecierpliwie. Wyobraźcie sobie poza tym mężczyznę cieszącego się żelaznym zdrowiem, wysokiego i szczupłego, z jasną jak u młodzieńca czupryną, co ujmowało mu co najmniej dziesięć lat. Jego wielkie oczy biegały nieustannie za szklami dużych okularów; nos, długi i cienki, przypominał wyostrzoną klingę; złośliwi twierdzili nawet, że był namagnesowany i przyciągał żelazne opiłki, co było oczywistą potwarzą, przyciągał bowiem jedynie tabakę, prawdę mówiąc – w pokaźnych ilościach.

Jeśli dodam jeszcze, że wuj stawiał sążniste kroki, odmierzone nieomal z matematyczną dokładnością, że idąc zaciskał mocno pięści – nieomylny znak gwałtownego temperamentu – będziecie mieli pełny obraz tego człowieka, niezbyt zachęcający z towarzyskiego punktu widzenia.

Mieszkał we własnym małym domku na Königsstrasse, zbudowanym na poły z cegły, na poły z drzewa, o ząbkowanej ścianie szczytowej; domek stał nad jednym z owych krętych kanałów krzyżujących się w najstarszej dzielnicy Hamburga, która na szczęście ocalała podczas pożaru w 1842 roku.

Wprawdzie stary dom pochylił się nieco i wypinał brzuch na przechodniów, nosił też dach cokolwiek na bakier jak młodzieniec należący do studenckiej korporacji swoją czapkę, a jego pion pozostawiał wiele do życzenia, na ogół jednak trzymał się nieźle dzięki sędziwemu wiązowi, który wkleszczył się w jego fasadę i na wiosnę wciskał w okna swoje kwitnące gałązki.

Wuj mój, jak na niemieckiego profesora, był dość zamożnym człowiekiem. Dom był jego niepodzielną własnością wraz ze wszystkim, co zawierał. Zawierał zaś przede wszystkim chrześniaczkę profesora, młodziutką siedemnastoletnią Gretę rodem z podhamburskiej wsi, służącą Martę oraz mnie. Będąc siostrzeńcem profesora, a w dodatku sierotą, zostałem jego pomocnikiem i laborantem, biorącym udział w jego doświadczeniach.

Przyznam szczerze, że zasmakowałem w naukach geologicznych, zamiłowanie do mineralogii miałem po prostu we krwi i nigdy nie nudziłem się w towarzystwie moich cennych kamieni.

Słowem, można było pędzić szczęśliwy żywot w owym domku przy Königsstrasse, mimo gwałtownego charakteru jego właściciela, który zresztą kochał mnie po swojemu, aczkolwiek miłość ta przejawiała się w sposób dość szorstki. Człowiek ten bowiem nie umiał czekać, stale mu się śpieszyło, i to o wiele bardziej aniżeli przyrodzie. Gdy w kwietniu zasadził w fajansowych donicach w salonie flance rezedy lub powoju, co rano regularnie pociągał je za listki dla przyspieszenia ich wzrostu.

Skoro się miało do czynienia z takim dziwakiem, nie pozostawało nic innego, jak być mu powolnym. Toteż pośpieszyłem do jego gabinetu.

Gabinet ten był prawdziwym muzeum. Znajdowały się tam wszystkie okazy królestwa minerałów, opatrzone etykietami i poszeregowane z ogromną dokładnością według trzech wielkich działów na minerały rudne, skalne i energetyczne.

Jak dobrze znałem wszystkie te mineralogiczne cacka! Ileż razy, zamiast zbijać bąki z rówieśnikami, wolałem okurzać grafity, antracyty, okazy węgla kamiennego, brunatnego i torfu! Były tam również próbki smoły ziemnej, żywice, sole organiczne, które trzeba było chronić od najmniejszego nawet pyłku. A te metale – począwszy od żelaza, skończywszy na złocie – których względna wartość znikła wobec absolutnej równości wszystkich tych okazów w obliczu nauki! Nie mówię już o wszelkich kamieniach – wystarczyłyby w zupełności na wybudowanie drugiego takiego domu jak nasz, nawet z dodatkowym pokojem, który tak bardzo by mi się przydał!

Lecz wchodząc wtedy do gabinetu, nie miałem czasu myśleć o owych cudach. Całą uwagę skoncentrowałem na osobie wuja. Siedział zagłębiony w swoim przepaścistym, obitym aksamitem fotelu i trzymał w ręku książkę wpatrując się w nią z niekłamanym zachwytem.

– Cóż to za książka! Cóż to za książka! – powtarzał raz po raz.

Okrzyk ten przypomniał mi, że w wolnych od zajęć chwilach profesor Lidenbrock był także zapalonym bibliofilem; ale książka dopiero wtedy nabierała wartości w jego oczach, kiedy była białym krukiem albo – co najmniej – kiedy nikt nie mógł jej odcyfrować.

– No i co? – rzekł do mnie. – Nie widzisz, co tutaj mam? Przecież ta księga to bezcenny skarb! Natrafiłem na nią dzisiaj rano, szperając w kramie Żyda Heveliusa.

– Wspaniała! – odpowiedziałem z wymuszonym entuzjazmem.

W rzeczy samej, po co wszczynać tyle hałasu z powodu starego tomiku in quarto, którego grzbiet i okładka zrobione były ze źle wyprawionej skóry cielecej, z powodu tej pożółkłej książczyny, przy której wisiała wyblakła zakładka?

Jednakże wykrzykniki profesora, wyrażając najwyższy podziw, nie ustawały ani na chwilę.

– Spójrz – mówił odpowiadając sam sobie na zadawane przez siebie pytania – czyż nie jest piękna? Tak, po prostu cudowna! Cóż za oprawa! Czy ta książka łatwo się otwiera? Tak jest! I pozostaje otwarta w dowolnym miejscu! A czy się dobrze zamyka? Tak, gdyż okładka i stronice tworzą zwartą całość i nigdzie nie rozdzielają się ani nie odstają. A ten grzbiet, który po upływie siedmiuset lat nie ma najmniejszego nawet załamania!

Mówiąc to wuj na przemian otwierał i zamykał starą książczynę. Chcąc nie chcąc musiałem spytać go o jej treść, jakkolwiek mnie to wcale nie interesowało.

– A jakiż jest tytuł tego wspaniałego dzieła? – spytałem z gorliwością zbyt pełną zapału, aby mogła być szczerą.

– Jest to kronika – odparł wuj z rosnącym ożywieniem – „Heims-Kringla” Snorre Turlesona, słynnego pisarza islandzkiego z XII wieku; zawiera dzieje książąt norweskich, którzy rządzą na Islandii.

– Naprawdę?! – zawołałem z udanym zachwytem. – Zapewne jest to przekład na język niemiecki?

– Cóż za pomysł! – oburzył się profesor. – Przekład?! A co by mi przyszło z przekładu? Po kiego licha mi przekład? To jest dzieło oryginalne, w języku islandzkim, w tym wspaniałym narzeczu, zarazem prostym i bogatym, które pozwala na najprzeróżniejsze kombinacje gramatyczne i liczne odmiany słów!

– Podobnie jak język niemiecki! – zręcznie podsunąłem wujowi.

– Tak jest – potwierdził wzruszając ramionami – z tą różnicą jednak, że chociaż w języku islandzkim istnieją trzy rodzaje, podobnie jak w greckim, imiona własne odmieniają się tak jak w łacinie.

– Ach! – zawołałem, zachwiany nieco w mej obojętności. – A czy czcionki w tej książce są piękne?

– Czcionki?! Co też ci przyszło do głowy, nieszczęsny chłopcze? Czyż tu może być mowa o czcionkach?! Widocznie wyobrażasz sobie, że to druk! Ależ to rękopis, nieuku, i to rękopis runiczny!

– Runiczny?

– Tak. Pewno teraz mnie zapytasz, co oznacza to słowo?

– Nawet mi to na myśl nie przyszło – odpowiedziałem tonem człowieka zranionego w swojej miłości własnej.

Lecz wuj nie poprzestał na tym i zaczął wyjaśniać mi sprawy, które mnie nic a nic nie obchodziły.

– Runy – podjął – to znaki pisarskie używane niegdyś na Islandii, które – jak głosi tradycja – zostały wynalezione przez samego Odyna. Spójrz no, bezbożniku, podziwiaj te znaki powstałe w wyobraźni boga!

Doprawdy, nie umiałem zdobyć się na replikę i gotów już byłem paść na twarz, jako że tego rodzaju odpowiedź winna przypaść do gustu zarówno bogom, jak i królom, ma bowiem tę zaletę, że nie stawia ich nigdy w kłopotliwej sytuacji, gdy nagle pewne niespodziewane wydarzenie skierowało rozmowę na inne tory. W tym bowiem momencie ukazał się na widowni lepki od brudu pergamin, który wysliznął się z książki i spadł na podłogę.

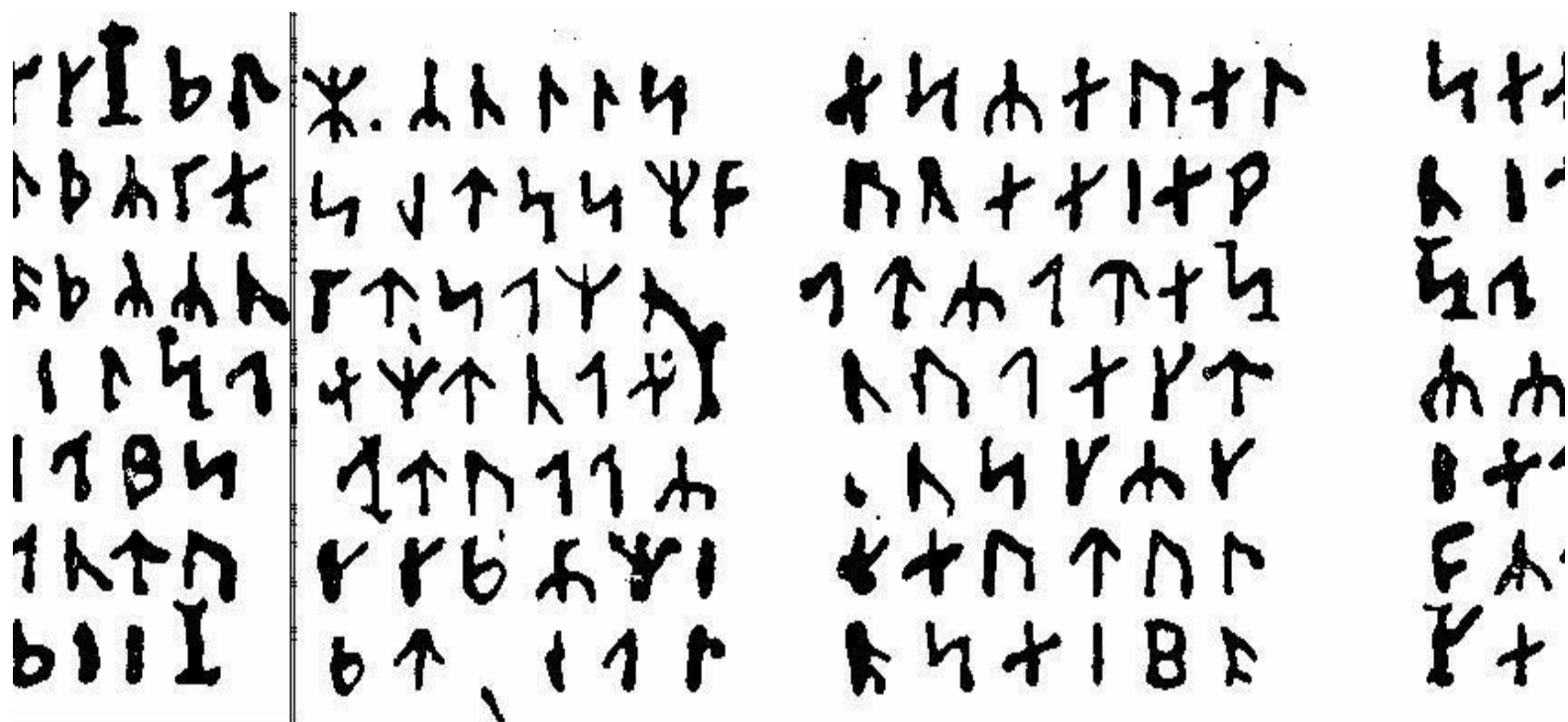
Wuj rzucił się na ten świstek z pożądlivością łatwą do zrozumienia. Stary dokument, uwięziony być może od niepamiętnych czasów w wiekowej księdze, musiał mieć wielką wartość w jego oczach.



– Co to jest?! – zawołał.

I jednocześnie rozłożył starannie na stole arkusik pergaminu, długi na pięć cali, szeroki na trzy, na którym widniały ustawione w poprzeczne linijki jakieś dziwaczne gryzmoły.

Oto dokładna ich kopia. Zależy mi na tym, by zaznajomić czytelnika z owymi znakami, one bowiem spowodowały, że profesor Lidenbrock i jego siostrzeniec przedsięwzięli najbardziej zdumiewającą wyprawę XIX wieku.



Profesor przyglądał się dłuższą chwilę kolumnie znaków, po czym orzekł zdejmując okulary:

– To pismo runiczne; te znaki są identyczne z tymi, które figurują w rękopisie Snorre Turlesona! Ale... co one mogą oznaczać?

Ponieważ runy były w moim pojęciu wymysłem uczonych dla wprowadzania w błąd naiwnych ludzi, odczułem pewną satysfakcję widząc, że wuj nic z tego nie rozumie. Przynajmniej tak mi się zdawało, gdy patrzyłem na ruchy jego palców, które drgały w niepokojący sposób.

– A jednak to język staroislandzki! – mamrotał pod nosem.

Profesor Lidenbrock powinien był znać się na tym doskonale, gdyż uchodził za prawdziwego poliglotę. Oczywiście, nie mówił biegle dwoma tysiącami języków i czterema tysiącami narzeczy używanych na kuli ziemskiej, ale w każdym razie znał niegorszą ich porcję.

Ponieważ stanął w obliczu komplikacji, miał właśnie puścić wodze swojej wrodzonej popędliwości; przewidywałem, że lada chwila nastąpi gwałtowna scena, gdy zegar stojący na kominku wydzwonił godzinę drugą.

W tym momencie poczciwa Marta otworzyła drzwi gabinetu i oznajmiła:

– Zupa na stole.

– Niech lichy porwie zupę – zawołał wuj – i tę, co ją zrobiła, i tych, co ją będą jedli!

Marta uciekła, a ja ulotniłem się w ślad za nią: sam nie wiem, kiedy znalazłem się na zwykłym swoim miejscu w jadalni.

Poczekalem chwilę. Profesor się nie zjawiał. Po raz pierwszy za mojej pamięci uchybił obiadowemu ceremoniałowi. A w dodatku cóż to był za obiad! Zupa z pietruszki, omlet z szynką zaprawiony gałką muszkatołową, mostek cielęcy, do tego kompot ze śliwek, na deser zaś krewetki na słodko, a to wszystko zakropione wybornym winkiem mozelskim!

Oto co stracił wujaszek z powodu jednego starego papierzyska! Bowiem, jako oddany mu siostrzeniec, czułem się w obowiązku spożyć wszystko za niego i za siebie. I sumiennie to wykonałem.

– Jeszcze nigdy nic podobnego się nie zdarzyło – wydziwiała Marta podając do stołu. – Pan Lidenbrock nie przyszedł na obiad!

– Po prostu nie do wiary!

– To niechybna zapowiedź jakiegoś ważnego wydarzenia – stwierdziła stara służąca kiwając głową.

W moim pojęciu nie zapowiadało to niczego, chyba tylko straszliwą scenę, gdy wuj się dowie, że z jego obiadu nie pozostało ani odrobiny.

Pochłaniałem właśnie ostatnią krewetkę, kiedy donośny głos oderwał mnie od rozkoszy deseru. Jeden sus – i już byłem w gabinecie.

Bez wątpienia jest to pismo runiczne – mówił profesor marszcząc brwi. – Ale w tym tkwi jakiś sekret i ja go wykryję, w przeciwnym razie...

Koniec zdania zastąpił gwałtownym gestem.

– Siadaj tutaj – dodał wskazując pięścią stół – i pisz.

W mgnieniu oka spełniłem jego rozkaz.

– Podyktuję ci kolejno litery naszego alfabetu odpowiadające znakom islandzkim. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Ale na Boga! Nie wolno ci się pomylić!

Zacząło się dyktowanie. Staralem się, jak mogłem; wuj podawał mi literę po literze i utworzyły one zestawienie następujących niezrozumiałych słów:

*mm. rnllsesreuelsecJde*

*sgtssmfunteiefniearke*

*kt, samntrateSSaodrrn*

*emtnaelnuaectrrilSa*

*Atvaar.nscrcieaabs*

*ccdrmieeutulfrantu*

*dt, iacoseiboKediiY*

Gdy skończyliśmy naszą pracę, wuj chwycił szybko zapisaną przeze mnie kartkę i oglądał ją długo i uważnie.

– Co to może znaczyć? – powtarzał raz po raz.

Na honor, nie potrafiłbym mu tego wyjaśnić! Zresztą wuj nie pytał mnie o zdanie i w dalszym ciągu mówił sam do siebie:

– Jest to tak zwany kryptogram, którego właściwy sens ukryty jest wśród umyślnie poplątanych liter; jeśli ustawić je odpowiednio, utworzą zrozumiałe zdanie. I pomyśleć tylko, że tkwi w tym może wyjaśnienie lub wskazówka, dotycząca jakiegoś rewelacyjnego odkrycia!

Jeśli o mnie chodzi, byłem zdania, że nie kryje się tu absolutnie nic, ale wolałem przezornie zatrzymać tę opinię dla siebie.

Tymczasem profesor wziął książkę oraz stary pergamin i zaczął porównywać je ze sobą.

– Rękopis i dokument nie zostały napisane tą samą ręką – stwierdził. – Kryptogram jest późniejszy aniżeli książka – mam na to niezbity dowód. Oto pierwsza litera kryptogramu jest podwójnym M, którego próżno by szukać w książce Turlesona, jako że tę literę dodano do alfabetu islandzkiego dopiero w XIV wieku. A więc między powstaniem książki a napisaniem dokumentu upłynęło co najmniej dwieście lat.

Przyznaję, że rozumowanie to wydało mi się dość logiczne. – Naprowadza mnie to na myśl – ciągnął dalej wuj – że tajemnicze znaki nakreślił jeden z właścicieli książki. Ale kto u licha mógł nim być? Czy czasem nie umieścił swojego nazwiska gdzieś na rękopisie?

Wujaszek zdjął okulary, wziął mocną lupę i starannie przejrzał pierwsze stronicę książki. Na odwrocie drugiej, poprzedzającej kartę tytułową, dojrzał rodzaj plamy, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie kleksa. Jednak po dokładniejszym obejrzeniu można było rozróżnić kilka na pół zatartych znaków. Wuj zorientował się, że tu tkwi sedno sprawy, zabrał się więc z zapalem do badania plamy z atramentu i za pomocą wielkiej lupy rozpoznał w końcu następujące znaki runiczne, które odczytał bez najmniejszego trudu.



– Arne Saknussem! – zawołał z triumfem. – Przecież to nazwisko, i w dodatku islandzkie! Nazwisko uczonego z XVI wieku, sławnego alchemika!

Spojrzałem na wuja pełen podziwu.

– Ci alchemicy – podjął – tacy jak Awicenna, Roger Bacon, Lulle, Paracelsus, byli prawdziwymi, byli jedynymi uczonymi swojej epoki. Dokonywali zdumiewających odkryć. Dlaczego Saknussem nie miałby ukryć w tym niezrozumiałym kryptogramie jakiegoś zaskakującego wynalazku? Musiało tak być. Na pewno tak było.

Ta hipoteza rozpałała wyobraźnię profesora.

– Zapewne – ośmieliłem się wtrącić – ale dlaczego ten uczonek miałby zatajać swoje rewelacyjne odkrycie?

– Dlaczego? Dlaczego? A czy ja wiem? Czyż Galileusz nie postąpił w ten sposób, jeśli chodzi o Saturna? Zresztą zobaczymy! Wydrę sekret tego dokumentu, a zanim go nie odgadnę, nie przyjmę żadnego pożywienia ani nie zażyję snu.

– Och! – westchnąłem.

– I ty także, Akselu – dorzucił.

„Do diabła! – pomyślałem sobie. – Co za szczęście, że zjadłem obiad za dwóch!”

– Przede wszystkim – dodał jeszcze wuj – trzeba znaleźć klucz do tego szyfru. To nie powinno nastąpić wielkich trudności.

Na dźwięk tych słów podniosłem głowę. Wuj ciągnął dalej swój monolog:

– Nic łatwiejszego. W tym dokumencie mamy sto trzydzieści dwie litery, z czego siedemdziesiąt dziewięć spółgłosek i pięćdziesiąt trzy samogłoski. Otóż taki mniej więcej stosunek charakteryzuje budowę słów należących do języków południowych, gdy tymczasem języki północne są o wiele bogatsze w spółgłoski. A zatem w tym wypadku wchodzi w grę język południowy.

Trzeba przyznać, że były to słuszne wnioski.

– Ale o jaki język chodzi?

Tu było pole do popisu dla uczonego, którego los obdarzył głębokim umysłem analityka.

– Ten Saknussem – ciągnął dalej wuj – był człowiekiem wykształconym. Otóż skoro nie pisał w swoim języku ojczystym, musiał wybrać siłą rzeczy język będący w obiegu wśród ludzi oświeconych XVI wieku, a więc łacinę. Jeśli się mylę, będę mógł przeprowadzić próby w języku hiszpańskim, francuskim, włoskim, greckim i hebrajskim. Jednakże uczeni XVI wieku pisali przeważnie po łacinie. A więc mam prawo twierdzić z góry: to jest łacina.

Podsłoczyłem na krześle. Moje wspomnienia dotyczące łaciny buntowały się przeciw twierdzeniu, jakoby szeregi tych dziwacznych słów mogły należeć do melodyjnego języka Wergiliusza.

– Tak, to łacina – zapewniał wuj. – Lecz łacina powikłana. „Na szczęście! – pomyślałem sobie. – Jeśli ją rozwikłasz, dasz dowód wielkiej przebiegłości”.

– Przyjrzyjmy się dobrze – rzekł profesor sięgając po zapisaną przeze mnie kartkę. – Oto seria stu trzydziestu dwóch liter zgrupowanych w pozornym nieładzie. Są tu słowa złożone z samych spółgłosek, jak na przykład pierwsze „mmrnlls”, inne – przeciwnie – obfitują w samogłoski, chociażby piąte „unteief” albo przedostatnie „oseibo”. Oczywiście, ten układ nie jest wynikiem bezmyślnej kombinacji – powstał w sposób „matematyczny”, na skutek nieznannej przyczyny kierującej takim, a nie innym uszeregowaniem liter. Wydaje mi się pewne, że pierwotne zdanie zostało napisane prawidłowo, a potem odwrócone według reguły, którą należy odkryć. Ten, kto posiada klucz szyfru, odczyta swobodnie tekst. Akselu, czy znasz ten klucz?

Pytanie to pozostało bez odpowiedzi, a istniały ku temu ważne powody. Wzrok mój zatrzymał się na uroczym portrecie wiszącym na ścianie, na portrecie Grety. Pupilka mego wuja znajdowała się naówczas u swojej krewnej w Altonie, a ja cierpiałem ogromnie z powodu jej nieobecności. Mogę już teraz wyznać, że nadobna wychowanka profesora i jego siostrzeniec kochali się z całym opanowaniem i spokojem cechującym Niemców; zaręczyliśmy się bez wiedzy wuja, zbyt pochłoniętego geologią, by zrozumieć tego rodzaju uczucia. Greta była czarującą dziewczyną o złotych włosach i błękitnych oczach, o nieco zbyt poważnym usposobieniu i statecznym umyśle; jeśli



o mnie chodzi, uwielbiałem ją po prostu. Dzięki podobnie małej Greta przerzuciłem się w mgnieniu oka ze świata rzeczywistości w krainę rojeń i wspomnień.

Oczywiście wyobraźni ujrzałem towarzyszkę moich prac i rozrywek. Codziennie pomagała mi porządkować cenne kamienie wuja, razem ze mną opatrywała je etykietami. Panna Greta bowiem była bardzo mocna w mineralogii i lubiła zgłębiać zawile problemy naukowe. Ile miłych godzin spędziliśmy przy wspólnych studiach i jak często patrzyłem zazdrosnym okiem, gdy dotykała nieczułych kamieni swoimi ślicznymi rękoma!

Potem, podczas godzin przeznaczonych na odpoczynek, wychodziliśmy razem, szliśmy we dwoje cienistymi alejami aż do starego młyna ze smołowanego drzewa, który tak malowniczo wygląda nad brzegiem jeziora; po drodze gawędziliśmy trzymając się za ręce, opowiadałem jej różne historyjki, z których śmiała się z całego serca; w ten sposób dochodziliśmy aż do brzegów Elby i gdy przywitaliśmy łabędzie, pływające między wielkimi, białymi liliami wodnymi, wracaliśmy na bulwar stateczkiem parowym. Doszedłem w moich marzeniach do tego właśnie momentu, gdy wuj przywołał mnie gwałtownie do rzeczywistości, uderzywszy pięścią w stół.

– Otóż kiedy się chce poplątać litery w zdaniu, pierwsza myśl, jaka się nasuwa, to napisanie słów pionowo zamiast poziomo.

„A to dopiero!” – pomyślałem sobie.

– Trzeba zobaczyć, jak to wygląda. Akselu, skreśl jakieś zdanie na kartce, ale zamiast uszeregować litery jedna za drugą, umieść je kolejno w pionowych kolumnach, w ten sposób, aby na każdą przypadło pięć czy sześć liter.

Zorientowałem się szybko, o co wujowi chodzi, i niezwłocznie napisałem od góry do dołu:

kmamae

ocrot

cidjak

hęzaGo

abomr

– Dobrze – rzekł profesor nie czytając tego, co nakreśliłem. – Teraz uszereguj te słowa w linii poziomej.

Spełniłem jego rozkaz i otrzymałem następujące zdanie: „kmamae ocrot cidjak hęzaGo abomr”.

– Doskonale! – rzekł wuj wyrywając mi kartkę z ręki. – Teraz to już nabrało cech starego dokumentu; samogłoski są pomieszane ze spółgłoskami w takim samym nieładzie, są nawet duże litery w środku słów zupełnie jak na starym pergaminie Saknussemma.

Chcąc nie chcąc musiałem przyznać, że te uwagi są bardzo trafne.

– Otóż – rzekł wuj zwracając się do mnie – ażeby przeczytać zdanie, które przed chwilą napisałeś, a którego treści nie znam, wystarczy odczytać kolejno pierwszą literę każdego słowa, potem drugą, potem trzecią i tak dalej.

I wuj ku swojemu, a także ku mojemu wielkiemu zdumieniu przeczytał: „Kocham cię bardzo, moja mała Gretko”.

– Co? – zdziwił się profesor.

Tak jest. Z typowym roztargnieniem zakochanego skreśliłem bezwiednie to kompromitujące wyznanie!

– Ach, więc ty kochasz Gretę! – rzucił wuj tonem surowego opiekuna.

– Tak... Nie... – wyjąkałem.

– Ach, więc ty kochasz Gretę – powtórzył, ale tym razem już machinalnie. – Wobec tego zastosujmy moją metodę do tego dokumentu.

Wuj, pochłonięty na nowo swymi absorbującymi dociekaniem, zdążył już zapomnieć o moich nieostrożnych słowach. Nazywam je nieostrożnymi, choć wiedziałem, że umysł uczonego nie był w stanie pojąć tego rodzaju sercowych spraw. Ale na szczęście doniosły dokument wziął górę.

Gdy profesor miał rozpocząć decydującą próbę, oczy jego zaczęły ciskać błyskawice poprzez szkła okularów, palce, ujmując dokument, mocno drżały – był wyraźnie wzruszony. Wreszcie odchrząknął i poważnym głosem, podając kolejno pierwsze litery, potem drugie i trzecie każdego słowa, podyktował mi następujący szereg liter:

*mmessunka SenrA. icefdoK. Segnittamurtn*

*ecertserrette, rotaivsadua, ednecsedsadne*

*lacartniiluJsiratracSarbmutabledmek*

*meretarcsilucoYsleffenSnl*

W miarę jak kończyłem pisać, ogarniał mnie niepokój, w tych literach bowiem, podawanych jedna po drugiej, nie mogłem jakoś dopatrzeć się sensu; a czekałem przecież, że profesor wygłosi z emfazą zdanie we wspaniałej łacinie!

Któż to mógł przewidzieć! Nagle stół zachwiał się pod gwałtownym uderzeniem pięści, aż prysnął atrament i pióro wyleciało mi z ręki.

– To nie to! – krzyknął wuj. – To nie ma najmniejszego sensu!

Po czym przeleciał przez gabinet jak bomba, zbiegł ze schodów jak lawina, wyskoczył na Königsstrasse i popędził przed siebie co sił w nogach.

Wyszedł?! – zawołała Marta przybiegając na odgłos zatrzaśniętych drzwi, które profesor zamknął tak gwałtownie, że cały dom zadrżał.

– Tak – odpowiedziałem – i to na dobre!

– A obiad? – spytała stara służąca.

– Nie będzie jadł obiadu.

– A kolacja?

– Nie będzie jadł kolacji!

– Jak to? – jęknęła Marta załamując ręce.

– Nie, zacna Marto, nie będzie jadł ani on, ani nikt z domowników! Wuj Lidenbrock skazał nas wszystkich na przymusową dietę, aż do chwili kiedy odcyfruje pewne stare bazgroły zupełnie niemożliwe do odcyfrowania.

– Jezu miłosierny! Nie pozostało nam więc nic innego, jak umrzeć z głodu!

Nie śmiałem przyznać, że wobec despotyzmu wuja czeka nas nieuchronnie taki los.

Stara służąca, poważnie zaniepokojona, powróciła lamentując do kuchni.

Gdy pozostałem sam, przyszło mi na myśl, by udać się do Grety i opowiedzieć jej wszystko. Ale jak tu opuścić dom? A jeśli wuj mnie zawoła? Jeżeli będzie chciał wziąć się na nowo do tego logogryfu, do tej łamigłówki, której na pewno nie podjąłby się rozwiązać nawet grecki król Edyp! Co będzie, jeżeli nie odpowiem na jego wezwanie?

Najrozsądniej było zostać tu, na miejscu. Właśnie pewien mineralog z Besangon nadesłał nam kolekcję geod krzemionkowych celem przeprowadzenia klasyfikacji. Wziąłem się więc do roboty. Sortowałem, wypisywałem etykiety, rozmieszczałem w gablotkach wszystkie te kamienie, w których wnętrzu znajdowały się małe kryształy.

Lecz to zajęcie nie zaprzętało całkowicie mojej uwagi; sprawa starego dokumentu nie dawała mi spokoju. Głowa mi płonęła, opanował mnie jakiś niezrozumiały niepokój. Przeczynałem bliską katastrofę.

Nie upłynęła godzina, a moje geody były już posegregowane i ułożone. Wówczas zagłębiłem się w wielkim aksamitnym fotelu, odrzuciwszy w tył głowę i bezwładnie opuściwszy ręce. Zapaliłem fajkę o długim, zagiętym cybuchu; jej rzeźbiona lulka wyobrażała najadę\* leżącą w nonszalanckiej pozie; zabawiałem się obserwowaniem procesu zwęglania, skutkiem którego najada zmieniała się stopniowo w prawdziwą Murzynkę. Od czasu do czasu nasłuchiwałem, czy ze schodów nie dolatuje

odgłos kroków. Ale wszędzie panowała kompletna cisza. Gdzie wuj mógł się teraz znajdować? Wyobrażałem sobie, że pędzi przed siebie pod wspaniałymi drzewami alei wiodącej do Altony, gestykulując, fechtując się laską, gwałtownym ruchem kosząc trawy, ścinając głowy ostom i zakłócając spokój samotnie spacerującym bocianom.

Czy wróci z miną zwycięzcy, czy też zniechęcony? Kto weźmie górę – on czy owa nieodgadniona tajemnica? Zastanawiając się nad tym, machinalnie ująłem kartkę papieru, na której uszeregowana była niezrozumiała seria nakreślonych przeze mnie liter. Powtarzałem raz po raz: „Co to może oznaczać?”

Próbowałem łączyć litery w słowa. Bezskutecznie. Czy się je grupowało po dwie, po trzy, po pięć, czy po sześć – nie dawało to żadnego rezultatu; wprawdzie czternasta, piętnasta i szesnasta litera tworzyły angielskie słowo *ice*, a osiemdziesiąta czwarta, osiemdziesiąta piąta i osiemdziesiąta szósta układały się w słowo *sir*. Wreszcie w środku dokumentu w drugim i trzecim wierszu zauważyłem słowa *mutabile, ira, nec, atra*.

„Do diabła! – pomyślałem sobie. – Sądząc z tych słów wuj ma jednak rację, jeśli chodzi o język dokumentu. A nawet w czwartym wierszu dostrzegam jeszcze słowo *luco*, które oznacza święty gaj. Co prawda w trzecim można się dopatrzeć słowa *tabiled* o czysto hebrajskim brzmieniu, a w ostatnim wierszu wyrazów *mer, arc, mčre* – rdzenie francuskich”.

Można było naprawdę stracić głowę! Cztery różne języki w tym absurdalnym zdaniu! Jakież mógł istnieć związek między słowami: „lód, pan, złość, święty gaj, zmienny, morze, łuk i matka”? Jedyne pierwsze i ostatnie kojarzyły się ze sobą: nic dziwnego, że w dokumencie pisanym na Islandii mowa była o „morzu lodowym”. Niewiele to jednak pomagało w zrozumieniu całości kryptogramu. Słowem, borykałem się z trudnościami nie do pokonania; mózg mój był rozgorączkowany, wzrok błędził niespokojnie po kartce papieru: rzekłbyś, że sto trzydzieści dwie litery unosiły się wokół mnie niby owe iskierki, snujące się przed oczyma, gdy krew gwałtownie uderzy nam do głowy.

Stałem się jak gdyby ofiarą halucynacji, brakowało mi tchu. Odruchowo zacząłem wachlować się kartką papieru i obie jej strony migwały mi na przemian przed oczami. Jakież było moje zdumienie, kiedy podczas jednego z tych szybkich obrotów, w chwili gdy kartka zwrócona była do mnie odwrotną stroną, wydało mi się, że dostrzegam całkiem czytelne słowa, słowa łacińskie, między innymi *craterem* i *terrestre*.

Nagle doznałem olśnienia: dzięki tym wskaźnikom odgadłem prawdę, odkryłem klucz szyfru. Można było biegle odczytać dokument nawet bez odwracania kartki, tak jak był, tak jak został mi podyktowany. Wszystkie mądre kombinacje profesora okazały się trafne: miał rację – i co do układu liter, i co do języka dokumentu! Tak niewiele brakowało, a byłby odczytał od początku do końca to łacińskie zdanie, los jednak mnie przed chwilą ujawnił ten sekret!

Łatwo pojąć, jak byłem poruszony. Zaćmiło mi się w oczach. Wzrok odmówił mi posłuszeństwa. Rozpostarłem kartkę na stole. Wystarczyło rzucić na nią okiem, by posiąść tajemnicę.

Wreszcie udało mi się zapanować nad sobą. Dla uspokojenia nerwów zmusiłem się do dwukrotnego okrążenia pokoju, po czym zagłębiłem się znowu w wielkim fotelu.



– Zabierajmy się do czytania! – zawołałem wciągnawszy w płuca okazały zapas powietrza.

Pochyliłem się nad stołem; przesuwałem palec kolejno od jednej litery do drugiej i – bez zatrzymania, bez chwili wahania – odczytałem głośno całe zdanie.

Jakież zdumienie, jaki strach mnie ogarnął! Czułem się tak, jakby ugodził we mnie nagły cios. Jak to! To, o czym dowiedziałem się przed chwilą, zostało naprawdę dokonane? Istniał człowiek na tyle zuchwały, że dotarł aż do...

– Ach! – zawołałem zrywając się z miejsca. – Nie! Po stokroć nie! Wuj nie dowie się o tym! Tylko by tego brakowało, żeby usłyszał o takiej podróży! Chciałby jej także zakosztować! Nic by nie powstrzymało takiego jak on zapamiętałego geologa! Pojechałby nie bacząc na nic, za wszelką cenę, wbrew wszystkim i wszystkiemu! A co gorsza, zabrałby mnie ze sobą i nie powrócilibyśmy nigdy. Przenigdy!

Ogarnęło mnie trudne do opisanego podniecenie.

– Nie, nie, do tego nie dojdzie – powiedziałem sobie energicznie. – I skoro leży w mojej mocy przeszkodzić wujowi, by podobna myśl przyszła mu do głowy – przeszkodzę mu. Obracając dokument, mógłby przypadkiem odkryć tajemnicę. A więc zniszczę go!

Resztki żaru tliły jeszcze w kominku. Chwyciłem nie tylko kartkę papieru, ale także i pergamin z rękopisem Saknussemma. Już drżącą ręką miałem rzucić to wszystko na żarzące się węgle i zniszczyć raz na zawsze groźną tajemnicę, gdy nagle otworzyły się drzwi gabinetu i ukazał się w nich wuj.

Ledwie starczyło mi czasu, by rzucić na stół ów nieszczęsny dokument.

Profesor Lidenbrock wydawał się mocno czymś zaabsorbowany. Myśl, która owładnęła nim całkowicie, nie dawała mu chwili spokoju; widocznie w czasie spaceru rozpatrzył i przeanalizował całą sprawę, wezwał na pomoc niewyczerpane zasoby swojej wyobraźni i wracał teraz celem zastosowania nowej jakiejś kombinacji.

Istotnie, usiadł w fotelu i z piórem w ręku zaczął układać formułki przypominające działania algebraiczne.

Śledziłem wzrokiem jego rozdygotaną rękę, bacznie obserwowałem każdy jego ruch. Czy przypadkiem nie dojdzie do jakichś niespodziewanych rezultatów? Drżałem z niepokoju, niepotrzebnie zresztą, skoro bowiem jedyna właściwa kombinacja była już znaleziona, wszelkie inne poszukiwania siłą rzeczy musiały spełznąć na niczym.

Przez trzy długie godziny wuj pracował bez słowa, nie podnosząc głowy, to ścierając, to biorąc się znów do roboty, przekreślając i znów zaczynając po raz tysięczny.

Wiedziałem dobrze, że jeśli mu się uda ułożyć litery według wszelkich możliwych zestawień, w końcu zdoła zbudować właściwe zdanie. Ale wiedziałem także, że z dwudziestu liter można utworzyć dwa kwintyliony, czterysta trzydzieści dwa kwadryliony, dziewięćset dwa tryliony, osiem miliardów, sto siedemdziesiąt sześć milionów, sześćset czterdzieści tysięcy kombinacji. Tymczasem w tym zdaniu były, sto trzydzieści dwie litery i dawały one liczbę różnych zdań składającą się co najmniej ze stu trzydziestu trzech cyfr, liczbę prawie niemożliwą do wyliczenia i której się nie da oszacować.

Wobec tego uspokoiłem się co do tego sposobu rozwiązania problemu, sposobu wymagającego heroicznego zaiste wysiłków. Tymczasem czas płynął niepostrzeżenie, zapadła noc, ucichły hałasy uliczne; wuj, wciąż pochylony nad swoją pracą, nie dostrzegał nic, nie zauważył nawet zacnej Marty, która w pewnej chwili uchyliła drzwi, nie dosłyszał jej głosu, kiedy zapytała:

– Czy pan będzie jadł dziś kolację?

Toteż Marta odeszła nie otrzymawszy odpowiedzi; co do mnie czas jakiś opierałem się ogarniającej mnie senności, w końcu jednak uległem i zasnąłem wtulony w róg kanapy, gdy tymczasem wuj wciąż obliczał i przekreślał.

Gdy obudziłem się nazajutrz rano, wuj Lidenbrock, niezmordowana ofiara własnej gorliwości, ślezczał jeszcze nad swoją pracą. Zaczerwienione jego oczy, bladolina twarz, włosy zmierzwiłone niespokojną ręką, wypieki na policzkach – wszystko to świadczyło dostatecznie, jak straszliwą walkę musiał staczać z trudnościami nie do przewyciężenia, ile cierpień i umysłowego wysiłku kosztowały go te nocne godziny.

Budził we mnie niekłamaną litość. Aczkolwiek w moim pojęciu zasługiwał na wymówki, ogarnęło

mnie wzruszenie. Biedny profesor był tak opętany swoim pomysłem, że przestał się złościć, wszystkie jego siły żywotne skoncentrowały się na jednym punkcie, a ponieważ zabrakło im zwykłego ujścia, zachodziła obawa, że napór ich lada chwila gotów rozerwać go na strzępy.

Mogłem jednym ruchem rozluźnić żelazną obręcz ściskającą mu skronie. Lecz nie uczyniłem tego. Miałem dobre serce, dlaczegóż więc milczałem w tak wyjątkowych okolicznościach? Przede wszystkim dla dobra samego wuja.

„Nie, nie – powtarzałem w kółko – nie powiem ani słowa! Znam go dobrze, chciałby tam pojechać; nic by go nie powstrzymało. Ma wybuchowy temperament i aby dokonać tego, czego nie dokonali inni geologowie, gotów zaryzykować życie. Będę milczał, zachowam sekret, który mi los powierzył; wyjawienie tej tajemnicy pociągnęłoby za sobą niechybną śmierć profesora Lidenbrocka. Niech odkryje ten sekret sam, jeżeli tylko potrafi. Nie chcę wyrzucać sobie w przyszłości, że przyłożyłem rękę do jego zguby”.

Powziąwszy tę decyzję, skrzyżowałem ręce i czekałem cierpliwie. Nie przewidziałem jednak pewnego wydarzenia, jakie zaszło w kilka godzin później.

Gdy Marta chciała wyjść z domu, by udać się na targ, zastała drzwi zamknięte, a wielkiego klucza nie było w zamku. Kto go wyjął? Oczywiście wuj, kiedy wrócił wczoraj ze swojej nagłej ekskursji.

Czy zrobił to umyślnie, czy przez nieuwagę? Czy chciał nas skazać na głodowanie? Tego byłoby za wiele! Jak to, Marta i ja mielibyśmy pokutować z powodu sprawy, która nas nic a nic nie obchodziła? Niestety tak! Przypomniałem sobie nawet pewien groźny precedens. Kilka lat temu, kiedy wuj pracował nad swoim wielkim dziełem z zakresu mineralogii, nie tknął przez czterdzieści osiem godzin pożywienia i cały dom musiał mu towarzyszyć w tej „naukowej” diecie. Ja osobiście dostałem wówczas kurczów żołądka, raczej nieprzyjemnych dla chłopca dość żarłocznego z natury.

Odniosłem wrażenie, że śniadania nie będzie, tak jak wczoraj nie było kolacji. Jednakże postanowiłem zachować się dzielnie i nie ustąpić pod naciskiem głodu. Marta traktowała całą sprawę bardzo poważnie i była nią biedaczka ogromnie strapiona. Mnie martwił przede wszystkim – ze zrozumiałych względów – przymusowy areszt domowy. Wuj pracował bez przerwy, a wyobraźnia jego zagubiła się w idealnym świecie oderwanych dociekań; przebywał z dala od ziemi i bez wątpienia poza obrębem potrzeb doczesnych.

Koło południa głód zaczął dokuczać mi porządnie. Marta w prostocie ducha wyjadła poprzedniego dnia wszystkie zapasy ze spiżarni; w domu nie pozostało absolutnie nic do jedzenia. Jednakże trzymałem się dzielnie. Uważałem to za punkt honoru.

Wybiła godzina druga. Sytuacja stawała się śmieszna, wręcz nie do zniesienia. Zaczynałem sobie tłumaczyć, że przeceniam wagę dokumentu, że wuj i tak nie uzna go za wiarogodny, że będzie go uważał za zwykłą mistyfikację, że w najgorszym wypadku – jeśli chciałby mimo wszystko próbować szczęścia – powstrzyma się go wbrew jego woli, wreszcie że może przecież sam odkryć klucz szyfru, a wtedy na nic się nie przyda moja wstrzeźliwość.

Te argumenty, które w przeddzień byłbym odrzucił z oburzeniem, wydały mi się teraz doskonałe,

co więcej, byłem zdania, że postąpiłem niedorzecznie, czekając tak długo, i postanowiłem wyznać wszystko wujowi.

Gdy zastanawiałem się właśnie, jak tu ostrożnie przystąpić do rzeczy, profesor wstał i włożył kapelusz przygotowując się do wyjścia.

Jak to, miałby wyjść z domu i zamknąć nas znowu?! Za nic w świecie!

– Wuju! – zawołałem. Zdawało się, że nie dosłyszał.

– Wuju! – powtórzyłem podnosząc głos.

– Co? – zapytał niby człowiek obudzony nagle ze snu.

– No i jak z tym kluczem?

– Z jakim kluczem? Z kluczem od drzwi?

– Ależ nie! – wykrzyknąłem. – Z kluczem szyfru!

Profesor zerknął na mnie spod okularów i zauważył widocznie coś niezwykłego w mojej twarzy, gdyż chwycił mnie gwałtownie za ramię i nie mówiąc ani słowa spojrział na mnie pytającym wzrokiem. Nigdy chyba pytanie nie zostało sformułowane w tak wyraźny sposób. Kiwnąłem potakująco.

Ale wuj potrząsnął głową z politowaniem, jakby miał do czynienia z wariatem.

W odpowiedzi wykonałem ruch wyraźnie twierdzący. W oczach jego pojawił się nagły błysk, a ręka wykonała groźny gest.

Ten niemy dialog w podobnych okolicznościach wzbudziłby zainteresowanie nawet najbardziej obojętnego widza. Nie śmiałem mówić w obawie, by wuj nie udusił mnie w pierwszym porwywie radości. Ale przynaglał mnie tak usilnie, że w końcu musiałem odpowiedzieć.

– Tak, ten klucz... Otóż przypadek zrządził...

– Co?! Co ty mówisz?! – zawołał w niezwykłym podnieceniu.

– Proszę, niech wuj czyta – i podsunąłem mu zapisaną przeze mnie kartkę.

– Ależ to nic nie oznacza! – odparł mnąc papier w rękę.

– Nic, jeśli się czyta od początku, ale proszę spróbować od końca...

Nie zdążyłem wypowiedzieć całego zdania, gdy profesor krzyknął, a raczej ryknął dziko. Doznał jak gdyby olśnienia. Twarz zmieniła mu się nie do poznania.

– Ach, przebiegły Saknussemie! – zawołał. – A więc napisałeś swoje zdanie wspak!

I rzuciwszy się na kartkę papieru, wzrokiem zamglonym ze wzruszenia, głosem drżącym z przejęcia, odczytał cały dokument od ostatniej do pierwszej litery.

Brzmiał on jak następuje:

*In Sneffels Yoculis craterem kem delibat umbra Scartaris Julii intra calendas descende, audas viator, et terrestre centrum attinges. Kod feci. Arne Saknussem.*

Co z tej kiepskiej łaciny można przetłumaczyć tak:

*W Jokulu Sneffels zejź do krateru, który muska cień Skartarisa przed kalendami lipcowymi, a dotrzesz, zuchwały podróżniku, aż do środka Ziemi. Czego dokonałem. Arne Saknussem.*

Przeczytawszy to oświadczenie wuj podskoczył, jak gdyby dotknął niechcący butelki lejdejskiej. Jego zapał, radość, szczere przekonanie o prawdzie tych słów były doprawdy godne podziwu. Chodził tam i z powrotem, łapał się rękoma za głowę, przestawiał krzesła, układał w stos swoje książki, a nawet – o dziwo! – podrzucał w górę i chwycił w powietrzu swoje cenne geody. Tu palnął pięścią, tam znów coś poklepał. Wreszcie nerwy jego uspokoiły się i opadł na fotel jak człowiek wyczerpany zbyt wielkim wyladowaniem energii.

– Któraż to godzina? – spytał po chwili milczenia.

– Trzecia – odpowiedziałem.

– Na śmierć zapomniałem o obiedzie! Po prostu umieram z głodu. Siadajmy do stołu. A potem...

– Co potem?

– Spakujesz moją walizkę.

– Co?! – krzyknąłem.

– I swoją! – dorzucił nieubłagany profesor wchodząc do jadalni.



Na dźwięk tych słów dreszcz przeszedł mi po plecach. Jednakże opanowałem się. Postanowiłem nawet nadrabiać miną. Jedyne argumenty naukowe mogły powstrzymać wuj, a na szczęście można tu było wysunąć niejedną rację przemawiającą przeciwko możliwości tego rodzaju podróży. Wyprawa do wnętrza Ziemi! To po prostu szaleństwo! Zachowując jednak moje wywody na odpowiedniejszy moment, zająłem się na razie posiłkiem.

Próżno starałbym się opisać złorzeczenia wuja na widok nienakrytego stołu. Po chwili wszystko się wyjaśniło. Marta odzyskała wolność, pobiegła na targ i zawinęła się tak szybko, że za godzinę głód nasz był zaspokojony. Powróciła mi za to świadomość, w jak poważnej znalazłem się sytuacji.

Podczas posiłku wuj był w wesołym nastroju, wymykały mu się nawet dowcipy charakterystyczne dla uczonych, na ogół niegroźne. Po deserze dał mi znak, bym poszedł z nim do gabinetu. Usłuchałem go. Usiadł przy jednym końcu biurka, a ja przy drugim.

– Akselu – rzekł dość łagodnym tonem – całkiem niegłupi z ciebie chłopak. Oddałeś mi wielką przysługę, w chwili gdy już miałem dać za wygraną. Bóg raczy wiedzieć, jak wielki błąd bym popełnił. Nigdy ci tego nie zapomnę, mój chłopcze; podzielisz ze mną sławę, którą niechybnie zdobędziemy.

„No, jest w dobrym humorze – pomyślałem sobie – i nadszedł odpowiedni moment, by tę sławę poddać pod dyskusję”.

– Przede wszystkim – mówił dalej wuj – proszę cię usilnie o zachowanie całej sprawy w najgłębszej tajemnicy. Rozumiesz? Budzę niemałą zawiść w świecie uczonych, wielu spośród nich pragnęłoby przedsięwziąć tego rodzaju wyprawę, o której dowiedzą się dopiero po naszym powrocie.

– Czy wuj przypuszcza, że znalazłoby się aż tylu śmiałków?

– Bez wątpienia! Któż by się zastanawiał, gdy chodzi o zdobycie takiego rozgłosu? Gdyby ten dokument był znany, cała armia geologów podążyłaby śladami Arne Saknussemma.

– Co do tego mam poważne wątpliwości. Skąd możemy wiedzieć, czy dokument jest autentyczny?

– Jak to! A książka, w której znaleźliśmy go?!

– No dobrze, przypuścimy nawet, że istotnie Saknussemm napisał tych kilka wierszy. Ale czy z tego wynika, że naprawdę odbył tę podróż, i czy stary pergamin nie zawiera zwykłej mistyfikacji?

Nieomal żałowałem, że wypowiedziałem to nieco ryzykowne słówko; profesor zmarszczył swoje gęste brwi i obawiałem się poważnie, że uniemożliwiłem dalszy ciąg naszej rozmowy. Na szczęście obawy moje okazały się płonne. Na ustach mego srogiego rozmówcy pojawił się jakby cień uścicheu.

– Będziemy mieli okazję to sprawdzić – odpowiedział.

– Ach! – zawołałem cokolwiek speszony. – Niechże wuj pozwoli mi przynajmniej wyłuszczyć wszystkie moje zastrzeżenia co do tego dokumentu;

– Mów, chłopcze, nie krępuj się. Daję ci wolną rękę w wypowiedaniu swoich opinii. Teraz nie jesteś już moim siostrzeńcem, lecz kolegą. No, zaczynaj.

– Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, co to jest ten Jokul, ten Sneffels i Skartaris? Nigdy o nich nie słyszałem.

– Nic łatwiejszego. Właśnie niedawno otrzymałem z Lipska mapę od mego przyjaciela Petermanna; trzeba przyznać, że nadeszła w samą porę. Sięgnij no tam po trzeci atlas w drugiej przegródce wielkiej biblioteki, seria Z, półka numer cztery.

Wstałem i dzięki tym dokładnym wskazówkom szybko znalazłem potrzebny atlas. Wuj otworzył;go i oświadczył:

– Oto jedna z najlepszych map Islandii: mapa Hendersona; zdaje się, że znajdziemy tu rozwiązanie wszystkich twoich wątpliwości.

Pochyliłem się nad mapą.

– Spójrz na tę wyspę składającą się z wulkanów – rzekł] profesor – i zwróć uwagę, że wszystkie noszą jedną nazwę,; mianowicie „Jokul”. To islandzkie słowo oznacza „lodowiec”, gdyż pod tą szerokością geograficzną większość erupcji toruje sobie drogę poprzez warstwy lodu. Stąd nazwa „Jokul”, stosowana do wszystkich wulkanów na wyspie.

– Dobrze – odpowiedziałem. – A cóż to jest ten Sneffels? Miałem nadzieję, że na to pytanie nie będzie odpowiedzi. Myliłem się jednak. Wuj udzielił mi dalszych wyjaśnień.

– Zwróć uwagę na zachodnie wybrzeże Islandii. Czy widzisz stolicę Reykjavik? Doskonale. Posuwaj się teraz w górę, wzdłuż niezliczonych fiordów poszarpanego przez morze wybrzeża, i zatrzymaj się nieco poniżej sześćdziesiątego piątego stopnia szerokości geograficznej. Co tam widzisz?

– Rodzaj półwyspu przypominającego ogryzioną kość, zakończoną olbrzymią rzepką.

– Trafne porównanie. A czy nic nie widzisz na tej rzepce?

– Owszem, górę, która zdaje się wyrastać z morza.

– To właśnie Sneffels.

– Sneffels?

– Tak jest góra wysoka na pięć tysięcy stóp\*, jedna z największych na wyspie i niewątpliwie

najbardziej godna podziwu na całym świecie, skoro krater jej sięga aż do środka kuli ziemskiej.

– Ależ to niemożliwe! – zawołałem wzruszając ramionami, oburzony podobnym przypuszczeniem.

– Niemożliwe?! – odparł profesor Lidenbrock surowo. – A dlaczegoż to?

– Bo ten krater jest z pewnością zatarasowany lawą, rozpalonymi odłamkami skalnymi i wobec tego...

– A jeżeli to krater nieczynny?

– Nieczynny?

– Tak. Obecnie na powierzchni kuli ziemskiej istnieje najwyżej trzysta czynnych wulkanów, natomiast nieczynnych jest o wiele więcej. Otóż Sneffels zalicza się do tych ostatnich i w czasach historycznych wybuchnął tylko raz jeden w 1229 roku; od tej pory pomruki jego cichły stopniowo i Sneffels należy teraz do wulkanów wygasłych.

Wobec tych kategorycznych twierdzeń nie miałem absolutnie nic do powiedzenia, poruszyłem więc inne niejasne punkty dokumentu.

– Co oznacza słowo Skartaris? – zapytałem. – I co z tym mają wspólnego kalendy lipcowe?

Wuj zastanawiał się jakiś czas. Przez chwilę łudziłem się nadzieją, lecz rozwiąła się szybko, gdyż profesor odpowiedział mi niebawem tymi słowy:

– To, co tobie wydaje się niezrozumiałe, dla mnie jest zupełnie jasne. Jeszcze jeden dowód, ile Saknussem włożył w tę sprawę starań i pomysłowości, aby jak najdokładniej określić swoje odkrycie. Sneffels ma kilka kraterów, należało więc wskazać, który spośród nich prowadzi do wnętrza Ziemi. Jak sobie z tym poradził uczony islandzki? Zauważył, że kiedy zbliżają się kalendy lipcowe, to jest w końcu czerwca, jeden z wierzchołków góry, mianowicie Skartaris, rzuca cień sięgający aż do otworu owego krateru, i zanotował ten fakt w swoim dokumencie. Czyż mógł udzielić lepszej wskazówki i czyż będziemy potrzebowali wahać się w wyborze drogi, kiedy osiągniemy szczyt Sneffelsa?

Stanowczo, wuj miał gotową odpowiedź na wszystko. Przekonałem się, że nie można zbić go z tropu, jeśli chodzi o stary dokument. Przestałem więc nagabywać go na ten temat, a ponieważ należało przekonać go za wszelką cenę, przeszedłem do obiekcji naukowych, w moim pojęciu o wiele ważniejszych.

– Cóż, muszę przyznać, że oświadczenie Saknussemma jest jasne i nie budzi żadnych wątpliwości. Zgadzam się nawet, że dokument sprawia wrażenie autentycznego. Ten uczony zszedł w głąb Sneffelsa, widział na własne oczy cień Skartarisa, muskający brzegi krateru przed kalendami lipcowymi, dowiedział się z legend swojej epoki, że ten krater sięga aż do środka! Ziemi; ale nie uwierzę, by Saknussem tam dotarł, by przedsięwziął taką podróż i powrócił z niej szczęśliwie – nie uwierzę w to, nie, po stokroć nie!

– A to z jakiego powodu? – spytał wuj drwiącym tonem.

– Wszystkie teorie naukowe wykazują, że podobna wyprawa jest niemożliwa.

– Wszystkie teorie, powiadasz? – odrzekł profesor z udaną dobroduszością. – Ach, szkaradne teorie! Jakże nam będą przeszkadzać!

Widziałem doskonale, że pokpiwa sobie ze mnie, jednakże nie dawałem za wygraną.

– Tak, powszechnie wiadomo, iż ciepło wzrasta mniej więcej o jeden stopień na każde siedemdziesiąt stóp liczonych w głąb skorupy ziemskiej. Otóż jeśli przyjmiemy, że ten stosunek jest stały oraz że promień ziemski liczy mniej więcej tysiąc pięćset mil\*, temperatura wewnątrz Ziemi powinna wynosić dwa miliony stopni. Materie znajdujące się w jej wnętrzu są w stanie lotnym, mają postać rozpalonych gazów, gdyż takie metale, jak złoto, platyna, a nawet najtwardsze skały, nie wytrzymują podobnej temperatury. Wobec tego mam chyba prawo zapytać, czy można zapaść się do owej strefy!

– Słowem, przeraża cię gorąco?

– Oczywiście. Gdybyśmy osiągnęli głębokość zaledwie dziesięciu mil, doszlibyśmy do krańca skorupy ziemskiej, jako że temperatura przewyższa tam tysiąc trzysta stopni.

– I masz stracha, czy się nie roztopisz?

– To już pozostawiam wujowi do rozstrzygnięcia – odpowiedziałem ze złością.

– Pozwól teraz, że ja się wypowiem – odparł profesor Lidenbrock przybierając godną minę. – Ani ty, ani nikt inny na świecie nie wie dokładnie, co się dzieje we wnętrzu kuli ziemskiej, zważywszy, że znamy zaledwie jedną dwunastotysięczną część jej promienia; poza tym nauka nieustannie się doskonali i każda nowa teoria obala starą. Czyż nie twierdzono aż do czasów Fouriera, że temperatura przestrzeni międzyplanetarnych stopniowo maleje, a tymczasem dzisiaj wiadomo, że najniższa temperatura stref eteru nie przekracza czterdziestu czy pięćdziesięciu stopni poniżej zera\*\*? A może jest podobnie, jeśli chodzi o wewnętrzną temperaturę Ziemi? Dlaczego na pewnej głębokości nie miałyby osiągnąć nieprzekraczalnej granicy, zamiast wzrastać aż do punktu topliwości trudno topliwych minerałów? Ponieważ wuj operował hipotezami, nie mogłem oponować.

– Poza tym poważni uczeni, między innymi Poisson, udowodnili, iż gdyby we wnętrzu Ziemi temperatura wynosiła dwa miliony stopni, rozżarzone gazy powstałe ze stopionych materii osiągnęłyby taką prędkość, że skorupa ziemska nie mogłaby im się oprzeć i pękłaby jak ściany kotła pod naporem pary.

– To jest osobisty pogląd Poissona, i nic ponadto.

– Zgoda, ale tego samego zdania są także inni wybitni geolodzy.

– Och, za pomocą cyfr można udowodnić wszystko, co się żywnie podoba!

– A czy to samo odważyłbyś się powiedzieć o faktach? Czyż nie jest rzeczą absolutnie pewną, że od czasu, jak istnieje świat, liczba wulkanów znacznie się zmniejszyła, a zatem jeżeli istnieje wysoka temperatura wewnątrz Ziemi, należy chyba wyciągnąć z tego słuszny wniosek, iż temperatura owa stopniowo się obniża.

– Jeżeli wuj zacznie zapuszczać się w sferę hipotez, nie mam zamiaru prowadzić dalej tej dyskusji.

– Chcę tylko dodać, że opinię moją podzielają ludzie bardzo w tej dziedzinie kompetentni. Czy pamiętasz, jak odwiedził ranie kiedyś sławny chemik angielski Humphry Davy?

– Niestety nie! Nie było mnie wtedy na świecie.

– Otóż Humphry Davy odwiedził mnie będąc przejazdem w Hamburgu. Poza innymi problemami rozpatrywaliśmy hipotezę dotyczącą płynności jądra Ziemi. Obaj byliśmy zgodni co do tego, że jądro to nie jest płynne, a to z powodu, na który nauka nie potrafiła dotychczas znaleźć odpowiedzi.

– A jakież jest ten powód? – zapytałem zdziwiony.

– Otóż ta płynna masa podlegałaby, podobnie jak oceany, przyciąganiu Księżyca, a zatem dwa razy dziennie występowałoby zjawisko przypływu i odpływu, które podnosząc skorupę ziemską powodowałoby periodyczne trzęsienia ziemi.

– Jednakże nie ulega wątpliwości, że powierzchnia kuli ziemskiej podlegała działaniu wysokiej temperatury, i należy; przypuszczać, że skorupa ostygła wcześniej, gdy tymczasem ciepło schroniło się do środka.

– Mylny pogląd – odpowiedział wuj. – Ziemia rozgrzała się po prostu przez spalanie się jej powierzchni. Powierzchnia ta zaś składała się z wielkiej ilości takich metali, jak potas i sód, posiadających tę właściwość, że rozkładają się wydzielając ciepło przy zetknięciu z wodą; stało się tak, gdy pary atmosferyczne spadły w postaci deszczu na ziemię i stopniowo – w miarę jak wody dostawały się do szczelin skorupy ziemskiej – powodowały nowe pożary wraz z wybuchami i erupcjami. Stąd wielka ilość wulkanów w okresie powstawania świata.

– To bardzo ciekawa hipoteza! – zawołałem mimo woli.

– I którą Humphry Davy unaoczniał mi tu, na miejscu, za pomocą bardzo prostego doświadczenia. Sporządził kulę, głównie z tych metali, o których przed chwilą wspomniałem, kulę wyobrażającą nasz glob; gdy spryskiwaliśmy ją pyłem wodnym, powierzchnia jej utleniała się i wyrzuszała tworząc górkę, na której szczycie otwierał się krater; następowała erupcja i cała kula tak się rozgrzewała, że nie sposób było utrzymać jej w ręku.

Pod wpływem argumentów profesora zaczynałem się wahać; zresztą posługiwał się nimi z właściwą sobie pasją i entuzjazmem.

– Jak widzisz, Akselu, geolodzy wysuwali różne hipotezy dotyczące jądra Ziemi. W każdym razie wewnętrzne jej ciepło nie jest bynajmniej sprawą przesadzoną; moim zdaniem to ciepło nie istnieje, nie może istnieć! Zresztą zobaczymy i podobnie jak Arne Saknussemm będziemy wiedzieli, czego się

trzymać, jeśli chodzi o to ważne zagadnienie.

– Tak jest – odpowiedziałem czując, że i mnie się udziela entuzjazm wuja. – Tak, zobaczymy, jeśli tam w ogóle można coś zobaczyć.

– A dlaczegoż by nie? Czyż nie możemy liczyć na jakieś zjawiska elektryczne, które nam użyczą światła, a nawet i na atmosferę?

– Rzeczywiście! – odrzekłem. – Tak, właściwie to jest zupełnie możliwe.

– To jest zupełnie pewne! – odparł wuj z triumfem. – Ale pamiętaj, ani słowa o tym wszystkim! Zachowaj absolutne milczenie, aby nikomu nie przyszło na myśl ubiec nas w odkryciu wnętrza Ziemi.

Tak zakończyła się owa pamiętna dyskusja. Byłem nią rozgorączkowany do najwyższego stopnia. Wszedłem z gabinetu wuja jak błędny, toteż idąc ulicami Hamburga odczuwałem brak powietrza i nie mogłem wrócić do równowagi; zawędrowałem aż nad wybrzeże Elby, w pobliżu promu parowego, który łączy miasto ze stacją kolei żelaznej.

Czy argumenty profesora Lidenbrocka zdołały mnie przekonać? A może uległem tylko jego przewadze? Czyż miałem traktować poważnie zamiar udania się do wnętrza kuli ziemskiej? Czy wysłuchałem bezsensownych dociekań szaleńca, czy też wywodów naukowych geniusza? Gdzie kończyła się prawda, a gdzie zaczynały manowce?

Wahałem się między tysiącem sprzecznych hipotez, nie mogąc zdecydować się na żadną.

A przecież nie ulegało wątpliwości, że profesor zdołał mnie przekonać, aczkolwiek entuzjazm mój zaczynał słabnąć; wolałbym wyjechać niezwłocznie, nie czekając, aż zdążę się opamiętać. Tak, teraz nie zabrakłoby mi odwagi, aby wybrać się w drogę.

Trzeba przyznać, że już w godzinę później ochłonąłem całkowicie z zapału; doznałem nerwowego odprężenia i z przepastnych otchłani Ziemi wydostałem się na jej powierzchnię.

– To absurd! – zawołałem. – Nie ma w tym krzty sensu! Rozsądnemu człowiekowi nie powinno się robić podobnych propozycji! To wszystko mi się przywidziało. Źle spałem i przyśnił mi się okropny sen.

Tymczasem idąc wzdłuż brzegów Elby, okrążyłem miasto. Minąwszy port dotarłem aż do drogi prowadzącej do Altony. Szedłem jakby wiedziony przecuciem i to przecucie nie omyliło mnie; niebawem ujrzałem moją małą Gretę, która dzielnie, lekkim krokiem, maszerowała pieszo do Hamburga.

– Gretko! – zawołałem już z daleka.

Dziewczyna stanęła jak wryta, zaskoczona zapewne, że ktoś woła ją po imieniu na drodze. Jeszcze kilka kroków i znalazłem się przy niej.

– Aksel! – wykrzyknęła zdumiona. – Ach, wszedłeś na moje spotkanie! To bardzo ładnie z twojej strony.

Lecz rzuciwszy na mnie okiem, Greta natychmiast zauważyła niezwykle wyraz mojej twarzy.

– Co ci jest? – spytała podając mi rękę.

– Ach, gdybyś ty wiedziała! – wykrzyknąłem.

W ciągu paru sekund, w krótkich słowach zaznajomiłem ją z sytuacją. Przez chwilę zachowała milczenie. Nie wiem, czy serce jej – podobnie jak moje – było przyśpieszonym rytmem; w każdym

razie jej dłoń nie drżała w mojej dłoni. Przeszliśmy ze sto kroków w milczeniu.

– Akselu! – powiedziała wreszcie.

– Co, moja najdroższa?

– To będzie piękna podróż.

Drgnąłem na dźwięk tych słów.

– Tak, Akselu, podróż godna siostrzeńca uczonego. Mężczyzna powinien wsławić się jakimś wielkim czynem.

– Jak to, Greto? Nie chcesz mnie powstrzymać od takiej wyprawy?

– Nie, drogi Akselu, i sama chętnie towarzyszyłabym twemu wujowi i tobie. Ale obawiam się, że jako słaba dziewczyna mogłabym wam tylko przysporzyć kłopotu.

– Mówisz to poważnie?

– Oczywiście.

Ach, serca kobiece! Jakże was trudno zrozumieć! Czy to kobiety, czy młode dziewczęta wszystkie są jednocześnie najbardziej nieśmiałe spośród istot ziemskich i obdarzone największą odwagą. Kiedy w grę wchodzi kobieta, wszelkie rozumowanie zawodzi. Jak to? To dziecko zachęcało mnie do wzięcia udziału w ekspedycji! To dziewczątka nie bałoby się samo zaryzykować podobnej przygody! Namawiała mnie do tego – mnie, którego darzyła miłością!

Byłem zbity z tropu, a w dodatku – co tu ukrywać! – zawstydzony.

– Gretko – podjąłem – zobaczymy, czy jutro nie zmienisz zdania.

– Jutro powiem to samo, Akselu.

Trzymając się za ręce, szliśmy dalej, pogrążeni w głębokim milczeniu. Czuję się wyczerpany przeżyciami tego niezwykłego dnia.

„Właściwie do kalend lipcowych jest jeszcze daleko – pomyślałem sobie – i do tego czasu zajdzie niejedno wydarzenie, które może uleczyć wuja z jego manii podróżowania pod Ziemią”.

Doszliśmy do domku przy Königsstrasse, gdy już zapadła noc. Sądziłem, że panuje u nas zwykły o tej porze spokój, że wuj – swoim zwyczajem – leży już w łóżku, a zacna Marta kończy z miotełką w rękę wieczorny obrzęd okurzenia mebli w jadalni.

Ale nie wziąłem pod uwagę wrodzonej niecierpliwości profesora. Zostałem go, jak krzyczał i miotał się pośród gromady tragarzy wyładowujących jakieś rzeczy w alei; stara służąca kompletnie straciła głowę.



– Chodźże tu, Akselu; pośpiesz się, nieszczęśniku! – wołał wuj już z daleka. – Przecież twoja walizka dotąd nie zapakowana, moje papiery nie uporządkowane, nie mogę znaleźć klucza od torby podróżnej i dotychczas nie przysłano mi getrów!

Oniemiałem ze zdumienia. Z trudem zdołałem wykrztusić kilka słów:

– Jak to? Już wyjeżdżamy?

– Tak, nieszczęsny chłopcze, a ty sobie spacerujesz, zamiast być tutaj na miejscu.

– A więc wyjeżdżamy? – powtórzyłem słabym głosem.

– Tak jest, pojutrze skoro świt.

Nie mogłem spokojnie tego słuchać i uciekłem do swego pokoiku. Nie ulegało wątpliwości, że wuj poświęcił całe popołudnie na sprowadzenie niektórych potrzebnych przedmiotów oraz sprzętu podróżnego; cała aleja była zawałona sznurowymi drabinkami, pochodniami, manierkami, żelaznymi klamrami, kilofami, okutymi laskami, motykami – starczyłoby tego na obładowanie co najmniej dziesięciu mężczyzn.

Spędziłem koszmarną noc. Nazajutrz wczesnym rankiem usłyszałem czyjeś wołanie. Postanowiłem nie otwierać drzwi. Ale nie sposób było oprzeć się słodkiemu głosowi, który powtarzał miękko:

– Akselu, kochany Akselu!

Wyszedłem z pokoju. Sądziłem, że moja zmieniona twarz, bladość, zaczerwienione od bezsenności oczy sprawią wrażenie na Grecie i wpłyną na zmianę jej poglądów.

– Widzę, że czujesz się lepiej i że uspokoileś się przez noc, drogi Akselu – zauważyła.

– Uspokoilem się?! – krzyknąłem.

Popędziłem do lustra. Rzeczywiście wyglądałem o wiele lepiej, niż sobie wyobrażałem. To było niesłychane!

– Wiesz, Akselu, rozmawiałam długo z moim opiekunem – rzekła Greta. – To śmiały uczony, człowiek wielkiej odwagi i pamiętaj, że ta sama krew płynie w twoich żyłach. Opowiedział mi o swoich projektach, o swoich nadziejach, dlaczego i jakim sposobem spodziewa się osiągnąć cel. Nie wątpię, że tego dokona. Ach, jakaż to piękna rzecz poświęcać się dla nauki! Jaka sława czeka pana Lidenbrocka, sława, która okryje i jego towarzysza! Po powrocie, Akselu, będziesz prawdziwym mężczyzną, równym mu pod każdym względem. Będziesz mógł wypowiadać się swobodnie, działać, będziesz mógł...

Greta nie dokończyła zdania i zarumieniła się. Słowa jej podniosły mnie na duchu. Ale mimo wszystko nie mogłem uwierzyć w tak rychły wyjazd. Poszedłem wraz z Greta do gabinetu profesora.

– Wuju – spytałem – a więc wyjeżdżamy nieodwołalnie?

– Jak to! Jeszcze w to wątpisz?

– Nie – odparłem nie chcąc mu się sprzeciwić. – Pytam tylko, dlaczego taki pośpiech?

– Chodzi mi o czas! O czas, który ucieka z nieubłaganą szybkością!

– Przecież mamy dopiero 26 maja i aż do końca czerwca...

– Słuchaj no, ignorancie! Czy ty sobie wyobrażasz, że taki łatwo jest dojechać do Islandii? Gdybyś nie uciekł stąd jak szalony, byłbym cię zabrał do kopenhaskiego biura podróży; „Liffender i Spółka” i przekonałbyś się, że między Kopenhagą a Reykjavikiem kursuje tylko jeden statek.

– No i co z tego?

– Gdybyśmy czekali do 22 czerwca, przyjechalibyśmy za późno i nie zobaczylibyśmy, jak cień Skartaris muska krater Sneffelsa; trzeba zatem jak najszybciej dostać się do Kopenhagi i wyszukać tam jakąś komunikację okrętową. Idź i spakuj swoją walizkę.

Nie miałem na to nic do powiedzenia. Udałem się do swego pokoju na górę, a Greta poszła ze mną. Podjęła się zapakować moje rzeczy do małej walizki. Nie przejmowała się wcale tą podróżą, jakby to chodziło o przejażdżkę do Lubeki czy Helgolandu. Małe jej rączki krzątały się bez zbytniego pośpiechu; rozmawiała ze mną spokojnie, przytaczała wszelkie motywy przemawiające za powodzeniem ekspedycji. Była czarująca, a jednocześnie czułem, że wzbiera we mnie wielka złość przeciwko niej. Chwilami miałem ochotę wybuchnąć, lecz nie zwracała na to najmniejszej uwagi, w dalszym ciągu wykonując systematycznie i spokojnie swoją pracę. Wreszcie walizka była gotowa. Zszedłem na parter.

Przez cały dzień co chwila wchodzili i wychodzili liczni dostawcy precyzyjnych instrumentów, broni, aparatów elektrycznych. Biedna Marta do reszty straciła głowę.

– Czy pan profesor zwariował? – spytała mnie.

Kiwnąłem potakująco głową.

– I zabiera pana ze sobą? Powtórzyłem poprzedni gest. – A dokąd?

Wskazałem palcem na ziemię.

– Do piwnicy?! – zawołała stara służąca.

– Nie – odpowiedziałem. – Jeszcze głębiej.

Nadszedł wieczór. Straciłem rachubę czasu.

– No, do jutra – powiedział wuj. – Wyjeżdżamy punktualnie o szóstej rano.

O dziewiątej rzuciłem się jak kłoda na łóżko. W nocy znów opanował mnie lęk.

Przez cały czas śniły mi się przepastne głębie. Majaczyłem jak w gorączce. Ścisnęła mnie żelazna ręka profesora, ktoś mnie ciągnął, wtrącał w bezdenną otchłań, grzązłem w niej! Spadałem w potworne czeluście z wzrastającą szybkością. Życie moje było jednym nieprzerwanym spadaniem.

Obudziłem się o piątej rano kompletnie rozbity, wyczerpany nerwowo. Zszedłem do jadalni.

Wuj siedział już przy stole i opychał się w nieprzyzwoity sposób. Przyglądałem mu się z obrzydzeniem. Lecz zastałem tu też Gretę, nie powiedziałem więc ani słowa. Nie mogłem nic przełknąć.

O wpół do szóstej na ulicy rozległ się turkot. Zajechał wielki powóz, by zabrać nas na stację kolejową, do Altony. Niebawem załadowany był pakunkami wuja.

– A twoja walizka? – spytał.

– Gotowa – powiedziałem omdlewającym głosem.

– Znieś ją jak najszybciej, bo spóźnimy się na pociąg. Dalsza walka z losem wydała mi się daremna. Udałem się do swego pokoju na górę i spuściłem walizkę po schodach, pędząc w ślad za nią. Tymczasem wuj oddawał właśnie uroczyście w ręce Grety ster rządów domowych. Moja najmilsza jak zwykle zachowywała się spokojnie. Ucałowała swojego opiekuna lecz gdy musnęła ustami mój policzek, nie mogła powstrzymać się od łez.

– Gretko! – zawołałem.

– Jedź, drogi Akselu, jedź – powiedziała. – Opuszczasz narzeczoną, ale po twoim powrocie zostanę na pewno twoją żoną.

Przytuliłem Gretę do siebie, po czym zająłem miejsce w po wozie.

Marta i młoda dziewczyna przesłały nam z progu ostatnie pożegnanie i para koni, przynaglona pogwizdywaniem woźnicy, ruszyła z kopyta drogą ku Altonie.

W Altonie, która jest niemal przedmieściem Hamburga, rozpoczyna się kilońska linia kolei żelaznej; mieliśmy nią dojechać na wybrzeże Bełtu, a w niecałe dwadzieścia minut znaleźć się na terytorium Holsztynu.

O wpół do siódmej powóz zatrzymał się przed stacją; okazały sprzęt podróżny i liczne pakunki wuja zostały wyładowane, przetransportowane, zważone, ponumerowane, wsunięte do wagonu bagażowego i o godzinie siódmej siedzieliśmy już naprzeciw siebie w przedziale. Rozległ się syk pary, lokomotywa ruszyła. Podróż nasza rozpoczęła się.

Czy pogodziłem się z losem? Jeszcze nie, lecz rześkie powietrze poranne, fragmenty krajobrazu zmieniającego się szybko dzięki biegowi pociągu – wszystko to odrywało mnie od mego wielkiego strapienia.

Natomiast jeśli chodzi o niecierpliwego profesora, myśl jego wyprzedzała zapewne pociąg, w jego mniemaniu idący zbyt wolno. Byliśmy sami w przedziale, ale siedzieliśmy w milczeniu. Wuj sprawdzał z drobiazgową dokładnością zawartość swoich kieszeni i torby podróżnej. Zauważyłem, że o niczym nie zapomniał, że miał wszystkie dokumenty potrzebne do zrealizowania jego projektów, między innymi starannie złożony arkusz papieru z nagłówkiem kancelarii konsulatu duńskiego w Hamburgu, podpisany przez konsula, osobistego przyjaciela profesora. To miało nam ułatwić otrzymanie w Kopenhadze listów polecających do gubernatora Islandii.

Dostrzegłem także sławetny dokument przechowywany z pietyzmem w sekretnej przegródce portfela. Przekląłem go z całego serca i zacząłem z powrotem obserwować mijane okolice. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się równiny, mało atrakcyjne, monotonne, zamulone i dość urodzajne, słowem – kraina wybitnie nadająca się do zakładania torów, sprzyjająca liniom prostym, tak mile widzianym przez towarzystwa budowy kolei żelaznych.

Lecz ten jednostajny krajobraz nie zdążył mnie znużyć, jako że w trzy godziny po odjeździe pociąg stanął w Kilonii, o kilka kroków od morza.

Nasze bagaże zostały nadane wprost do Kopenhagi i nie potrzebowaliśmy troszczyć się o nie. Jednakże gdy transportowano rzeczy na statek, profesor śledził je niespokojnym okiem, dopóki nie zniknęły w głębi ładowni.

Wuj w pośpiechu tak świetnie obliczył godziny połączeń kolejowych i okrętowych, że straciliśmy na próżno cały dzień. Parowiec „Ellenora” miał podnieść kotwicę dopiero późnym wieczorem. Te dziewięć godzin popędliwy podróżny spędził w gorączkowym podnieceniu, przez cały czas klnąc na czym świat stoi dyrekcje linii okrętowych i kolejowych oraz rządy tolerujące podobny bałagan. Musiałem mu wtórować, gdy wziął w obroty kapitana „Ellenory” i chciał go zmusić, by niezwłocznie kazał rozpalać pod kotłami. Ale kapitan posłał, profesora do wszystkich diabłów.

Jednak w Kilonii – jak wszędzie – każdy dzień ma swój koniec. I tak spacerując po zieloniejących brzegach zatoki, w głębi której wznosiło się miasteczko, przemierzając gęste lasy nadające mu

wygląd gniazda ukrytego wśród gałęzi, podziwiając wille, z których każda ma własny budynek kąpielowy, przechadzając się i klnąc na przemian – doczekaliśmy się wreszcie dziesiątej wieczór.

Kłęby dymu z „Ellenory” snuły się po niebie, a pokład dygotał od wibrowania kotła; na statku przydzielono nam dwie koje, umieszczone jedna nad drugą w jedynej znajdującej się tu kajucie.

Kwadrans po dziesiątej podniesiono kotwicę i parowiec zaczął pruć szybko ciemne wody Wielkiego Bełtu.

Noc była bardzo ciemna, wiał pomyślny wiatr, morze było wzburzone; od strony wybrzeża mignęło w mroku kilka świateł, później latarnia morska zabłysła gdzieś ponad falami – o co mi utkwilo w pamięci z tej pierwszej morskiej podróży.

O godzinie siódmej rano zeszliśmy na ląd w Korsor, mała miejscina położonej na zachodnim wybrzeżu Zelandii. Tu przesiedliśmy się na pociąg, który powioził nas poprzez krainę rów nie płaską jak Holsztyn.

Trzy godziny jazdy koleją dzieliły nas od stolicy Danii. Wuj nie zmrużył oka przez całą noc, a teraz tak się niecierpliwił, iż miało się wrażenie, że popycha wagon nogami.

Wreszcie dostrzegł wąski pas morza.

– Sund! – zawołał.

Po lewej stronie widać było olbrzymią budowlę przypominającą szpital.

– Zakład dla umysłowo chorych – wyjaśnił jeden z naszych towarzyszy podróży.

„To jest przybytek, gdzie powinniśmy zakończyć żywot – pomyślałem sobie. – I chociaż wydaje się bardzo duży, jest jeszcze za mały, aby pomieścić całe szaleństwo profesora Lidenbrocka”.

Wreszcie o dziesiątej rano zajechaliśmy do Kopenhagi, bagaże załadowano do powozu i udaliśmy się do hotelu „Feniks” na Bred-Gade. Stacja kolejowa leży poza miastem i straciliśmy na jazdę pół godziny. Wuj ogarnął się nieco i zaraz wyszedł wraz ze mną na miasto. Wprawdzie portier hotelowy mówił po angielsku i po niemiecku, lecz profesor, jako poliglota, zagadnął go po duńsku i portier poinformował go w tym języku, gdzie znajduje się Muzeum Zabytków Północy.

Dyrektorem tej ze wszech miar ciekawej instytucji – gdzie zgromadzono różne cuda, takie jak stara kamienna broń, puchary, klejnoty, dzięki którym można odtworzyć historię kraju – był profesor Thomson, uczony, przyjaciel konsula duńskiego w Hamburgu. Wuj miał do niego gorący list polecający. Na ogół uczeni niechętnie widzą u siebie innych uczonych. Ale w tym wypadku było zupełnie inaczej. Pan Thomson, człowiek niesłychanie uczynny, zgotował serdeczne przyjęcie profesorowi Lidenbrockowi, a nawet jego siostrzeńcowi. Nie potrzebuję chyba nadmieniać, że nie ujawniliśmy swego sekretu zacnemu dyrektorowi Muzeum. Chcieliśmy po prostu zwiedzić Islandię w charakterze zwykłych turystów.

Pan Thomson wyraził gotowość udzielenia nam wszelkiej pomocy, po czym obeszliliśmy całe

nadbrzeże w poszukiwaniu odpowiedniego statku.

Liczyłem na to, że środki transportowe zawiodą, lecz nadzieje moje spełzły na niczym. Mała duńska goeleta „Walkiria” miała podnieść kotwicę 2 czerwca i wziąć kurs na Reykjavik. Akurat kapitan Bjarne znajdował się na statku; przyszedł jego pasażer, profesor Lidenbrock, w przystępie radości omal nie zmiądzzył mu dłoni przy powitaniu. Pocziwy wilk morski był cokolwiek zdziwiony podobną wylewnością. Rejs do Islandii uważał za rzecz najzwyczajszą w świecie, leżącą w zakresie jego obowiązków. Wykorzystał jednak entuzjazm wuja i kazał nam zapłacić podwójną należność za przejazd. Ale nie przywiązywaliśmy do tego żadnej wagi.

– Przyjdźcie tu we wtorek o siódmej rano – rzekł kapitan Bjarne po zainkasowaniu pokaźnej sumy w brzęczącej monecie.

Podziękowawszy panu Thomsonowi za życzliwą opiekę, powróciliśmy do hotelu „Feniks”.

– Wszystko układa się dobrze, bardzo dobrze! – powtarzał wuj. – Cóż za szczęśliwy traf, że znaleźliśmy ten statek, i to gotowy do drogi! A teraz zjedzmy śniadanie i chodźmy zwiedzić miasto.

Udaliśmy się na niesymetryczny plac Kongens-Nye-Torw, gdzie stoją dwa wycelowane, lecz niegroźne działa, które w nikim nie wzbudzają strachu. W pobliżu, pod numerem piątym, mieściła się francuska restauracja prowadzona przez kuchmistrza, niejakiego Vincent. Ceny były umiarkowane, najedliśmy się więc do syta, płacąc cztery marki od osoby.

Potem z dziecięcym zachwytem obiegłem całe miasto, a wuj biernie poddawał się mojej woli. Zresztą nie widział nic dokoła siebie: ani pałacu królewskiego, ani pięknego mostu z siedemnastego wieku przerzuconego przez kanał naprzeciwko Muzeum, ani wielkich wiatraków na wałach, których szerokie śmigła pęczniały jak żagle na morskim wietrze.

Jakież urocze spacerowałybyśmy tutaj z moją cudną Gretą! Powędrowalibyśmy i w stronę portu, gdzie drzemią spokojnie dwupokładowe statki i fregaty, i na szmaragdowe brzegi cieśniny, i przez cieniste kępy drzew kryjących cytadelę, której działa wyciągają czarniawe paszcze między gałęziami bżów i wierzb.

Niestety, moja biedna Greta była daleko i miałem słabą nadzieję, że ją kiedykolwiek zobaczę!

Aczkolwiek wuj nie dostrzegł ani jednego z tych uroczych zakątków, uderzył go jednak widok pewnej dzwonnicy położonej na wyspie Amak, która stanowi południowo-zachodnią dzielnicę Kopenhagi.

Wuj polecił mi skierować kroki w tę stronę, wsiedliśmy na stateczek parowy obsługujący kanały i po chwili dobiliśmy do nadbrzeża Dock-Yard.

Minęliśmy kilka wąskich uliczek, gdzie więźniowie w żółto-szarych, pasiastych spodniach pracowali pod okiem dozorca uzbrojonego w kij, i doszliśmy do Vor-Frelers-Kirk. Nie był to kościół specjalnie godny uwagi, lecz jego strzelista dzwonnica zainteresowała profesora, gdyż począwszy od tarasu wieży wiły się wokół iglicy zewnętrzne schody, a ich spirale pięły się hen,

wysoko ku niebu.

- No, chodźmy na górę – rzekł wuj.
- A jeżeli dostaniemy zawrotu głowy? – spytałem.
- To świetnie! Musimy się do tego przyzwyczaić.
- Ale...
- Chodź, mówię ci! Nie traćmy czasu.

Chcąc nie chcąc musiałem usłuchać. Odzwierny, mieszkający po drugiej stronie ulicy, wręczył nam klucz i rozpoczęła się wspinaczka. Wuj szedł pierwszy żwawym krokiem. Postępowałem za nim z drżeniem serca, jako że byłem niebywale skłonny do zawrotów głowy. Nie mogłem pochwalić się ani śmiałości orła, ani wytrzymałością jego nerwów.

Wszystko szło dobrze, póki byliśmy uwięzieni na krętych schodach wewnątrz wieży; lecz gdy pokonaliśmy sto pięćdziesiąt stopni, świeże powietrze owionęło mi twarz – dotarliśmy do tarasu dzwonnicy. Tu zaczynały się schody zewnętrzne, zabezpieczone delikatną poręczą, a stopnie, coraz węższe, pięły się jak gdyby w nieskończoność.

- Za nic tam nie wejdę! – krzyknąłem.
- Czyżbyś był tchórzem podszyty? Właż natychmiast! – rozkazał nieubłagany profesor.

Rad nierad, musiałem iść za nim, trzymając się kurczowo schodów. Odurzało mnie świeże powietrze, czułem, jak dzwonnica chwieje się pod naporem wiatru, nogi ugiwały się pode mną; niebawem posuwałem się na kolanach, a potem na brzuchu, przymykałem oczy odczuwając straszliwy lęk przestrzeni.

Wreszcie przy pomocy wuja, który ciągnął mnie za kołnierz, dowlokłem się do kuli wieńczącej szczyt.

- Patrz – rzekł do mnie – patrz śmiało! Trzeba oswajać się z przepaścią.

Musiałem otworzyć oczy. Ujrzałem wśród ścielących się dymów spłaszczony domy, jakby przygniecione na skutek jakiejś katastrofy. Nad moją głową sunęły rozwichrzony obłoki, które dzięki złudzeniu optycznemu wydawały się nieruchome, gdy tymczasem dzwonnica wraz z kulą i ze mną pędziła gdzieś z fantastyczną szybkością. Z jednej strony ciągnęły się w oddali zieleniejące błonia, z drugiej w snopach promieni połyskiwało morze. Przy cyplu Helsingorn rozciągał się Sund upstrzony białymi żaglami niby skrzydłami mew, a w oparach mgły na wschodzie migotały ledwo zarysowane wybrzeża Szwecji. Cały ten bezkres wirował mi przed oczami. Niemniej musiałem wstać, trzymać się prosto i patrzeć. Pierwsza taka lekcja trwała godzinę. Gdy wreszcie pozwolono mi zejść i dotknąłem stopą stałego gruntu, byłem formalnie rozbity.

- Jutro powtórzymy to znowu – oznajmił profesor. Istotnie, w ciągu pięciu dni ponawialiśmy

karkołomne ćwiczenie i, rad nierad, poczyniłem widoczne postępy w sztuce „podniebnych kontemplacji”.



Nadeszła chwila odjazdu. W przeddzień uprzejmy pan Thomson wręczył wujowi listy polecające nas usilnie baronowi Trampe, gubernatorowi Islandii, wielebnemu Picturssonowi, koadiutorowi biskupa, oraz panu Finsenowi, burmistrzowi Reykjaviku. W dowód wdzięczności wuj serdecznie uściśnił mu dłonie. 2 czerwca o godzinie szóstej rano nasze cenne bagaże załadowano na pokład „Walkirii”. Kapitan zaprowadził nas do kajut, dość wąskich, umieszczonych na rufie.

– Czy wiatr mamy pomyślny? – spytał wuj.

– Doskonały – odparł kapitan Bjarne. – Południowo-wschodni. Wyruszymy z Sundu na pełnych żaglach.

W kilka minut później goeleta, gotowa do drogi, pod rozwiniętym przednikiem, skośnikami, żaglem gniezdny i bramslem, wypłynęła na cieśninę. Po godzinie stolica Danii jakby zapadła gdzieś w odległe fale, a „Walkiria” płynęła wzdłuż wybrzeży Elnor. W tym nastroju ducha, w jakim się znajdowałem, spodziewałem się ujrzeć widmo Hamleta błędzące na legendarnych murach.

„Wzniosły szaleńcze! – myślałem sobie. – Zapewne pochwalilibyś nasz czyn, być może wybrałbyś się wraz z nami, ażeby we wnętrzu Ziemi szukać leku na trapiące cię wiecznie zwątpienie”.

Lecz nikt nie ukazał się na starych blankach, zresztą zamek jest znacznie późniejszy od bohaterskiego duńskiego księcia. Obecnie służy za okazałą siedzibę dla „odźwiernego” cieśniny Sundu, przez którą przepływa rocznie tysiące okrętów pod przeróżnymi banderami. Wkrótce zamek Kronborg znikł wśród mgły podobnie jak wieża Helsingborg, wznosząca się na wybrzeżu szwedzkim, goeleta zaś przechyliła się lekko w podmuchach wiatru wiejącego od Kattegatu.

„Walkiria” była wypróbowanym żaglowcem, ale nigdy nie można całkowicie polegać na tego rodzaju statkach. Goeleta wiozła do Reykjaviku węgiel, artykuły gospodarcze, wyroby garncarskie, odzież wełnianą oraz ładunek pszenicy; pięciu członków załogi – sami Duńczycy – wystarczało do obsługi statku.

– Jak długo potrwa podróż? – zapytał wuj kapitana.

– Około dziesięciu dni – odpowiedział – o ile nie przeszkodzi nam wichura z północnego zachodu na wprost wysp Faroer.

– Ale w zasadzie nie przewiduje pan większego opóźnienia?

– Nie, profesorze, niech pan będzie spokojny, przyjedziemy na czas.

Pod wieczór goeleta okrążyła przylądek Skagen, najdalej na północ wysunięty cypel Danii, w ciągu nocy przebyła Skagerrak, przepłynęła wzdłuż brzegów Norwegii na wprost przylądka Lindesnes i wydostała się na Morze Północne.

W dwa dni później rozpoznaliśmy wybrzeże Szkocji na wysokości Peterheade i „Walkiria”

skierowała się ku wyspom Faroer przemykając się między Orkadami a Wyspami Szetlandzkimi.

Niebawem o naszą goeletę uderzyły fale Atlantyku, musiała płynąć zygzakiem przeciw wiatrom północnym i dotarła z trudem do wysp Faroer. 8 czerwca kapitan rozpoznał Myggenoes, najdalej z nich wszystkich wysuniętą na wschód, i począwszy od tego momentu skierował się wprost na przylądek Portland, położony na południowym wybrzeżu Islandii.

Podczas podróży nie zaszło nic godnego uwagi. Znosiłem dość dobrze trudy morskiej przeprawy, wuj natomiast chorował przez cały czas, złościąc się, a jeszcze bardziej wstydząc się swojej słabości.

Nie mógł nawet wypytać kapitana Bjarne o wulkan Sneffels ani o środki komunikacyjne czy trudności transportowe, zmuszony był odłożyć te pytania do chwili przybycia na miejsce i leżał ciągle w swojej kajucie, której cienkie ściany trzeszczały przy gwałtownym kołysaniu statku. Trzeba przyznać, że do pewnego stopnia zasłużył sobie na taki los.

11 czerwca dostrzegliśmy przylądek Portland; dzięki dobrej widoczności można było dojrzeć Myrdals Jokul, górujący nad okolicą. Przylądek był właściwie niewielką górą o stromych zboczach, sterczącą samotnie na wybrzeżu.

„Walkiria” trzymała się w przyzwoitej odległości od brzegów, sunąc ku zachodowi pośród stad rekinów. Wkrótce ukazała się olbrzymia skała przebita na wylot, poprzez którą spienione morze przelewało się z furją. Wyspy Westmana wyłoniły się z oceanu niby głązy rozsiane na wodnej równinie. Teraz goleta nabrała rozpędu, aby okrążyć z dala przylądek Reykjaness, tworzący zachodni róg Islandii.

Morze, ogromnie wzburzone, uniemożliwiło wujowi wyjście na pokład i podziwianie tych poszarpanych brzegów, smaganych przez południowo-zachodnie wiatry.

W czterdzieści osiem godzin później, wydostawszy się z burzy, która zmusiła goletę do ucieczki przy zwiniętych żaglach, dostrzegliśmy na wschodzie znaki ostrzegawcze przed cyplem Skagi, którego groźne skały ciągną się pod falami w znacznej odległości od brzegu. Na statek przybył pilot islandzki i po trzech godzinach „Walkiria” rzuciła kotwicę przed Reykjavikiem, w zatoce Faksa.

Profesor opuścił wreszcie kajutę, może cokolwiek blady i mizerny, ale zawsze pełen entuzjazmu i z wyrazem zadowolenia w oczach. Mieszkańcy miasta, ogromnie poruszeni przybyciem żaglowca, który przywiózł atrakcyjne towary, zgromadzili się na nadbrzeżu.

Wujowi pilno było opuścić to pływające więzienie, żeby nie powiedzieć szpital. Ale zanim zesliśmy na ląd, pociągnął mnie za sobą na dziób żaglowca i stąd wskazał mi palcem wysoką górę o dwóch wierzchołkach, podwójny stożek okryty wiecznym śniegiem, wznoszący się w północnej części zatoki.

– Sneffels! – zawołał. – Sneffels!

Po czym, nakazawszy mi gestem bezwzględne milczenie, zszedł do oczekującej go łodzi; udałem

się w ślad za nim i wkrótce dotknęliśmy stopą islandzkiej ziemi.

Przede wszystkim zjawił się przed nami postawny mężczyzna w generalskim mundurze. Był to jednak przedstawiciel władzy cywilnej, gubernator wyspy, baron Trampe we własnej osobie. Profesor zorientował się od razu, z kim ma do czynienia. Wręczył gubernatorowi listy przywiezione z Kopenhagi i nawiązała się krótka rozmowa po duńsku, w której ze zrozumiałych względów nie brałem udziału. W wyniku tej wymiany zdań baron Trampe oświadczył, że jest do dyspozycji profesora Lidenbrocka.

Wuj doznał także serdecznego przyjęcia u burmistrza miasta, pana Finsena, który miał mundur o takim samym wojskowym kroju jak uniform gubernatora, temperament zaś i stanowisko – równie spokojne. Natomiast koadiutor, wielebny Pictursson, odbywał właśnie wizytację pasterską w północnych diecezjach, wobec czego musieliśmy zrezygnować z poznania go. Atoli przemiłym człowiekiem okazał się pan Fridriksson, profesor przyrody w szkole w Reykjavik, który udzielił nam wręcz nieocenionej pomocy. Ten skromny naukowiec mówił tylko po islandzku i po łacinie; zaoferował mi swoje usługi, zwracając się do mnie w języku Horacego, i uświadomiłem sobie, że z tym człowiekiem dojdę do porozumienia. Istotnie była to jedyna osoba, z którą zdołałem rozmówić się w czasie naszego pobytu w Islandii.

Domek jego składał się z trzech pokoi, z których ten uczynny człowiek odstąpił nam dwa; niebawem zainstalowaliśmy się tam wraz z całym bagażem, którego pokaźna ilość zdziwiła nieco mieszkańców Reykjaviku.

– Jak widzisz, Akselu, dobrze nam się dotychczas wiedzie – rzekł wuj. – Największe trudności mamy już poza sobą.

– Jak to! – zawołałem.

– Oczywiście, pozostało nam tylko zejść w głąb krateru.

– Z tego punktu widzenia wuj ma rację, ale kiedy już zejdziemy, to moim zdaniem trzeba też będzie kiedyś wyjść.

– Ach, tym się wcale nie przejmuję! No, ale nie ma czasu do stracenia. Idę do biblioteki. Może znajdę tam jakiś rękopis Saknussemma; z przyjemnością zapoznam się z jego treścią.

– A ja przez ten czas pójdę zwiedzić miasto. Czy wuj nie wybierze się ze mną?

– Och, to mnie niewiele interesuje! Tutaj najciekawsze rzeczy znajdują się pod ziemią, a nie na powierzchni.

Wyszedłem więc sam i błąkałem się po mieście na chybił trafił. Niełatwo było zabłądzić na dwóch ulicach Reykjaviku. Nie potrzebowałem pytać o drogę, co przy porozumiewaniu się na migi mogło wywołać wiele nieporozumień.

Miasto leży na niskim, bagnistym terenie między wzgórzami. Z jednej strony oblane jest olbrzymim potokiem zastygłej lawy schodzącym łagodnymi tarasami aż do morza; na wprost roztacza się

rozległa zatoka Faksa ograniczona na północy ogromnym lodowcem Sneffels. Obecnie w zatoce tej zakotwiczona była jedynie „Walkiria”. Zazwyczaj na pełnym morzu czuwały nad bezpieczeństwem swych rybaków angielskie i francuskie statki strażnicze, teraz jednak pełniły służbę u wschodnich wybrzeży wyspy.

Najdłuższa z dwóch ulic Reykjavíku ciągnie się równoległe do morskiego brzegu; tu w drewnianych chatkach z czerwonych, poziomo ułożonych belek mieszkają kupcy i handlarze; druga ulica, położona bardziej na zachód, biegnie ku małemu jezioru pomiędzy domami obywateli nie należących do stanu kupieckiego. Tutaj znajduje się też siedziba biskupa.

Szybko przemierzyłem te ponure i smutne ulice; niekiedy mignął mi skrawek wyblakłego trawnika, przypominający stary wełniany dywan, wytarty i zużyty, niekiedy coś w rodzaju warzywnika, którego nędzne plody – kartofle, kapusta i sałata – mogłyby łatwo zmieścić się na lilipucim stole; gdzieś tam chleby, żółte laki usiłowały naśladować słońce.

Mniej więcej w środku niehandlowej ulicy natrafiłem na cmentarz miejski ogrodzony wałem ziemnym, gdzie nie brakowało wolnych miejsc. Wystarczyło kilku kroków, by dotrzeć stąd do domu gubernatora; była to rudera w porównaniu z ratuszem w Hamburgu, lecz prawdziwy pałac w zestawieniu z chałupami ludności islandzkiej.

Między jeziorem a miastem wznosił się kościół w typie świątyń protestanckich, pobudowany z przepalonych kamieni, których koszt wydobycia ponoszą wulkany; podczas gwałtownych wiatrów zachodnich czerwone dachówki fruwały z pewnością w powietrzu, z wielką szkodą dla wiernych.

Na sąsiednim wzniesieniu zauważyłem szkołę państwową, gdzie (jak dowiedziałem się później) nauczano aż czterech języków: hebrajskiego, angielskiego, francuskiego i duńskiego, z których – ze wstydem wyznać muszę – nie znałem ani słowa. Byłbym chyba ostatnim uczniem spośród czterdziestu uczęszczających do tego niewielkiego gimnazjum, niegodny spać wraz z nimi w owych szafach o dwóch kondygnacjach, gdzie co delikatniejsi pensjonariusze duszą się zapewne już pierwszej nocy.

W ciągu trzech godzin zwiedziłem nie tylko miasto, ale i najbliższe jego okolice. Ogólny widok sprawia dziwnie smutne wrażenie. Nie ma drzew, nie ma – śmiało można powiedzieć – żadnej roślinności. Wszędzie sterczą nagie żebra wulkanicznych skał. Chaty Islandczyków zrobione są z ziemi i torfu, a ściany ich, pochylone do środka, podobne są do dachów ustawionych na ziemi, z tą różnicą, że dachy te przypominają względnie urodzajne łączki. Dzięki ciepłu dochodzącemu z mieszkań rośnie na nich dość bujna trawa, którą kosi się starannie w czasie sianokosów, w przeciwnym razie zwierzęta domowe gotowe by były paść się na tych pokrytych zielenią chatkach.

Podczas tej krajoznawczej wycieczki spotkałem niewielu mieszkańców miasta; gdy wracałem z dzielnicy handlowej, zwróciło moją uwagę, iż większość z nich zajęta była suszeniem, soleniem oraz ładowaniem sztokfisz, głównego produktu eksportu. Mężczyźni o zamyślonym spojrzeniu, podobni do jasnowłosych Niemców, sprawiali wrażenie ludzi silnych, ale ociężałych. Ubiór ich składał się z prostej bluzy, uszytej z czarnej wełny znanej we wszystkich krajach skandynawskich pod nazwą „vadmel”, z kapelusza o szerokim rondzie, ze spodni z czerwoną wypustką i z kawałków skóry zastępujących buty.

Kobiety o dość przyjemnym typie urody, o twarzy smutnej i zrezygnowanej, ubrane były w staniki i spódnice z ciemnego wadmeli, dziewczęta nosiły na włosach, splecionych w koronę, małe czapeczki z brązowego trykotu, mężatki zaś miały na głowach kolorowe chusteczki, na których sterczały czepe z białego płótna.

Gdy po tym dalekim spacerze wróciłem do domu pana Fridrikssona, zastałem tam już wuja w towarzystwie naszego gospodarza.

Obiad był gotowy; profesor Lidenbrock pochłaniał go łapczywie, jako że jego żołądek, pod wpływem przymusowej diety w czasie podróży morskiej, zamienił się w otchłań bez dna. Posiłek ten, raczej duński niż islandzki, nie odznaczał się niczym szczególnym, natomiast gospodarz nasz, raczej Islandczyk niż Duńczyk, przypominał mi starożytnych bohaterów słynnych z gościnności. Wydawało się, że nie on, lecz my jesteśmy tu u siebie w domu.

Rozmowa toczyła się w języku miejscowym, przy czym wuj wtrącał słowa niemieckie, a pan Fridriksson łacińskie, aby ułatwić mi zrozumienie dyskusji. Dotyczyła ona problemów naukowych, jak to zazwyczaj bywa między profesorami, lecz wuj Lidenbrock zachowywał najdalej idącą rezerwę i przy każdym zdaniu wzrok jego nakazywał mi absolutne milczenie co do naszych projektów.

Przede wszystkim pan Fridriksson chciał dowiedzieć się od wuja, jakie były rezultaty jego poszukiwań w bibliotece.

– Wasza biblioteka składa się ze zdekompletowanych książek i ogołoconych półek! – zawołał wuj.

– Jak to? – zaprotestował pan Fridriksson. – Posiadamy osiem tysięcy tomów, między nimi jest wiele rzadkich i cennych okazów dzieł w starym języku skandynawskim i wszystkie nowości, w które co rok zaopatruje nas Kopenhaga.

– Gdzie pan ma te osiem tysięcy tomów? Według mnie...

– Och, panie Lidenbrock, książki wędrują po całym kraju; tu, na naszej starej, lodowej wyspie ludzie lubią się kształcić. Każdy wieśniak, każdy rybak umie czytać i czyta wiele. Uważamy, że książki zamiast pleśnieć za żelazną kratą, z dala od ciekawych spojrzeń, winny zużyć się w służbie czytelnika. Toteż te tomy przechodzą z rąk do rąk, są wciąż kartkowane, czytane wielokrotnie i częstokroć wracają na półki po rocznej czy dwuletniej nieobecności.

– A przez ten czas cudzoziemcy... – zaczął wuj z pewnym niezadowoleniem.

– Cóż, nie ma na to rady! Zresztą cudzoziemcy mają biblioteki u siebie, a dla nas jest sprawą pierwszorzędnej wagi, żeby nasi chłopcy mogli się kształcić. Powtarzam jeszcze raz, że Islandczyk ma we krwi zamiłowanie do nauki. Toteż w 1816 roku założyliśmy Towarzystwo Literackie, które dobrze prosperuje; zagraniczni uczeni uważają sobie za zaszczyt należeć do niego; drukuje ono książki przeznaczone dla szerzenia oświaty wśród naszych rodaków i oddaje wielkie usługi krajowi. Jeśli zgodzi się pan, profesorze, zostać członkiem-korespondentem tego Towarzystwa, sprawi nam pan wielką radość.

Wuj, który już był członkiem co najmniej stu towarzystw naukowych, chętnie przychylił się do tej prośby, co wyraźnie wzruszyło pana Fridrikssona.

– A teraz – podjął gospodarz – proszę mi powiedzieć, jakich książek szuka pan w naszej bibliotece. Może będę mógł udzielić panu wskazówek w tym względzie.

Spojrzałem na wuja. Zastanawiał się, co ma odpowiedzieć, gdyż dotyczyło to bezpośrednio jego projektów. Jednakże po chwili namysłu zapytał:

– Chciałbym wiedzieć, panie Fridriksson, czy wśród waszych starych ksiąg nie ma przypadkiem dzieł Arne Saknussemma?

– Arne Saknussem! – zawołał profesor z Reykjavíku. – Ma pan zapewne na myśli uczonego z XVI wieku, który był jednocześnie wielkim przyrodnikiem, wielkim alchemikiem i wielkim podróżnikiem?

– Tak jest.

– Chlubę literatury i nauki islandzkiej?

– Nie inaczej.

– Człowieka najślawniejszego wśród sławnych?

– Zgadzam się z panem w zupełności.

– I którego śmiałość dorównywała geniuszowi?

– Widzę, że pan go dobrze zna.

Słyszając takie pochwały swojego bohatera, wuj po prostu pławił się w rozkoszy. Pożerał wzrokiem pana Fridrikssona.

– Więc jak, czy macie jego dzieła? – zapytał.

– Niestety nie.

– Jak to, nie macie ich tu, na Islandii?

– Nie istnieją ani na Islandii, ani w ogóle nigdzie.

– A dlaczegoż to?

– Bo Arne Saknussem był prześladowany za herezję i w 1573 roku wszystkie jego dzieła zostały spalone przez kata w Kopenhadze.

– Bardzo dobrze! Doskonale! – zawołał wuj ku niesłychanemu oburzeniu profesora przyrody. – Wszystko jest zrozumiałe, jasne, wszystko się wiąże i teraz rozumiem, dlaczego Saknussem, będąc na indeksie, zmuszony do zatajenia swoich genialnych odkryć, musiał powierzyć swój sekret niezrozumiałym znakom kryptogramu...

– Jaki sekret? – spytał pan Fridriksson z żywym zainteresowaniem.

– Sekret, który... którego... – jękał się wuj.

– Czyżby pan posiadał jakiś rewelacyjny dokument? – podjął znów nasz gospodarz.

– Nie... To tylko domysły.

– Ach, tak? – odpowiedział pan Fridriksson; był na tyle uprzejmy, że widząc zmieszanie swego rozmówcy nie nalegał więcej. – Mam nadzieję – dodał – że przed opuszczeniem naszej wyspy zbada pan jej bogactwa mineralne?

– Oczywiście – odpowiedział wuj – ale przyjeżdżam cokolwiek za późno, zapewne niejeden uczony już tutaj zaglądał?

– Tak jest, profesorze; prace Olafsena i Povelsena podjęte z rozkazu króla, badania przeprowadzone przez Troila, ekspedycja naukowa Gaimarda i Roberta, wysłana na korwecie francuskiej „La Recherche”, i ostatnio badania uczonych przybyłych na fregacie „La Reine Hortense” przyczyniły się poważnie do poznania Islandii. Lecz proszę mi wierzyć, dużo jest jeszcze do zrobienia.

– Tak pan sądzi? – spytał wuj z dobroduszną miną, usiłując przytłumić błysk oczu.

– Bez wątpienia. Ileż jeszcze gór, lodowców i wulkanów pozostało do zbadania! Co tu szukać daleko! Proszę, chociażby Sneffels, ta góra, która wznosi się tam na horyzoncie.

– Ach, tak? To Sneffels?

– Tak, jeden z najciekawszych wulkanów. Mało kto zapuszczał się do jego krateru.

– Nieczynny?

– O tak, wygasły od sześciuset lat.

– Wie pan – zaczął wuj, kurczowo krzyżując nogi, żeby nie podskoczyć do góry – mam ochotę rozpocząć badania geologiczne od tego Seffelsa... Fesselsa... jak pan powiedział?

– Sneffelsa – powtórzył pocziwy pan Fridriksson.

Ta część rozmowy prowadzona była po łacinie. Zrozumiałem wszystko i ledwo mogłem zachować powagę na widok wuja, który starał się opanować rozpiejącą go radość, przybierał niewinny wyraz twarzy, łudząco podobny do miny starego diabła. – Tak – powtórzył raz jeszcze – zdecydowałem się ostatecznie pod wpływem pańskich słów; spróbujemy wspiąć się na Sneffelsa, a może nawet zbadać jego krater!

– Ogromnie żałuję, że moje zajęcia nie pozwalają mi opuścić Reykjaviku. Z największą przyjemnością i korzyścią dla siebie towarzyszyłbym panom – odpowiedział pan Fridriksson.

– O nie, o nie! – odparł żywo wuj. – Nie chcemy trudzić nikogo! Dziękuję panu z całego serca za



dobrze chęci. Obecność uczonego tej miary, co pan, byłaby ogromnie pożądana, lecz obowiązki związane z pana zawodem...

Ufam, że nasz gospodarz, dzięki swej niewinnej islandzkiej duszy, nie zrozumiał ironii mego wuja.

– Wielce pochwalam pański zamiar rozpoczęcia badań od tego właśnie wulkanu; zbierze pan obfite żniwo ciekawych obserwacji. Ale proszę mi powiedzieć, w jaki sposób chce się pan dostać na półwysep Sneffels?

– Chyba morzem, przez zatokę. To najkrótsza droga.

– Zapewne, ale niestety nie można z niej korzystać.

– Dlaczego?

– Bo nie ma teraz ani jednej łodzi w Reykjavíku.

– A do licha!

– Trzeba będzie jechać lądem, wzdłuż wybrzeża. Wprawdzie to dłuższa droga, ale za to ciekawsza.

– No, dobrze. Muszę sobie znaleźć przewodnika.

– Akurat mam odpowiedniego.

– Czy to ktoś pewny, roztropny?

– Tak, mieszkaniec półwyspu. To łowca edredonów, człowiek niesłychanie zręczny, będzie pan z niego zadowolony. Mówi doskonale po duńsku.

– A kiedy będę mógł się z nim zobaczyć?

– Chociażby jutro, jeśli to panu odpowiada.

– A dlaczego nie dzisiaj?

– Bo przyjeżdża dopiero jutro.

– No to poczekamy – zgodził się wuj z westchnieniem.

W kilka minut później, na zakończenie tej ważnej rozmowy, profesor niemiecki wyraził gorące podziękowanie profesorowi islandzkiemu. W czasie owego obiadu wuj dowiedział się niezmiernie interesujących rzeczy, poznał między innymi historię Saknussemma i powód, dla którego rękopis okryty był taką tajemnicą; upewnił się również, że nasz gospodarz nie ma zamiaru wziąć udziału w wyprawie i że nazajutrz będzie miał do dyspozycji dziełnego przewodnika.

Wieczorem odbyłem znowu krótką przechadzkę po wybrzeżu morskim, wróciłem jednak wcześniej, położyłem się do łóżka z grubych desek i zapadłem w głęboki sen.

Kiedy obudziłem się nazajutrz rano, usłyszałem, że wuj opowiada o czymś długo i szeroko w sąsiednim pokoju. Wstałem natychmiast i pośpieszyłem do niego.

Rozmawiał po duńsku z jakimś wysokim mężczyzną o silnej budowie. Ten postawny chłop musiał być obdarzony niepowседневną siłą. Głowę miał potężną, oczy jego, wzierające z dość naiwnej twarzy, wydały mi się rozumne. Były niebieskie, o marzącym wyrazie. Na atletyczne ramiona spływały mu długie włosy, które nawet w Anglii uchodziłyby za rude. Ten krajowiec o sprężystym chodzie rzadko jednak poruszał rękoma, jak gdyby nie umiał się posługiwać lub pogardzał wymową gestów. Wszystko wskazywało na to, że był niezwykle spokojnego temperamentu, bynajmniej nie ospały, lecz zrównoważony. Wyczuwało się, że od nikogo niczego nie żądał, pracował zgodnie z własnym upodobaniem i że nic na tym świecie nie zdołałoby ani zachwiać, ani zaskoczyć jego swoistej filozofii.

Zaobserwowałem te cechy jego charakteru po sposobie, w jaki słuchał potoku gwałtownych słów swego rozmówcy. Trwał nieruchomo, ze skrzyżowanymi rękoma, nieczuły na namiętą gestykulację wuja; gdy przeczył, obracał głowę od lewej strony ku prawej, kiedy potakiwał, pochylał ją, ale tak nieznacznie, że długie jego włosy ledwo się poruszały; była to oszczędność ruchów granicząca ze skąpstwem.

Patrząc na tego człowieka, nigdy bym nie odgadł, że jest z zawodu myśliwym; na pewno nie płoszył zwierzyny, ale w jaki sposób zdołał ją trafić?

Wszystko się wyjaśniło z chwilą, gdy pan Fridriksson wytłumaczył nam, że ten spokojny człowiek jest „łowcą edredonów”, ptaków, których pierze stanowi największe bogactwo wyspy, podbieranie tego puchu bynajmniej nie wymaga wielu gestów. Na początku lata samica owego ptaka, rodzaj ładnej kaczki, buduje sobie gniazdo między skałami fiordów, którymi poszarpane jest całe wybrzeże; kiedy wykończy gniazdo, wyścieła je delikatnymi piórkami, wyrwanymi z brzucha. Niebawem zjawia się myśliwy, a raczej „przedsiębiorca”, zabiera gniazdo, po czym samica rozpoczyna na nowo swoją żmudną pracę. Powtarza się to dopóty, dopóki kaczka ma na sobie choćby odrobinę pierza. Gdy się już całkowicie z niego ogołoci, nadchodzi kolej na kaczora. Ale ponieważ jego twardy, gruby puch nie przedstawia żadnej wartości handlowej, myśliwy nie trzusi się zabieraniem wyściółki przeznaczonej dla przyszłego lęgu; gniazdo zostaje więc wykończone, samica wysiaduje jaja, pisklęta lęgną się i za rok zaczyna się znów zbiór puchu.

Ponieważ edredony nie budują gniazd na urwiskach, lecz wolą łatwo dostępne skały wysunięte ku morzu, przeto myśliwy islandzki może uprawiać swój zawód bez wielkiego wysiłku. Można go porównać z rolnikiem, który nie orze i nie sieje, tylko zbiera plon.

Ów poważny, milczący i flegmatyczny człowiek nazywał się Hans Bjelke; był to nasz przyszły przewodnik i przybył tu z polecenia pana Fridrikssona.

Sposobem zachowania różnił się krańcowo od wuja, ale mimo to łatwo doszli do porozumienia. Ani jeden, ani drugi nie przywiązywał wielkiej wagi do wynagrodzenia: jedna strona gotowa była przyjąć każde proponowane warunki, druga – gotowa zapłacić każdą żadaną sumę. Nigdy chyba tak łatwo nie dobito targu.

Z umowy wynikało, że Hans ma nas zaprowadzić do wsi Stapi, położonej na południowym wybrzeżu półwyspu Sneffels, u stóp wulkanu. Należało liczyć się z tym, że drogą lądową trzeba będzie przebyć około dwudziestu dwóch mil. Zdaniem wuja podróż ta powinna potrwać najwyżej dwa dni, lecz gdy dowiedział się, że chodzi tu o mile duńskie, liczące dwadzieścia cztery tysiące stóp, musiał zmienić swoje obliczenia i – ze względu na bezdroża – przygotować się na siedem czy osiem dni wędrówki. Mieliśmy otrzymać cztery konie do naszej dyspozycji – dwa przeznaczone były dla wuja i dla mnie, dwa do dźwigania bagaży. Hans, zgodnie ze swoim zwyczajem, postanowił iść pieszo. Znał doskonale tę część wybrzeża i obiecał poprowadzić nas najkrótszą drogą.

Umowa między nim a wujem nie wygasła w Stapi: podczas całej ekspedycji naukowej miał pozostać u nas na służbie za wynagrodzeniem trzech riksdalerów tygodniowo. Jednocześnie zostało wyraźnie zastrzeżone, że suma ta będzie wypłacana przewodnikowi w każdą sobotę wieczorem; był to nieodzowny warunek umowy.

Wyjazd wyznaczono na 16 czerwca. Wuj chciał wręczyć myśliwemu zadatek, lecz ten zbył go jednym słowem.

– Efter – rzekł.

– Później – wyjaśnił mi profesor.

Gdy umowa została zawarta, Hans wyszedł sztywno, jakby połknął kij.

– Kapitalny typ! – zawołał wuj. – Ani się spodziewa, jak wspaniałą rolę wyznaczyl mu los!

– A więc będzie nam towarzyszyć aż do...

– Tak jest, Akselu, aż do środka Ziemi.

Pozostało jeszcze czterdzieści osiem godzin do odjazdu; żałowałem bardzo, że czas ten musiałem zużyć na przygotowania; wysililiśmy całą pomysłowość, by umieścić każdy przedmiot jak najkorzystniej – przyrządy oddzielnie, broń oddzielnie, narzędzia w jednej pacy, żywność w drugiej. Razem było tego cztery toboły.

W skład przyrządów wchodziły:

1. Stustopniowy termometr Eigla, ze skalą do stu pięćdziesięciu stopni; było to albo za dużo, albo za mało. Za dużo, jeśli otaczające ciepło miało wzrosnąć do tego stopnia i upiec nas żywcem; za mało, jeśli zajdzie potrzeba zmierzenia temperatury źródeł lub innych stopionych składników.

2. Manometr o sprężonym powietrzu, urządzony w ten sposób, by mógł wskazywać ciśnienia wyższe od ciśnienia atmosfery na poziomie morza. W rzeczy samej, zwykły barometr byłby nie

wystarczający, jako że ciśnienie atmosferyczne musiało proporcjonalnie wzrastać w miarę schodzenia, czyli oddalania się od powierzchni Ziemi.

3. Genewski chronometr nastawiony ściśle według czasu hamburskiego.

4. Dwie busole, jedna wskazująca nachylenie, druga odchylenie geograficzne.

5. Luneta nocna.

6. Dwa aparaty Ruhmkorffa dające dzięki prądowi elektrycznemu światło pewne, wygodne w transporcie i mało kłopotliwe.

Broń stanowiły dwa karabiny marki „Purdley, Morę i Spółka” oraz dwa rewolwery Colta. Nie wiem właściwie, po co zabieraliśmy broń – nie potrzebowaliśmy się przecież obawiać ani dzikusów, ani drapieżnych zwierząt. Wuj jednak przywiązywał ogromną wagę do tego arsenału, nie mniejszą jak do przyrządów; cenił zwłaszcza wysoko okazałą ilość bawełny strzelniczej, odpornej na wilgoć, której siła wybuchowa znacznie przewyższa siłę wybuchową prochu.

W skład narzędzi wchodziły dwa oskardy, dwie motyki, jedwabna drabinka, trzy okute kije, siekiera, młotek, blisko tuzin żelaznych klinów i sworzni oraz długie liny z węzłami. Wszystko to razem tworzyło spory pakunek, sama drabina bowiem liczyła trzysta stóp długości.

Jeśli chodzi o żywność, nie była to paczka zbyt duża, ale w każdym razie budząca zaufanie; widziałem, że zawiera koncentraty mięsne oraz suchary w ilości wystarczającej na pół roku. Poza wódką jałowcową nie wzięliśmy żadnych płynów, nawet wody; mieliśmy jednak ze sobą manierki i wuj liczył, że będziemy je napełniali wodą źródlaną. Wysunięte przeze mnie obiekcje, iż źródła możemy w ogóle nie spotkać albo ich woda może nie nadawać się do picia czy posiadać nieodpowiednią temperaturę – nie odniosły żadnego rezultatu.

Dla uzupełnienia listy sprzętu podróżniczego czuję się w obowiązku podać zawartość naszej przenośnej apteczki. Były w niej nożyczki chirurgiczne, łubki na złamania, zwój taśmy z surowego płótna, opaski i kompresy, plaster angielski, instrument do puszczenia krwi, słowem – same przerażające rzeczy; ponadto cała seria flakonów z dekstryną, spirytusem leczniczym, wodą gulardową, eterem, octem i amoniakiem, różne specyfiki budzące niezbyt miłe skojarzenia; wreszcie składniki potrzebne do aparatów Ruhmkorffa.

Wuj nie zapomniał ani o zapasach tytoniu i prochu, ani o hubce, a poza tym otoczył biodra pasem skórzanym, w którym znajdowała się większa ilość monet srebrnych i złotych oraz banknotów papierowych. Do paki z narzędziami dołączono sześć par solidnych butów pociągniętych warstwą smoły i gumy, dzięki czemu stały się nieprzemakalne.

– Mając taki ekwipunek, ubranie i obuwie, z pewnością zajdziemy daleko – rzekł do mnie wuj.

Cały dzień 14 czerwca zszedł nam na pakowaniu tych przeróżnych przedmiotów. Wieczorem spożyliśmy obiad u barona Trampe w towarzystwie burmistrza Reykjavíku oraz doktora Hyaltalina, miejscowej sławy lekarskiej. Pan Fridriksson nie należał do grona zaproszonych i dowiedziałem się

później, że między nim a gubernatorem zaszło jakieś nieporozumienie na tle spraw administracyjnych, skutkiem czego przestali się widywać. Toteż nie zrozumiałem ani słowa z rozmów, jakie toczyły się przy tym półoficjalnym obiedzie. Zauważyłem tylko, że wuj mówił przez cały czas.

Nazajutrz przygotowania zostały ukończone. Nasz gospodarz sprawił profesorowi wielką przyjemność ofiarowując mu mapę Islandii o wiele dokładniejszą aniżeli mapa Hendersona. Była ona dziełem Olafa Nikolasa Olsena o skali 1: 480 000; wydało ją Islandzkie Towarzystwo Literackie na podstawie prac geodezyjnych Scheela Frisaca i planu topograficznego Bjorna Gumlaugsona; stanowiła niezmiernie cenny dokument dla mineraloga.

Ostatni wieczór spędziliśmy na poufnej pogawędce z panem Fridrikssonem, dla którego żywiłem szczerą sympatię, po czym udaliśmy się na spoczynek. Lecz jeśli o mnie chodzi, spałem bardzo niespokojnie.

O piątej rano obudziło mnie rżenie czterech koni, niecierpliwie grzebiących nogą pod moim oknem. Ubrałem się z pośpiechem i zszedłem na ulicę. Hans kończył właśnie rozmieszczanie bagażu – można by rzec, że się przy tym wcale nie poruszał, a jednocześnie wykonywał swoją pracę z niezwykłą zręcznością. Wuj więcej gadał, niż robił, toteż przewodnik nie przejmował się zbyt jego poleceniami.

O szóstej rano wszystko było gotowe do wyjazdu. Pan Fridriksson uściskał nam dłonie. Wuj podziękował mu serdecznie w języku islandzkim za jego życzliwość i gościnność, ja zaś wyjąkałem w swojej najlepszej łacinie kilka ciepłych pożegnalnych słów; po czym dosiedliśmy koni, a pan Fridriksson rzucił mi na pożegnanie ów wiersz Wergiliusza, stworzony jak gdyby specjalnie dla nas, podróżnych udających się w niepewną drogę:

– *Et quacumque viam dederit fortuna sequamur!*\*

Kiedy wyjeżdżaliśmy, niebo było pochmurne, lecz ustaliła się ostatecznie dość dobra pogoda. Nie zachodziła obawa, że nadejdą męczące upały czy też katastrofalne deszcze. Słowem, była to pogoda odpowiednia dla turystów.

Przyjemność przemierzania konno nieznanego kraju nastrajała mnie optymistycznie co do początku przedsięwzięcia. Pochłonięty byłem całkowicie ową radością wędrowca, na którą składa się żądza przygód i swoboda. Zaczynałem po trochu godzić się z myślą o naszej ekspedycji.

„Zresztą cóż ja właściwie ryzykuję? – zastanawiałem się. – Zwiedzę bardzo ciekawy kraj, odbędę wspinaczkę na szczyt ze wszech miar godny uwagi, a w najgorszym wypadku zejść w głąb krateru nieczynnego wulkanu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że i Sakmussem niczego więcej nie dokonał. Istnienie podziemnego przejścia prowadzącego do wnętrza kuli ziemskiej to naturalnie czysta fantazja, rzecz zupełnie niemożliwa!”

Ledwo skończyłem te rozmyślenia, a już wyjechaliśmy z Reykjavíku.

Hans maszerował na czele krokiem szybkim, równym i nieznużonym. Tuż za nim szły dwa konie objuczone bagażem, których nikt nie potrzebował pilnować. Wuj i ja zamykaliśmy pochód i trzeba przyznać, że wcale nieźle prezentowaliśmy się na naszych małych, lecz mocnych wierzchowcach.

Islandia jest jedną z większych wysp należących do Europy; ma tysiąc czterysta mil kwadratowych powierzchni, przy czym liczy zaledwie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Geografowie podzielili ją na cztery części i mieliśmy właśnie przeciąć, niemal dokładnie na ukos, część znaną pod nazwą „Południowo-Zachodniej Ćwierci”, to jest „Sudvestr Fjordungr”.

Po opuszczeniu Reykjavíku Hans skierował się niezwłocznie ku wybrzeżu i przez cały czas posuwał się wzdłuż niego; mijaliśmy ubogie pastwiska, które na próżno siliły się na zieloność, podczas gdy zabarwienie żółte osiągały znacznie łatwiej. Poszarpane grzbiety masywów trachitowych, hen, na horyzoncie, zacierały się w mgłach ścielących się na wschodzie; niekiedy połacie śniegu, skupiając rozproszone światło, jaśniały na zboczach oddalonych szczytów; niekiedy wierzchołki, stercząc bardziej zuchwale niż inne, rozdzierały szarawe obłoki i ukazywały się ponad ruchomymi oparami, podobne do raf wynurzających się wśród nieba.

Czasami te łańcuchy jałowych skał wrzynały się w morze i wdzierały w pastwiska; lecz zawsze można było znaleźć jakieś przejście. Zresztą nasze konie wybierały instynktownie dogodniejszą trasę, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Wuj musiał trzymać swoją niecierpliwość na wodzy i nie miał nawet tej pociechy, by wolno mu było pobudzać swego wierzchowca głosem czy batem.

Nie umiałem powstrzymać uśmiechu na widok tego wysokiego mężczyzny paradującego na małym koniu; stopy profesora nieomal dotykały ziemi i przypominał centaura o sześciu nogach.

– Zaczne, pocziwe stworzenie! – powtarzał. – Przekonasz się, Akselu, że żadne zwierzę nie przewyższa inteligencją islandzkiego konia; nic nie zdoła go zatrzymać – ani śniegi i burze, ani

bezdroża, ani skały i lodowce. Jest śmiały, niewymagający i pewny siebie. Nie czyni fałszywego kroku, zawsze zareaguje właściwie. Niech tylko trafi się jakaś rzeka, jakiś fiord do przebycia – a trafi się na pewno – wtedy zobaczysz, jak rzuci się do wody bez chwili wahania niczym amfibia i dotrze do przeciwległego brzegu. Ale nie przynaglajmy go, dajmy mu swobodę działania, a zrobimy dzięki niemu co najmniej dziesięć mil dziennie.

– My z pewnością – odpowiedziałem – ale nie przewodnik.

– Och, o niego się nie martwię! Ci ludzie wcale nie czują, że idą, a ten jest tak oszczędny w ruchach, iż się na pewno nie przemęcza. Zresztą – jeśli zajdzie potrzeba – odstąpię mu swego wierzchowca. Gdybym nie zażył nieco ruchu, wkrótce chwyciłyby mnie kurcze. Rękom nic nie grozi, ale trzeba pamiętać o nogach.

Tymczasem posuwaliśmy się dobrego stępa; zaczynały się już bezludne niemal okolice; gdzieniegdzie ukazywała się nagle – niby żebrak na skraju wyboistej drogi – samotna farma, jakiś odosobniony *boër*\* zbudowany z drzewa, ziemi lub kawałków lawy. Zdawało się, że te zniszczone chałupy błagają przechodniów o litość, i mało brakowało, a udzieliłoby się im jałmużny. W tym kraju nie było wcale dróg ani nawet ścieżynek, a roślinność – aczkolwiek licha – szybko zacierała ślady kroków rzadkich podróżnych.

Jednakże ta część kraju, leżąca tuż przy stolicy, zaliczała się do uprawnych i najgęściej zaludnionych okolic Islandii. Jakże wyglądały w takim razie połączenie jeszcze bardziej pustynne niż ta pustynia? Przejechaliśmy już pół mili i nie napotkaliśmy ani farmera na progu swego domostwa, ani na pół dzikiego pastucha, jedynie kilka krów i owiec pozostawionych na opiece boskiej.

Jak wyglądają okolice zniekształcone przez erupcje, skłębione na skutek wybuchów wulkanów i gwałtownych wstrząsów podziemnych?

Mieliśmy poznać je później. Studiując mapę Olsena, stwierdziłem, że omijaliśmy je jadąc wzdłuż krętego wybrzeża, wielkie ruchy plutoniczne koncentrowały się bowiem przeważnie na środku wyspy. Poziome warstwy skał, ułożone jedna nad drugą, tak zwane „trappy”, wzniesienia trachitowe, kompleksy bazaltu, tufu i wszelkich aglomeratów wulkanicznych, oraz potoki lawy ukształtowały obraz krainy o niesamowitej wprost grozie.

Po dwóch godzinach jazdy dotarliśmy do miasteczka Gufunes.

Nie było tu nic godnego uwagi. Kilka domów; których ledwie starczyłoby na jedną niemiecką wioskę, stanowiły całe to osiedle, skupione wokół dużego kościoła.

Hans zarządził tu półgodzinny postój, podzieliliśmy się z nim naszym skromnym śniadaniem. Na pytania wuja dotyczące drogi odpowiadał lakonicznym „tak” lub „nie”, a gdy zapytaliśmy go, gdzie zamierza zatrzymać się na nocleg, odparł krótko:

– Gardär.

Spojrzałem na mapę, aby sprawdzić, gdzie jest ów Gardär. Stwierdziłem, że ta miejscina, położona

nad brzegiem Hvalfjörd, odległa jest o cztery mile od Reykjavíku. Pokazałem ją wujowi.

– Tylko cztery mile! – zawołał. – Cztery mile na dwadzieścia dwie! To zwykły spacer.

Zwrócił na to uwagę przewodnika, ten jednak, nie odpowiedziawszy mu ani słowa, ruszył naprzód na czele naszej małej karawany.

Po trzech godzinach, posuwając się wciąż po wyblakłej runi pastwisk, musieliśmy okrążyć Kollafjörd, co było łatwiejsze i pochłonęło mniej czasu aniżeli przeprawa przez tę zatokę; niebawem dotarliśmy do siedziby komunalnej władzy sądowniczej w Ejulberg; zegar na dzwonnicy wydzwoniłby właśnie południe, gdyby kościoły islandzkie posiadały zegary, ale nie różnią się one pod tym względem od swych parafian, którzy również nie mają zegarków i obywają się bez nich doskonale.

Tu popaśliśmy konie; po czym, posuwając się wzdłuż wybrzeża zamkniętego między łańcuchami pagórków a morzem, dojechaliśmy bez zatrzymania do Brantarn, a o milę dalej do Saurboer, położonego na południowym brzegu Hvalfjörd.

W tym miejscu fiord miał co najmniej pół mili szerokości, fale rozbijały się z szumem o ostre głazy. Zatoka rozpościerała się między ścianami skalnymi – pionowymi skarpami wysokości trzech tysięcy stóp.

Niezależnie od zmyślności naszych wierzchowców, miałem jak najgorsze przeczucia, jeśli chodzi o przeprawę na grzbiecie czworonożnego stworzenia przez tę prawdziwą morską cieśninę.

– Jeżeli są naprawdę mądre, to nawet nie będą próbowały – stwierdziłem. – W każdym razie zobowiązuję się podjąć za nie roztropną decyzję.

Wuj jednak nie chciał czekać i skierował swego konia ku wybrzeżu. Wierzchowiec powąchał pierwszą nadbrzeżną falą i zatrzymał się; wuj, powodując się własnym instynktem, przynaglał go do ruszenia naprzód. Koń odmówił raz jeszcze, potrząsając głową. Nastąpiły więc przekleństwa i uderzenia batem, zwierzę zaczęło wierzgać, usiłując wysadzić jeźdźca z siodła; wreszcie mały konik zgiał kolana i wysliznął się spomiędzy nóg profesora, pozostawiając go rozkraczanego na dwóch kamieniach wybrzeża, niczym kolos rodyjski\*.

– Ach, przekłete zwierzę! – zawołał jeździec zamieniony nagle w piechura i pełen wstydu niczym spieszony oficer kawalerii:

– Farja – rzekł przewodnik dotykając jego ramienia.

– Co? Prom?

– Der – dodał Hans wyciągając rękę.

– Tak! – zawołałem. – Tam jest prom!

– Trzeba było tak mówić od razu! No, w drogę!



– Tidvatten – odparł przewodnik.

– Co on mówi?

– Powiada „przyływ” – odpowiedział wuj tłumacząc mi to duńskie słowo.

– Zapewne trzeba czekać na przyływ?

Wuj niecierpliwie tupnął nogą, a konie skierowały się w stronę promu.

Zrozumiałem doskonale, że aby przeprowić się przez fiord, trzeba poczekać na określony moment przyływu, kiedy morze, osiągając najwyższy poziom, uzyskuje też największą równowagę. Wówczas działanie przyływu i odpływu nie jest wyczuwalne i promowi nie grozi odrzucenie ani w głąb zatoki, ani na pełne morze.

Ów odpowiedni moment nastąpił o szóstej wieczorem; wszyscy – to jest wuj, ja, przewodnik, dwóch przewoźników oraz cztery konie – zajęliśmy miejsca na tej jak gdyby barce, płaskiej i dość słabej. Byłem przyzwyczajony do promów parowych na Elbie i wiosła przewoźników wydawały mi się nędznym zaiste urządzeniem. Przeprowa przez fiord trwała przeszło godzinę, lecz odbyła się pomyślnie. W pół godziny później dotarliśmy do Gardär.

Już powinien był zapaść mrok, lecz pod sześćdziesiątym piątym równoleżnikiem światło dzienne w letnie noce nie może nikogo dziwić; przez czerwiec i lipiec słońce na Islandii nie zachodzi.

Jednakże temperatura spadła, odczuwałem zimno, a przede wszystkim głód. Toteż z radością powitaliśmy *boër*, który otworzył na oścież drzwi na nasze przyjęcie.

Był to domek zwykłego chłopa, lecz pod względem gościnności dorównywał królewskiej siedzibie. Gdy przybyliśmy, gospodarz wyszedł na nasze spotkanie, podał nam rękę i bez żadnych ceremonii poprosił, by pójść za nim.

Rzeczywiście, można było tylko iść za nim – towarzyszyć mu byłoby niemożliwością. Długi, wąski, mroczny korytarz prowadził do wnętrza tego domostwa zbudowanego z ledwo ociosanych bali oraz do poszczególnych pokoi. Było ich aż cztery: kuchnia, izba, gdzie stał warsztat tkacki, „*badstofa*”, czyli sypialnia całej rodziny, oraz – najlepszy ze wszystkich – pokój gościnny. Wuj, którego wzrostu nie wzięto pod uwagę przy budowie domu, nie omieszkał uderzyć trzy lub cztery razy głową o belkowanie sufitu.

Wprowadzono nas do gościnnego pokoju, wielkiej sali o podłodze z ubitej ziemi; jedyne okno miało zamiast szyb niezbyt przezroczyste błony z owczych pęcherzy. Oba posłania składały się z suchego siana rzuconego do drewnianych ram pomalowanych na czerwono i ozdobionych islandzkimi sentencjami. Nie spodziewałem się podobnych wygod. W całym domu rozchodził się jednak silny zapach suszonej ryby, marynowanego mięsa i zsiadłego mleka i te wonie niemile drażniły moje powonienie.

Gdy już zdjęliśmy z siebie nasz podróżny ekwipunek, usłyszeliśmy głos gospodarza wzywający nas do kuchni, jedynej izby; gdzie palił się ogień; inne nie były ogrzewane nawet w największe mrozy.

Wuj usłuchał z pośpiechem tego przyjemnego nakazu. Udałem się w ślad za nim.

Piec kuchenny zbudowany był na staroświecką modłę; pośrodku izby leżał kamień zastępujący palenisko, a dym uchodził przez dziurę w dachu. Kuchnia służyła także za jadalnię.

Gdyśmy weszli, gospodarz pozdrowił nas słowem *saellvertu!*, jak gdyby się jeszcze z nami nie witał. Zwrot ten oznacza „pomyślności!” Po czym Islandczyk ucałował wuja i mnie w policzek. Z kolei żona jego wypowiedziała to samo pozdrowienie połączone z tym samym ceremoniałem; wreszcie małżonkowie złożyli nam głęboki ukłon, przykładając prawą dłoń do serca. Śpieszę dodać, że gospodyni była matką dziewiętnaściorga dzieci i wszystkie – począwszy od najstarszych, skończywszy na najmłodszych – roiły się w kłębach dymu wypełniających pokój. Co rusz dostrzegałem jakąś jasną główkę i smętną twarzyczkę wychylające się z tej mgły. Wyglądały jak gromada nie domytych amorków.

Wuj i ja zgotowaliśmy tym piskłtom serdeczne (powitanie i niebawem trzech czy czterech brzdąców ulokowało się nam na ramionach, tyleż samo na kolanach, a reszta siadła u naszych nóg.

Te, które umiały mówić, powtarzały *saellvertu!* na wszelkie możliwe sposoby. Te, które nie umiały, darły się tym głośniej. Koncert został przerwany, gdy oznajmiono, że obiad gotowy. W tym momencie wszedł nasz myśliwy, który zajęty był zaopatrywaniem koni w paszę najbardziej oszczędnym sposobem, to znaczy puścił je po prostu samopas; biedne stworzenia musiały zadowolić się skubaniem mchu rosnącego z rzadka na skałach oraz niezbyt pożywnych porostów. Nazajutrz nie omieszkają powrócić same, by w dalszym ciągu pełnić swoje obowiązki.

– *Saellvertu!* – rzekł Hans wchodząc do kuchni.

Po czym spokojnie, jak automat, nie wyróżniając nikogo, ucałował gospodarza, gospodynię i ich dziewiętnaścioro dzieci.

Gdy ów ceremoniał został ukończony, wszyscy – a było nas dwadzieścia cztery osoby – usiedli do stołu, dosłownie jedni na drugich. Najbardziej uprzywilejowani mieli tylko po dwoje malców na kolanach.

Kiedy na stole pojawiła się zupa, w tym małym świątku wzięła znów górę wrodzona małomówność, charakterystyczna nawet dla małych chłopców islandzkich. Gospodyni podała nam wcale niezłą zupę z porostów, potem olbrzymią porcję suszonej ryby pływającej w maśle przechowywanym od dwudziestu lat, a więc w pojęciu Islandczyków o wiele lepszym aniżeli świeże. Do tego był „skyr”, rodzaj zsiadłego mleka, przyprawionego sokiem z jagód jałowcowych, oraz suchary; do obiadu popijaliśmy serwatkę z dodatkiem wody; napój ten zwie się tu „blanda”. Trudno mi wydać sąd, czy dziwne to jedzenie było dobre, czy złe. Odczuwałem głód i wyjadłem z talerza do czysta gęstą papkę z kaszy gryczanej podaną na deser.

Po skończonym posiłku dzieci się ulotniły, a dorośli rozsiedli się wokół paleniska, w którym płonął torf, paprocie, nawóz krowi i ości z suszonych ryb. Następnie, wchłonawszy pewien zasób ciepła, wszyscy rozeszli się do swoich izb. Gospodyni wystąpiła z propozycją, by zgodnie z tutejszym zwyczajem ściągnąć nam pończochy i spodnie, lecz po nader uprzejmej odmowie z naszej strony nie nalegała więcej i mogłem wreszcie wtulić się w swoje pełne siana poślanie.

Nazajutrz o godzinie piątej rano pożegnaliśmy islandzkiego wieśniaka; wuj z trudem zdołał go nakłonić do przyjęcia godziwej zapłaty i Hans dał znak do odjazdu.

O sto kroków od Gardär teren zmienił się wyraźnie, grunt stał się bagnisty i trudniejszy do przebycia. Z prawej strony ciągnął się niezmierny łańcuch gór niby olbrzymi masyw naturalnych fortyfikacji; posuwaliśmy się wzdłuż ich skarp; nieraz trzeba było przeprowiać się w bród przez strumienie, starając się nie zamoczyć bagaży.

Zapuszczaliśmy się coraz dalej w pustynne okolice; jednakże niekiedy wydawało się nam, że gdzieś w oddaleniu miga cień ludzki; jeżeli zakręty drogi zbliżały nas niespodziewanie do jednego z owych widm, odczuwałem nagły wstrząs na widok obrzmiałej, pozbawionej włosów głowy o błyszczącej skórze, na widok odrażających ran, które wyzierały spod nędznych, podartych łachmanów.

Nieszczęsna istota nie wyciągała do nas zniekształconej ręki, przeciwnie, uciekała, nie tak szybko

jednak, by Hans nie mógł jej powitać tradycyjnym *saellvertu!*

– *Spetelsk!* – mówił nasz przewodnik.

– Trędowaty! – powtarzał wuj.

Samo to słowo wywierało na mnie wstrząsające wrażenie. Ta straszliwa choroba jest dość rozpowszechniona na Islandii, a mijane zjawy nie przyczyniały się do rozweselenia przeraźliwie smutnego krajobrazu; ostatnie kępki trawy zanikały u naszych stóp. Ani śladu drzew, jedynie kępy karłowatych brzoź, podobnych do krzewów. Ani jednego zwierzęcia prócz kilku koni, których właściciel nie był w stanie wyżywić i które błąkały się po ponurych równinach. Z rzadka sokół szybował wśród ołowianych chmur i umykał czym prędzej ku południowym okolicom. Poddałem się melancholii tej dzikiej przyrody i powracałem myślą do rodzinnych stron.

Wkrótce musieliśmy się przeprowadzić przez kilka pomniejszych fiordów oraz przez prawdziwą zatokę; ustalony poziom wody pozwolił nam przejechać promem na drugi brzeg bez czekania, po czym dotarliśmy do wsi Alftanes, odległej o milę od zatoki. Wieczorem przeszliśmy w bród dwie rzeki – Alfę i Hetę – bogate w pstrągi i szczupaki, a noc musieliśmy spędzić w opuszczonej chałupie, nadającej się raczej na przybytek trolli – chochlików z mitologii skandynawskiej; z pewnością bóg chłodu obrał ją sobie za siedzibę i wyczyniał w niej dziwne harce przez całą noc.

W ciągu następnego dnia nie zaszło nic godnego uwagi. Wciąż te same błotniste tereny, ta sama jednostajność, ta sama melancholia. Wieczorem mieliśmy za sobą połowę drogi i przenocowaliśmy w wiosce Krösolbt.

19 czerwca rozpostarł się u naszych stóp mniej więcej na przestrzeni mili pas lawy; taki układ gruntu nazywa się tu „hraun”; lawa, o pofałdowanej powierzchni, przybierała kształt to wydłużonych, to znów skłębionych lin; olbrzymi jej strumień spływał z sąsiednich gór, z wulkanów obecnie wygasłych, lecz te widome ślady świadczyły o dawnej ich gwałtowności. Tu i ówdzie nad gorącymi źródłami snuły się opary. Nie mieliśmy czasu na obserwowanie tych zjawisk, trzeba było posuwać się naprzód. Niebawem nasze wierzchowce znów stapały po błotnistym terenie, poprzerywanym niewielkimi jeziorkami. Kierowaliśmy się na zachód; okrążyliśmy wielką zatokę Faksa, a przed nami wznosił się wśród chmur podwójny, ośnieżony szczyt Sneffelsa, odległy o niecałe pięć mil.

Konie szły doskonale, nie powstrzymywały ich żadne trudności terenowe. Mnie osobiście zmęczenie zaczynało porządnie dawać się we znaki, ale wuj trzymał się prosto i dzielnie jak pierwszego dnia. Podziwiałem go mimo woli, tak samo zresztą jak naszego przewodnika, który traktował tę ekspedycję niby zwykłą wycieczkę.

W sobotę, 20 czerwca, o godzinie szóstej wieczorem, dotarliśmy do Budir, osady położonej na brzegu morza, i Hans upomniał się o tygodniową zapłatę. Wuj uregulował należność. Tym razem udzieliła nam gościny rodzina naszego, przewodnika, to jest jego stryjowie i stryjeczni bracia; doznaliśmy serdecznego przyjęcia i chętnie wytchnąłbym u nich po trudach podróży, nie nadużywając bynajmniej uprzejmości tych zacnych ludzi. Wuj jednak, który wcale nie odczuwał potrzeby wytchnienia, nie chciał nawet słyszeć o odpoczynku i nazajutrz trzeba było znowu dosiąść naszych pocziwych szkap.

Ziemia zdradzała bliskie sąsiedztwo gór, których granitowe korzenie wyłaniały się na powierzchnię niby korzenie sędziwych dębów. Okrążyliśmy olbrzymie podnóże wulkanu. Profesor ani na chwilę nie spuszczał go z oczu, gestykulował, wyzywał go jak gdyby słowami: „Oto olbrzym, którego mam pokonać!” Wreszcie po dwudziestu czterech godzinach marszu konie zatrzymały się same przed drzwiami plebanii w Stapi.

Stapi – osadę składającą się z blisko trzydziestu chałup – pobudowano na pokładach lawy, które błyszczą w promieniach słońca odbitych od stoków wulkanu. Leży ona nad małym fiordem otoczonym ścianą skalną wywierającą przedziwne wrażenie.

Powszechnie wiadomo, że bazalt jest skałą pochodzenia wulkanicznego, o ciemnym zabarwieniu; przybiera regularne kształty o zdumiewającym układzie. W tym wypadku przyroda stosuje zasady geometrii i pracuje na modłę ludzką, jak gdyby używając ekierki, kompasu i pionu. Gdzie indziej tworzy ona dzieła sztuki posługując się wielkimi bryłami rozrzuconymi w nieładzie, stożkami naszkicowanymi pobieżnie, nieforemnymi piramidami, dziwacznym układem linii; tutaj natomiast – chcąc dać przykład prawidłowości i wyprzedzić architektów pierwszych wieków – wynalazła styl, którego nie zdołały prześcignąć ani wspaniałości Babilonu, ani cuda Grecji.

Oczywiście słyszałem o Drodze Olbrzymów w Irlandii i o Grocie Fingala na jednej z Wysp Hebrydzkich, lecz nigdy dotychczas nie miałem sposobności oglądać takiej bazaltowej budowli. Otóż właśnie tu, w Stapi, zjawisko to występowało w całej okazałości.

Ściana skalna nad fiordem, podobnie jak nad całym wybrzeżem półwyspu, składała się z szeregu prostopadłych słupów wysokości trzydziestu stóp. Słupy te, proste, o pięknych proporcjach, podtrzymywały łuki utworzone z filarów poziomych, których występy układały się jakby w półsklepienie nad morzem. Pod nim można było dostrzec w regularnych odstępach ostrołukowe otwory o przepięknym rysunku, przez które spienione fale, napływające z pełnego morza, przelewały się z hukiem. Kilka bazaltowych odłamków, urwanych przez wściekłe ataki oceanu, leżało na ziemi niby szczątki starożytnej świątyni, ruiny wiecznie młode, których mijające wieki nie naruszały wcale.

Taki był ostatni etap naszej podróży na powierzchni Ziemi. Hans prowadził nas z rozwagą i doznawałem pewnej pociechy na myśl, że będzie towarzyszył nam nadal.

Gdy podeszliśmy do drzwi wejściowych plebanii – zwykłej, niskiej chałupiny, ani piękniejszej, ani wygodniejszej od sąsiednich – zobaczyłem jakiegoś mężczyznę zajętego podkuwaniem konia; człowiek ów trzymał młotek w ręku i opasany był skórzanym fartuchem.

– *Saellvertu!* – rzekł do niego nasz przewodnik.

– *God dag* – odpowiedział kowal po duńsku.

– *Kyrkoherde* – oznajmił Hans zwracając się do wuja.

– Proboszcz? – zdumiał się profesor. – Okazuje się, że ten zacny człowiek to miejscowy proboszcz.

Przez ten czas przewodnik opowiedział o nas plebanowi, który przerywając swoje zajęcie, wydał dziwny okrzyk, używany zapewne wśród handlarzy koni, i natychmiast na progu chałupy ukazała się jakaś stara jędza. Mierzyła chyba ze sześć stóp albo niewiele mniej.

Obawiałem się, że może zechce nas przywitać tradycyjnym islandzkim pocałunkiem, ale obeszło się bez tego i nawet dość niechętnie wprowadziła nas do domu.

Odniosłem wrażenie, że pokój gościnny – wąska, brudna, cuchnąca izdebka – był jednym z najgorszych na plebanii. Musieliśmy się jednak nim zadowolić. Proboszcz zdawał się nie uznawać staroświeckiej gościnności, daleko mu było do tego. Zanim dzień się skończył, miałem okazję stwierdzić, że mieliśmy do czynienia z kowalem, rybakiem, myśliwym, cieślą, tylko nie ze sługą bożym. Co prawda był to dzień powszedni. Może odrabiał zaległości w niedzielę?

Nie chciałem nic złego powiedzieć o tych biednych kapłanach, którym się wcale nie przelewa; otrzymują od rządu duńskiego wprost śmieszoną pensję i pobierają od parafian czwartą część dziesięciny, która to suma nie przewyższa sześćdziesięciu marek niemieckich. Stąd konieczność zarabiania na życie; lecz kiedy człowiek trudni się rybołówstwem, myślistwem, kuciem koni, mimo woli nabiera manier, tonu i zwyczajów rybaków, myśliwych i innych nieco gburowatych ludzi; tegoż wieczora zauważyłem też, że trzeźwość bynajmniej nie należała do cnót naszego gospodarza.

Wuj szybko się zorientował, z jakim typem człowieka ma do czynienia; zamiast natrafić na zacnego, czcigodnego uczonego, zetknął się z ociężałym, nieokrzesanym chłopem; postanowił więc rozpocząć jak najprędzej swoją ekspedycję i opuścić niegościnne probostwo. Nie zważając na zmęczenie, zdecydował się spędzić kilka dni w górach.

Przygotowania do wyprawy zaczęły się więc zaraz następnego dnia po przyjeździe do Stapi. Hans zwerbował trzech Islandczyków, którzy zgodzili się nieść nasze bagaże; po dojściu do krateru mieli oni powrócić i zostawić nas samych. Było to ściśle zastrzeżone w umowie.

Przy tej sposobności wuj musiał uprzedzić myśliwego, że ma zamiar zbadać wulkan tak głęboko, jak się tylko da.

W odpowiedzi Hans kiwnął głową. Iść tam czy gdzie indziej, zagłębić się we wnętrze wyspy czy też przemierzyć ją wzdłuż i wszerz – to nie sprawiało mu żadnej różnicy. Jeśli o mnie chodzi, przygody w podróży stanowiły dotąd pewną rozrywkę i zapomniałem nieco o przyszłości; teraz jednak czułem, że niepokój ogarnia mnie na nowo. Ale cóż mogłem na to poradzić? Jeśli miałem stawiać opór profesorowi Lidenbrockowi, należało to uczynić w Hamburgu, a nie tu, u stóp Sneffelsa.

Zwłaszcza jedna myśl nie dawała mi spokoju, myśl przerażająca, która mogła stargać nerwy znacznie mniej wrażliwe niż moje.

„No dobrze – myślałem sobie. – Dokonamy wspinaczki na Sneffelsa. Nic wielkiego. Zbadamy jego krater. Zgoda. Inni dokonali tego również i jakoś wyszli cało. Ale nie na tym koniec. Jeżeli istnieje droga prowadząca do wnętrza Ziemi, jeżeli ten nieszczęsny Saknussem powiedział prawdę, zapuścimy się w podziemne chodniki wulkanu. A jaką mamy pewność, że Sneffels jest nieczynny? Któż może udowodnić, iż nie nastąpi wybuch? Czyż z faktu, że ten potwór drzemie od 1229 roku, wynika, iż nie może się nagle obudzić? A jeżeli się obudzi, co się z nami stanie?”

Warto się było nad tym zastanowić, toteż stale wracałem do moich rozważań. Gdy tylko

zasypiałem, śniły mi się wybuchy wulkanu, a przecież rola żuźła wcale mi nie odpowiadała.

Wreszcie nie wytrzymałem i postanowiłem przedłożyć całą sprawę wujowi, oczywiście jak najostrożniej, w formie mało prawdopodobnej hipotezy.

Udałem się więc do niego. Przedstawiłem mu swoje obawy i mimo woli cofnąłem się, oczekując na wybuch jego oburzenia.

– Ja także o tym myślałem – odpowiedział mi po prostu.

Co mogły oznaczać te słowa? Może dojdzie wreszcie do jego świadomości głos rozsądku? A może zamierza wyrzec się swoich projektów? To byłoby zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe!

Po dłuższej chwili milczenia, której nie śmiałem przerywać, ciągnął dalej:

– Myślałem już o tym. Od czasu przyjazdu do Stapi zająłem się tym ważnym zagadnieniem, które właśnie poruszyłeś, nie wolno bowiem postępować nieostrożnie.

– Oczywiście – odpowiedziałem twardo.

– Sneffels milczy już sześćset lat, ale może przemówić. Otóż erupcje wulkanów poprzedzają zwykle powszechnie znane zjawiska; wobec tego wypytywałem tutejszych mieszkańców, badałem teren i mogę cię zapewnić, Akselu, że żadnego wybuchu nie będzie.

Byłem zaskoczony tak kategorycznym twierdzeniem i nie umiałem na nie nic odpowiedzieć.

– Czy masz jakieś wątpliwości? – zapytał wuj. – To chodź ze mną.

Usłuchałem machinalnie. Po wyjściu z probostwa profesor skierował się drogą, która biegnąc przez otwór w bazaltowej ścianie, oddalała się od morza. Niebawem znaleźliśmy się w szczerym polu, jeżeli można tak nazwać ogromne spiętrzenie skał wulkanicznych; okolica była jakby przygnieciona zwałami olbrzymich głazów bazaltu i granitu.

Tu i ówdzie unosiły się z ziemi cienkie strugi gazów wulkanicznych, zwane *reykir* w języku islandzkim, a gwałtowność, z jaką tryskały, świadczyła o wulkanicznych właściwościach terenu. Usprawiedliwiało to tylko moje obawy. Toteż byłem niezmiernie – zdziwiony, gdy wuj powiedział:

– Widzisz wszystkie te dymy, Akselu? Świadczą o tym, że nie potrzebujemy się obawiać wybuchu wulkanu.

– Nie do wiary! – zawołałem.

– Zapamiętaj sobie dobrze – mówił dalej profesor – że kiedy zbliża się erupcja, aktywność tych gazów wzmaga się, natomiast zanika całkowicie w czasie trwania wybuchu wulkanu, gdyż ciała gazowe torują sobie wtedy drogę do kraterów, zamiast wydostawać się przez szczeliny w skorupie ziemskiej. A więc jeżeli gazy nie tracą swej zwykłej formy, jeśli ich aktywność się nie wzmaga, jeżeli ponadto w dalszym ciągu występują wiatry i deszcze zamiast przytłaczającej ciszy – możesz



śmiało twierdzić, że nie zanosi się na erupcję.

– Jednakże...

– Dosyć tego! Gdy wypowiedziała się nauka, laicy muszą milczeć.

Wracalem na probostwo z nosem spuszczoneym na kwintę; wuj pokonał mnie argumentami naukowymi. Jednakże pozostał mi jeden jeszcze promyk nadziei: mianowicie, że kiedy dotrzemy do dna krateru, nie będziemy mogli posuwać się dalej z powodu braku podziemnego chodnika i nic na to nie poradzą wszystkie Saknussemmy na świecie.

Całą następną noc dręczył mnie koszmarny sen – znajdowałem się we wnętrzu wulkanu i z głębin Ziemi zostałem wyrzucony w przestrzenie międzyplanetarne pod postacią głazu wulkanicznego.

Nazajutrz, 23 czerwca, Hans oczekiwał na nas wraz ze swymi towarzyszami obładowanymi żywnością, narzędziami i sprzętem. Dwa okute kije, dwie strzelby, dwie ładownice przeznaczone były dla wuja i dla mnie. Hans, jako człowiek przezorny, dołączył do naszych bagaży bukłak pełen wody, który wraz z zawartością naszych manierek miał wystarczyć na osiem dni.

Była godzina dziewiąta rano. Proboszcz i jędza-olbrzymka czekali na nas przed drzwiami. Chcieli się z nami zapewne pożegnać, jak to zazwyczaj bywa, gdy gospodarz rozstaje się ostatecznie z podróżnym. To pożegnanie jednak przybrało niespodziewanie formę sążnistego rachunku, w który wliczono nawet powietrze w proboszczowskim domku, i to – ośmielam się powiedzieć – powietrze mocno cuchnące. Ta czcigodna para zdarła z nas skórę niczym szwajcarski oberżysta, przeceniając stokrotnie swoją gościnność.

Wuj zapłacił bez targów. Człowiek udający się do wnętrza Ziemi nie przejmuje się kilkoma riksdalerami.

Po załatwieniu tej sprawy Hans dał sygnał do wymarszu i w kilka minut później opuściliśmy Stapi.

Steffels ma pięć tysięcy stóp wysokości; jego podwójny stożek stanowi zakończenie trachitowego łańcucha, który jest jakby oddzielnym członem w systemie orograficznym wyspy. Z miejsca wymarszu nie można było dojrzeć jego dwóch iglic rysujących się na tle szarego nieba. Dostrzegłem jedynie olbrzymi, śnieżny kaptur opuszczony na czoło olbrzymia.

Szliśmy gęsiego, myśliwy kroczył na czele, wspinał się po wąskich ścieżkach, na których dwie osoby nie zmieściłyby się obok siebie. Wszelka rozmowa była zatem niemożliwa.

Za ścianą bazaltową fiordu Stapi ukazało się najpierw torfowisko porośnięte trawą, pozostałość po dawnej bagiennej roślinności półwyspu. Nieprzebrane ilości paliwa, dotychczas nie eksploatowane, wystarczyłyby na ogrzanie całej ludności Islandii w ciągu wieku; to rozległe torfowisko miało niekiedy do siedemdziesięciu stóp grubości, co można było wymierzyć dzięki niektórym głębokim rozpadlinom, i składało się z kolejnych pokładów zwęglonych szczątków roślinnych, poprzedzielanych warstwami tufu.

Jako nieodrodny siostrzeniec profesora Lidenbrocka, mimo trapiących mnie myśli obserwowałem z zainteresowaniem osobliwości mineralogiczne jakby wystawione na pokaz w tym wielkim muzeum przyrodniczym.

Droga stawała się coraz trudniejsza, teren był coraz bardziej stromy; odłamki skał co rusz obsuwały się i trzeba było zachować najdalej idącą ostrożność, by uniknąć przykrych wypadków.

Hans szedł spokojnie jak po równym terenie; niekiedy znikał za wielkimi głazami i traciliśmy go na chwilę z oczu; wówczas wydobywał się z jego ust przenikliwy gwizd, wskazujący nam kierunek. Często przystawał, podnosił kilka odłamków skalnych i układał je w ten sposób, aby tworzyły znaki łatwe do rozpoznania, wskazujące drogę powrotną. Ostrożność ta, słuszna w założeniu, okazała się w przyszłości zbędna z powodu nieprzewidzianych wydarzeń.

Po trzech męczących godzinach marszu doszliśmy zaledwie do podnóża góry. Tu Hans dał hasło do postoju, po czym spożyliśmy wspólnie skromne śniadanie. Wuj w pośpiechu pakował do ust podwójne kęsy. Ponieważ jednak postój przeznaczony był nie tylko na posiłek, ale także i na wypoczynek, profesor musiał zastosować się do przewodnika, który dopiero po upływie godziny dał sygnał do wymarszu. Trzej Islandczycy – równie małomówni jak nasz towarzysz – nie odezwali się ani słowem i jedli bardzo wstrzemięźliwie.

Teraz zaczęliśmy wspinać się na zbocze Sneffelsa; ośnieżony jego wierzchołek, na skutek złudzenia optycznego zdarzającego się często w górach, wydawał mi się bardzo bliski, choć w rzeczywistości trzeba było wielu długich godzin, aby go osiągnąć. A przede wszystkim, jakiego wymagało to wysiłku! Kamienie, których nie łączyły ze sobą ani ziemia, ani trawa, usuwały się nam spod nóg i spadały gdzieś na równinę z szybkością lawiny. W niektórych miejscach stoki góry były tak strome, że nie sposób było wspiąć się na nie i musieliśmy z wielkim trudem omijać te kamieniste zbocza. Pomagaliśmy sobie, podciągając się nawzajem za pomocą okutych kijów.

Muszę przyznać, że wuj trzymał się przy mnie możliwie jak najbliżej; nie tracił mnie z oczu ani na chwilę i nieraz ramię jego udzielało mi pomocy. On sam miał jakieś wrodzone poczucie równowagi, gdyż ani razu się nie potknął. Islandczycy – mimo iż byli obładowani – wspinali się z typową zręcznością górali. Na widok wyniosłego szczytu Sneffelsa wydawało mi się niepodobieństwem dotrzeć doń z tej strony, chyba że kąt nachylenia skłonu zmieniłby się wyraźnie. Na szczęście po godzinie męczącego marszu i karkołomnych wyczynów, wśród rozległej pokrywy śnieżnej zaścielającej grzbiet wulkanu, ukazały się nagle stopnie, rodzaj schodów, które znakomicie ułatwiły nam wspinaczkę. Utworzone były przez potok kamieni wyrzuconych w czasie erupcji, który Islandczycy nazywają „stina”. Gdyby bieg tego „potoku” nie został wstrzymany przez układ górskich skłonów, runąłby w morze tworząc nowe wyspy.

W każdym razie stopnie te oddały nam wielkie usługi; zbocza były coraz bardziej strome, lecz mogliśmy teraz wspinać się łatwo i tak szybko, że kiedy przez chwilę pozostałem w tyle, podczas gdy towarzysze moi posuwali się naprzód, dostrzegłem ich postacie, zmniejszone przez odległość do mikroskopijnych rozmiarów.

Do siódmej wieczorem pokonaliśmy dwa tysiące stopni tych naturalnych schodów i górowaliśmy nad wyniosłością, jakby podstawą, na której opierał się stożek właściwego krateru.

Morze rozpościerało się hen, w dole. Znajdowaliśmy się o trzy tysiące dwieście stóp nad jego poziomem i przekroczyliśmy granicę wiecznych śniegów. Panował tu przejmujący chłód, dał silny wiatr. Byłem już bardzo wyczerpany i profesor zauważył od razu, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Opanowując niecierpliwość, postanowił zarządzić postój. Dał więc znak przewodnikowi, lecz ten pokręcił przecząco głową, mówiąc:

– *Ofvanfor*.

– Mówi, że trzeba iść wyżej – rzekł wuj. Po czym spytał Hansa o wyjaśnienie.

– *Mistur* – odpowiedział przewodnik.

– *Ja, mistur* – powtórzył jeden z Islandczyków z przerażeniem.

– Co oznacza to słowo? – spytałem zaniepokojony.

– Spójrz – rzekł wuj.

Skierowałem wzrok ku równinie; olbrzymi słup pyłu pumeksowego, piasku i kurzu unosił się wirując jak trąba powietrzna; wiatr pędził go wprost na stok Sneffelsa, gdzie tkwiliśmy uczepieni; gęsty welon pyłu, zasnuwając słońce, rzucał cień na górę. Jeśli ta trąba powietrzna przybliży się, zagarnie nas nieuchronnie w swoje wiry. Zjawisko takie, zachodzące dość często, kiedy wiatr dmie od strony lodowców, zwie się właśnie *mistur*.

– *Hastigt, hastigt!* – krzyknął przewodnik.

Aczkolwiek nie znałem języka duńskiego, zrozumiałem natychmiast, że musimy jak najszybciej podążyć w ślad za Hansem, który zaczął okrążyć stożek krateru, dla ułatwienia posuwając się na

ukos; wkrótce trąba powietrzna runęła na górę, która zadrżała od uderzenia; kamienie, porwane w wir huraganu, wzbily się chmurą jak podczas erupcji. Na szczęście byliśmy już na przeciwległym zboczu, najzupełniej bezpieczni; gdyby nie ostrożność przewodnika, ciała nasze, poszarpane, obrócone w pył, rozprysłyby się daleko niby szczątki nieznanego meteoru.

Jednakże Hans nie uważał za wskazane spędzić nocy na zboczach stożka. Rozpoczęliśmy więc znów naszą zygzakowaną wspinaczkę; pozostało do przejścia tysiąc pięćset stóp, co zajęło nam blisko pięć godzin; licząc wszystkie obejścia, zakręty i cofanie się, przeszliśmy co najmniej trzy mile. Byłem u kresu sił; cierpiałem męki głodu i chłodu, a rozrzedzone powietrze utrudniało mi oddychanie.

Wreszcie o jedenastej wieczorem, już o zmroku, osiągnęliśmy szczyt Sneffelsa i zanim schroniłem się do wnętrza krateru, zdążyłem dostrzec słońce północy w najniższym jego punkcie, rzucające swoje blade promienie na wyspę uśpioną u moich stóp.

Szybko zjedliśmy kolację i nasza mała gromadka rozlokowała się jak mogła najlepiej. Legowisko było twarde, schronienie niepewne, położenie niemiłe – pięć tysięcy stóp nad poziomem morza. Jednakże tej nocy spałem wyjątkowo dobrze; od dawna już nie zażyłem tak spokojnego snu. Nawet nic mi się nie śniło. Nazajutrz obudziłem się zziębnięty. Powietrze było ostre, ale słońce świeciło pięknie. Wstałem ze swego granitowego łóża i poszedłem nacieszyć się wspaniałym widokiem, który roztaczał się przed moimi zachwyconymi oczyma.

Znajdowałem się na szczycie jednej z iglic Sneffelsa, mianowicie na iglicy południowej. Stąd wzrok mój sięgał aż do najdalszych krańców wyspy; dzięki wrażeniu optycznemu, charakterystycznemu dla znacznych wysokości, brzegi wyspy zdawały się podniesione, gdy tymczasem jej części środkowe były jak gdyby wgłębione. Rzecz by można, że u moich stóp rozpościerała się plastyczna mapa; ogarniałem wzrokiem głębokie doliny krzyżujące się we wszystkich kierunkach; przepaście złobiły się jak studnie, jeziora zamieniały się w stawy, a rzeki w strumienie. Po prawej stronie ciągnęły się niezliczone lodowce oraz nieprzebrana ilość szczytów; niektóre z nich zdobne były w pióropusze lekkich dymów. Falistość tych nie kończących się gór, pokrytych warstwą śniegu niby pianą, przywodziła na myśl powierzchnię wzburzonego morza. Gdy zwracałem się ku zachodowi, miałem przed oczyma ocean, w całej jego majestatycznej okazałości, niby przedłużenie tych zbałwanionych szczytów. Z trudnością mogłem rozróżnić, gdzie kończyła się ziemia, a gdzie zaczynały fale.

Tonałem w niemym zachwycie, jaki ogarnia nas zwykle na szczytach górskich, i tym razem obeszło się bez zawrotów głowy, gdyż przyzwyczailem się wreszcie do „podniebnych kontemplacji”. Olśniony mój wzrok pławił się w przezroczystym, słonecznym świetle; zapomniałem, kim jestem, gdzie jestem, i żyłem życiem elfów i sylfów, fantastycznych tworów mitologu skandynawskiej, upajałem się radością rozległych wyżyn, nie myśląc o otchłaniach, w jakie los pogrąży mnie niebawem. Jednakże nadejście profesora i Hansa, którzy wspięli się również na szczyt iglicy, przywołało mnie do rzeczywistości.

Wuj, zwracając się ku zachodowi, wskazał ręką lekkie opary, jakąś mgiełkę, jakby skrawek ziemi górujący nad linią wód.

– Grenlandia – rzekł.

– Co? Grenlandia?! – zdumiałem się.

– Tak, jesteśmy oddaleni od niej zaledwie o trzydzieści pięć mil i podczas odwilży białe niedźwiedzie docierają na krach lodowych aż do Islandii. Ale to mało ważne. Jesteśmy na szczycie Sneffelsa; oto dwie iglice, południowa i północna. Hans powie nam, jak nazywają Islandczycy ten szczyt, na którym stoimy w tej chwili.

Przewodnik odpowiedział krótko:

– Skartaris.

Wuj spojrział na mnie z triumfem.

– Chodźmy do krateru! – zawołał.

Krater Sneffelsa przypominał odwrócony stożek, którego podstawa mogła mieć blisko pół mili średnicy. Głębokość jego szacowałem na jakieś dwa tysiące stóp. Można sobie wyobrazić wygląd podobnego zbiornika, gdy wypełniał się grzmiotem i płomieniem. Dno tego leja miało obwód o wiele mniejszy, toteż skłony jego wydawały się dość łagodne. Mimo woli porównywałem ten krater do lufy ogromnego muszkietu i to porównanie przerażało mnie.

„Trzeba być wariatem, żeby włączyć do muszkietu, i to prawdopodobnie nabitego – myślałem sobie. – Gotów wystrzelić przy lada wstrząsie”.

Ale nie mogło być mowy o cofnięciu się. Hans, jak zawsze obojętny, objął znów dowództwo nad naszą gromadką. Poszedłem za nim bez słowa.

Aby ułatwić zejście, Hans idąc zakreślał we Wnętrzu stożka bardzo wydłużone elipsy; trzeba było posuwać się naprzód wśród gładów wyrzuconych erupcją; niektóre z nich – obruszone – odbiwszy się kilkakrotnie, spadały na dno przepaści. Upadek ich wywoływał przedziwnie donośne echo.

W niektórych miejscach wewnątrz stożka utworzyły się małe lodowce; Hans posuwał się po nich z nadzwyczajną ostrożnością, badając grunt okutym kijem w poszukiwaniu szczelin. Przy niektórych niepewnych przejściach musieliśmy związywać się długą liną, aby tego, któremu niespodziewanie obsunie się noga, mogli powstrzymać towarzysze. Tą łączność była koniecznym środkiem ostrożności, niemniej nie usuwała całkowicie niebezpieczeństwa.

Pomimo trudności napotykanych przy schodzeniu po skłonach, zupełnie przewodnikowi nie znanych, droga minęła bez przygód, jeśli nie liczyć utraty zwoju lin, który spadł najkrótszą drogą na dno przepaści, upuszczony przez jednego z Islandczyków.

W południe osiągnęliśmy dno krateru. Podniosłem głowę i dojrzałem górny jego otwór w kształcie koła, w którym widniał szmat nieba o niewielkim, lecz niezwykle prawidłowym obwodzie. W jednym jego punkcie odcinała się ginąca w przestworzach iglica Skartarisa.

Na dnie krateru widniały wyloty trzech kominów wulkanu, przez które w czasie wybuchu Sneffelsa centralne jego ognisko wyrzucało lawę i parę. Średnica każdego z tych wylotów wynosiła mniej więcej sto stóp. Te ziejące paszcze znajdowały się tuż u naszych stóp.

Nie miałem odwagi zajrzeć do ich wnętrza. Natomiast profesor Lidenbrock szybko zbadał ich rozmieszczenie; zadyszany, biegał od jednego wylotu do drugiego, gestykulując i bełkocąc jakieś niezrozumiałe słowa. Hans oraz jego towarzysze przyglądali mu się siedząc na odłamkach lawy; z całą pewnością uważali go za wariata.

Nagle wuj wydał dziki okrzyk. Sądziłem, że stracił równowagę i wpadł do jednej z trzech czeluści. Ale nic podobnego się nie zdarzyło. Ujrzałem, że stoi z wyciągniętymi rękoma, szeroko rozstawiwszy nogi, przed granitowym gładem sterczącym w środku krateru niczym ogromny cokół

przygotowany pod posąg boga podziemi. Cała postawa profesora wyrażała najwyższe zdumienie, które po chwili przeobraziło się w szaloną radość.

– Akselu! Akselu! – zawołał. – Chodźże prędko, chodź tutaj! Pobiegłem natychmiast. Ani Hans, ani pozostali Islandczycy nie poruszyli się z miejsca.

– Spójrz – rzekł wuj.

Podzielając nie tyle jego radość, ile zdumienie, odczytałem na powierzchni głazu zwróconej ku zachodowi napis runiczny zżarty przez czas; było to imię i nazwisko po stokroć przeze mnie przeklęte.



– Arne Saknussem! – zawołał wuj. – Czy jeszcze masz wątpliwości?

Nic nie odpowiedziałem i wróciłem skonsternowany na swój blok lawy. Byłem zmiażdżony tym oczywistym dowodem.

Nie zdaję sobie sprawy, ile czasu siedziałem pogrążony w rozmyślaniach. Wiem tylko tyle, że kiedy podniosłem głowę, ujrzałem, iż wuj i Hans są sami na dnie krateru. Trzej tragarze zostali już odesłani i schodzili teraz po zewnętrznych stokach Sneffelsa w drodze powrotnej do Stapi.

Hans zasnął spokojnie u podnóża skalnego bloku, na zastygłym strumieniu lawy, gdzie sobie naprędce urządził legowisko; wuj krążył na dnie krateru jak dzikie zwierzę w wilczym dole trapera. Nie miałem siły ani ochoty wstawać, więc za przykładem przewodnika pogrążyłem się w ciężkim półśnie; wydawało mi się, że słyszę ciągle jakieś pomruki i wyczuwam drzenie w łonie wulkanu.

Tak minęła pierwsza noc w głębi krateru.

Nazajutrz nad wierzchołkiem stożka zawisło ołowiane, posępne, zachmurzone niebo. Doszło to do mojej świadomości nie tyle z powodu mroku panującego w czeluści krateru, ile z powodu złości, jaka opanowała wuja.

Pojąłem w lot powód tej irytacji i w sercu moim obudził się znowu promyk nadziei.

Chodziło o to, że mieliśmy przed sobą trzy drogi, a Saknussem obrał tylko jedną z nich. Uczony islandzki podawał, że można ją było rozpoznać po pewnej osobliwości zaznaczonej w kryptogramie – mianowicie cień Skartarisa muskał jakoby w ostatnich dniach czerwca brzegi właściwego komina. Należało więc uważać tę ostrą iglicę za swego rodzaju wskazówkę olbrzymiego zegara słonecznego, której cień pokazywał w oznaczonym dniu drogę do wnętrza Ziemi.

Otóż, jeśli miało zabraknąć słońca, tym samym zabrakłoby i cienia, a więc i koniecznego znaku.

Był 25 czerwca. Niech tylko niebo pozostanie zasnuwane przez sześć dni, a wypadnie odłożyć wyprawę na następny rok!

Nie podejmuję się opisać bezsilnej złości profesora Lidenbrocka. Dzień minął i cień nie padł na dno krateru. Hans nie ruszył się ze swego miejsca, z pewnością jednak zastanawiał się, na co właściwie czekamy. Wuj nie odezwał się do mnie ani słowem. Wzrok jego, bezustannie zwrócony ku niebu, gubił się w jego mglistej szarzyźnie.

26 czerwca – bez zmian. Przez cały dzień padał deszcz pomieszany ze śniegiem, Hans zbudował nam zatem schronienie z kawałków lawy. Czerpałem pewną przyjemność z obserwowania nieprzebranej ilości kaskad spływających po zboczach stożka, gdzie każdy kamień wzmagał ogłuszający ich szmer. Wuj stracił panowanie nad sobą. Co prawda nawet człowiek cierpliwszy od niego miałby powód do irytacji – to, co nas spotkało, było równoznaczne z utonięciem u brzegu.

Jednakże los przeplata zazwyczaj wielkie smutki wielkimi radościami, toteż i dla profesora Lidenbrocka przygotował zadośćuczynienie równe jego udrękom.

Nazajutrz niebo było jeszcze zasnuwane, lecz 28 czerwca nadeszła wraz z odmianą księżyca zmiana pogody. Słońce zalewało krater potokiem promieni. Każda wyniosłość, każdy głaz, każdy kamień, każda nierówność korzystała z dobrodziejstw tej powodzi światła i każda rzucała cień na dno krateru. Między innymi padł tam także ostry cień Skartarisa i zaczął krążyć nieznacznie wraz ze słońcem, a wuj obracał się w ślad za nim.

W południe, kiedy cień bywa najkrótszy, musnął on delikatnie krawędź środkowego kanału.

– To tu! – zawołał profesor. – To tu! Droga do wnętrza Ziemi! – dodał po duńsku. Spojrzał na Hansa.

– *Forüt!* – rzekł spokojnie przewodnik.

– Naprzód! – zawtórował mu wuj.

Była godzina pierwsza minut trzynastcie po południu.



Rozpocząła się właściwa podróż. Jak dotychczas wędrówka przynosiła więcej zmęczenia niż trudności; teraz jednak zaczną się one piętrzyć na każdym kroku.

Ciągle nie miałem odwagi zapuścić wzroku w tę bezdenną studnię, w którą mieliśmy się pogrążyć. Nadszedł decydujący moment. Mogłem jeszcze albo poddać się woli profesora, albo zrezygnować z wyprawy. Ale wstyd mi było cofnąć się w obecności myśliwego. Hans zgodził się na tę przygodę z takim spokojem, z taką obojętnością, z taką bezgraniczną pogardą dla niebezpieczeństwa, że zarumieniłem się na samą myśl, iż miałbym okazać się mniej odważny od niego. Gdybym był sam z wujem, wysunąłbym szereg mocnych argumentów, lecz w obecności przewodnika zaniemówiłem; pobiegłem myślą do mojej cudnej Grety, a potem zbliżyłem się do wylotu środkowego komina.

Nadmieniłem już, że miał sto stóp średnicy i trzysta stóp obwodu. Pochyliłem się nad głazem sterczącym u wylotu i zajrzałem do środka; włosy zjeżyły mi się na głowie. Ogarnęło mnie poczucie próżni, doznałem zawrotu głowy, jak gdybym był pijany. Jakże wielka jest siła przyciągająca otchłani! Niewiele brakowało, a byłbym runął w dół, lecz powstrzymała mnie jakaś dłoń. Była to dłoń Hansa. Stanowczo za mało wziętem lekcji osvajania się z przepaścią we Frelsers-Kirk w Kopenhadze.

Chociaż tylko rzuciłem okiem w głąb tej studni, zdałem sobie sprawę z jej układu. Ściany, nieomal pionowe, miały jednak liczne wypukłości, ułatwiające zejście; były tam jak gdyby stopnie, ale za to brakowało poręczy. Lina, uwiązana u wylotu, wystarczyłaby w zupełności, aby nas podtrzymać, lecz jak ją odwiązać, z chwilą kiedy osiągniemy dolny jej koniec?

Wuj zastosował nader prosty sposób dla pokonania tej trudności. Rozwinął linę grubości wielkiego palca, długości czterystu stóp; najpierw spuścił jedną jej połowę, następnie okręcił linę wokół bloku lawy i rzucił drugą połowę w komin. Teraz każdy z nas mógł schodzić trzymając w ręku obie połowy liny, która nie powinna się zsunąć; kiedy zejdziemy dwieście stóp, łatwo da się ją ściągnąć puściwszy jeden koniec i szarpiąc za drugi. I manewr ten można będzie powtarzać do nieskończoności.

– Teraz musimy zająć się bagażem – rzekł wuj skończywszy te przygotowania. – Podzielimy go na trzy paczki i każdy z nas przytroczy sobie jedną z nich do pleców; mam tu na myśli tylko przedmioty kruche i wrażliwe na wstrząsy.

Dzielny profesor nie zaliczał nas oczywiście do tej ostatniej kategorii.

– Hans weźmie narzędzia i część żywności – ciągnął dalej – ty, Akselu, jedną trzecią żywności i broń, a ja resztę prowiantów oraz delikatne instrumenty.

– No, a odzież i wszystkie te sznury i drabiny? Kto zniesie je na dół?

– Powędrują tam same.

– W jaki sposób? – spytałem zdumiony.

– Zobaczysz za chwilę.

Wuj był zwolennikiem śmiałych sposobów i stosował je bez wahania. Na jego rozkaz Hans mocno związał w jeden toboleń niełamliwe przedmioty i pakunek został po prostu wrzucony w głąb przepaści.

Do uszu moich doleciał huk wywołany drganiem warstw powietrza. Wuj, pochylony nad czeluścią, śledził zachwyconym wzrokiem spadający bagaż i podniósł się wtedy dopiero, gdy stracił go z oczu.

– W porządku – rzekł. – Teraz kolej na nas. Każdy bezstronny człowiek przyzna, że podobne słowa muszą wywołać dreszcz przerażenia!

Profesor przywiązał sobie na plecach paczkę z instrumentami, Hans – z narzędziami, ja zaś – z bronią. Zaczęliśmy schodzić w następującej kolejności: Hans, wuj, a na końcu ja. Schodzenie odbywało się w głębokim milczeniu, przerywanym jedynie łoskotem odłamków skalnych spadających w przepaść.

Zsuwałem się w dół, w jednej ręce ściskając kurczowo podwójną linę, w drugiej – okuty kij, którym się podpierałem. Pewna uparta myśl nie dawała mi spokoju: bałem się śmiertelnie, że zabraknie nam punktu oparcia. Lina wydawała mi się zbyt słaba, by utrzymać ciężar trzech ludzi. Toteż starałem się używać jej jak najostrożniej i dokazywałem cudów zręczności na występach lawy, które stopa moja usiłowała uchwycić niby wyciągnięta dłoń.

Kiedy jakiś śliski stopień chwiał się pod nogą Hansa, przestrzegwał on spokojnym głosem:

– *Gtf akt!*

– Uwaga! – powtarzał wuj.

Po upływie pół godziny dotarliśmy do występu skalnego mocno zespolonego ze ścianą komina.

Hans pociągnął za jeden koniec liny, drugi uniósł się w górę i gdy minął skałę odległą od nas o dwieście stóp, zsunął się zagarniając okruchy kamieni oraz lawy, które spadły jak deszcz, a raczej jak groźny grad.

Przechyliłem się przez wąską płytę skalną i przekonałem się, że dno komina jest jeszcze niewidoczne.

Powtórzyliśmy znów manewr z liną i w ciągu pół godziny przesunęliśmy się o dalsze dwieście stóp.

Wątpię, czy najbardziej nawet zapalony geolog próbowałby badać w czasie tego rodzaju zejścia właściwości otaczających go terenów. Jeśli o mnie chodzi, niewiele mnie to interesowało. Mało mnie obchodziło, czy to były formacje plioceńskie, mioceńskie, eoceńskie, kredowe, jurajskie, triasowe, permskie, węglowe, dewońskie, sylurskie czy archaiczne. Jednakże profesor bez wątpienia prowadził jakieś obserwacje, a może nawet robił notatki, gdyż podczas któregoś z postojów

powiedział do mnie:

– Im dalej się posuwam, tym więcej nabieram pewności; układ tych terenów wulkanicznych świadczy niezbicie o słuszości teorii Davy’ego. Jesteśmy wśród pokładów archaicznych, w których odbywał się proces chemiczny powstający przy zetknięciu się metali z powietrzem i wodą; odrzucam stanowczo hipotezę o ognistopłynnym jądrze Ziemi; zresztą sami się przekonamy.

Stale ta sama konkluzja! Łatwo pojąć, że nie bawiłem się w dyskusje. Wuj uznał moje milczenie za potakiwanie i wędrówka nasza w głąb komina rozpoczęła się na nowo.

Po upływie trzech godzin wciąż jeszcze nie widać było dna. Gdy podnosiłem głowę, widziałem, że wylot wyraźnie się zmniejsza; ściany, lekko pochylone, zdradzały tendencję do zbliżania się ku sobie. Stopniowo robiło się coraz ciemniej.

Jednakże schodziliśmy wciąż głębiej i głębiej; zdawało mi się, że kamienie odrywające się od ścian wydawały przy spadaniu bardziej głuchy odgłos i szybciej docierały do dna przepaści. Ponieważ starałem się zapamiętać dokładnie, ile razy powtórzył się manewr z liną mogłem ściśle obliczyć osiągniętą głębokość i czas zużyty na zejście.

Otóż manewr ten – trwający pół godziny – wykonaliśmy już czternaście razy. Byliśmy zatem w drodze siedem godzin; poza tym czternaście kwadransów – czyli trzy i pół godziny – zużyliśmy na odpoczynek. Razem dziesięć i pół godziny. Wyruszyliśmy o pierwszej, a więc w tej chwili musiało być wpół do dwunastej w nocy.

Jeśli chodzi o głębokość przez nas osiągniętą, czternaście manipulacji z liną długości dwustu stóp dawało w rezultacie dwa tysiące osiemset stóp. W tym momencie rozległ się głos Hansa:

– *Halt!*

Zatrzymałem się raptownie, w chwili gdy już-już miałem trącić stopą głowę wuja.

– Doszliśmy – rzekł profesor.

– Dokąd? – spytałem stanawszy koło niego.

– Na dno prostopadłego komina.

– I nie ma stąd wyjścia?

– Owszem, widzę tu rodzaj korytarza, który skręca na prawo. Obejrzymy go jutro. A teraz zjedzmy kolację i kładźmy się spać.

Docierało tu jeszcze trochę światła. Otworzyliśmy worek z zapasami, pożywiliśmy się i ułożyli możliwie najwygodniej na posłaniu z kamieni i odłamków lawy.

I gdy tak leżąc na plecach otworzyłem oczy, dojrzałem błyszczący punkcik na drugim końcu tego przewodu długości trzech tysięcy stóp, przewodu, który przeobraził się w gigantyczną lunetę. Była to

gwiazdka, nie migocąca wcale, która według moich obliczeń musiała być beta Małej Niedźwiedzicy.

Po czym zapadłem w głęboki sen.

O ósmej rano obudził nas promień słońca. Tysiączne fasetki lawy na ścianach odbijały jego blask, który rozpryskiwał się jak deszcz iskier. Był na tyle silny, że pozwalał nam rozróżniać otaczające przedmioty.

– Co ty na to, Akselu? – rzekł wuj zacierając ręce. – Czy spędziłeś kiedykolwiek spokojniejszą noc w naszym domu na Königsstrasse? Ani turkotu pojazdów, ani okrzyków handlarzy, ani nawoływania przewoźników!

– Bez wątpienia, bardzo tu spokojnie na dnie tej studni; ale taka cisza ma w sobie coś przerażającego.

– Cóż znowu! – zawołał wuj. – Jeżeli już teraz ogarnia cię strach, co będzie później? Jeszcze nie weszliśmy nawet na cal do wnętrza Ziemi.

– Co wuj chce przez to powiedzieć?

– Że dotarliśmy dopiero do powierzchni wyspy. Ten długi pionowy komin, z wylotem w kraterze Sneffelsa, kończy się mniej więcej na poziomie morza.

– Czy wuj jest tego pewien?

– Oczywiście. Spójrz na barometr, a przekonasz się na własne oczy.

W rzeczy samej rtęć, która podnosiła się w miarę naszego schodzenia, zatrzymała się na dwudziestym dziewiątym calu.

– Widzisz sam, że jest to ciśnienie jednej atmosfery – podjął profesor. – Chciałbym, żeby ten barometr można było jak najprędzej zastąpić manometrem.

Istotnie, barometr miał się wkrótce okazać niepotrzebny, wtedy mianowicie, gdy ciężar powietrza przekroczy ciśnienie obliczone dla poziomu morza.

– Ale czy nie należy się obawiać, że to ciśnienie stanie się z czasem bardzo dla nas uciążliwe?

– Nie. Będziemy schodzili wolno i nasze płuca przyzwyczają się do oddychania zgęszczonym powietrzem. Aeronauci, wznosząc się w górne warstwy atmosfery, odczuwają zazwyczaj brak powietrza, my natomiast będziemy go z pewnością mieli w nadmiarze. Ale wolę już tę drugą ewentualność. Nie traćmy ani chwili. Gdzie jest pakunek, który wyprzedził nas w wędrówce? Przypomniałem sobie wówczas, że na próżno szukaliśmy go wczoraj wieczór. Wuj spytał Hansa, a ten, rozejrzawszy się uważnie dokoła z czujnością myśliwego, odpowiedział:

– *Der huppe!* Tam w górze.

Rzeczywiście, paczka zawieszona była na występie skalnym o jakieś sto stóp nad naszymi

głowami. Islandczyk wspiął się tam niezwłocznie ze zręcznością kota i w ciągu kilku minut paczka była w naszym posiadaniu.

– A teraz zjedzmy śniadanie – rzekł wuj. – Trzeba pokrzepić się solidnie, jak to robią podróżni mający daleką drogę przed sobą.

Suchary oraz suszone mięso popiliśmy wodą zakropioną jałowcówką.

Po skończonym śniadaniu wuj wyciągnął z kieszeni notes przeznaczony na obserwacje w podróży; zbadał kolejno wszystkie przyrządy i zanotował następujące dane:

*Poniedziałek, 29 czerwca*

*Chronometr – godzina 8, minut 17 rano*

*Barometr – 29 cali, 7 linii*

*Termometr – 6 stopni*

*Kierunek – południowo-wschodni.*

Ta ostatnia uwaga, odczytana z busoli, odnosiła się do mrocznego podziemnego chodnika.

– Teraz, Akselu, zagłębimy się naprawdę we wnętrze Ziemi! – zawołał profesor z entuzjazmem. – A więc dokładnie w tym momencie rozpoczyna się właściwa nasza podróż.

Po czym jedną ręką uniósł aparat Ruhmkorffa, zawieszony na szyi, a drugą włączył prąd do spirali latarni; dość jasne światło rozproszyło ciemności podziemnego korytarza.

Hans uruchomił i poniósł drugi aparat. Dzięki temu pomysłowemu zastosowaniu elektryczności mogliśmy przez dłuższy czas posuwać się naprzód, rozpraszając ciemności sztucznym światłem nawet pośród wybitnie łatwopalnych gazów.

– W drogę! – rzucił hasło wuj.

Każdy wziął swój pakunek, a Hans podjął się popychać przed sobą tłumok z linami i odzieżą; wkroczyliśmy gęsiego do chodnika – ja zamykałem pochód.

Nim pogrążyliśmy się w mrocznym korytarzu, podniosłem głowę i po raz ostatni, przez olbrzymi komin, ujrzałem niebo Islandii, którego nie miałem już nigdy zobaczyć.

Podczas ostatniego wybuchu w 1229 roku lawa utorowała sobie drogę przez ten właśnie tunel i pokryła jego ściany grubą, lśniącą powłoką, która odbijała światło elektryczne, stokrotnie zwiększając jego intensywny blask.

Cała trudność polegała na tym, by nie zlecieć na łeb, na szyję po tym skłonie o nachyleniu około czterdziestu pięciu stopni; na szczęście przeróżne pęknięcia i wybrzuszenia zastępowały stopnie,

toteż nie pozostawało nam nic innego, jak schodzić zepchnąwszy najpierw bagaż uwiązany na długiej linie.

Na ścianach lawa, gdzieniegdzie porowata, tworzyła słupy i kule; kryształy z zadymionego kwarcu, zawieszane na sklepieniu niby świeczniki, zdawały się zapalać, gdy przechodziliśmy pod nimi. Rzekłbyś, iż duchy podziemne oświetlały swój pałac na przyjęcie ziemskich gości.

– Wspaniałe! – zawołałem mimo woli. – Cóż za widok, wuju! Czyż nie są godne podziwu te odcienie kolorów, stopniowanie barw lawy od czerwono-brązowej aż do jaskrawożółtej? A te kryształy, które wyglądają jak jarzące się kule?

– Ach, przekonałeś się wreszcie, Akselu! – odparł wuj. – Uważasz, że to wspaniały widok, mój chłopcze? Mam nadzieję, że niejedno jeszcze zobaczysz! Idźmy! Idźmy dalej!

Lepiej by tu pasowało słowo „zsuwajmy się”, jako że spuszczaaliśmy się bez wysiłku po spadzistych pochyłościach. Busola, na którą często spoglądałem, wskazywała niezmiennie kierunek południowo-wschodni. Dawny potok lawy nie zbaczał ani w jedną, ani w drugą stronę, biegnąc wytrwale po linii prostej.

Jednakże temperatura nie wzrastała zbytnio, co dowodziłoby słuszności teorii Davy’ego. Co rusz sprawdzałem ze zdumieniem stan termometru: w dwie godziny po wymarszu wskazywał zaledwie dziesięć stopni, a zatem temperatura wzrosła tylko o cztery stopnie. W związku z tym nasunęło mi się przypuszczenie, że trasa, którą szliśmy, była raczej pozioma aniżeli pionowa. Określenie osiągniętej przez nas głębokości nie było bynajmniej rzeczą trudną. Profesor wymierzał starannie kąty i nachylenia drogi, lecz nie ujawniał rezultatów swoich obserwacji. Około ósmej wieczorem zarządził postój. Hans usiadł natychmiast; lampy zawiesiliśmy na wystającym bloku lawy. Znajdowaliśmy się jak gdyby w jaskini, gdzie powietrza nie brakowało. Wprost przeciwnie, dochodziły do nas jakieś powiewy. Skąd się brały? Jakim działaniom atmosferycznym należało przypisać to zjawisko? Nie zadawałem sobie wówczas trudu, by rozwikłać ten problem, głód i zmęczenie odebrały mi zdolność rozumowania. Siedmiogodzinne schodzenie odbyło się kosztem wielkiego ubytku sił. Byłem mocno wyczerpany, toteż sygnał do odpoczynku powitałem z uczuciem prawdziwej ulgi. Hans rozłożył zapasy żywności na bloku lawy i każdy z nas zajadał z apetytem. Jednakże niepokoił mnie fakt, że nasze rezerwy wody wyczerpały się już do połowy. Wuj liczył, że uzupełnimy je ze źródeł podziemnych, lecz dotychczas nie napotkaliśmy ani jednego. Nie mogłem wytrzymać i poruszyłem tę sprawę.

– Dziwi cię brak źródeł? – zapytał wuj.

– Oczywiście, nie tylko mnie dziwi, ale i niepokoi; nasz zapas wody starczy zaledwie na pięć dni.

– Bądź spokojny, Akselu, zapewniam cię, że znajdziemy wodę, i to w dostatecznej ilości.

– Ale kiedy?

– Kiedy wydostaniemy się spod powłoki lawy. W jaki sposób źródła mogłyby przebić takie ściany?

– A może pokład lawy sięga bardzo głęboko? Wydaje mi się, że niewiele posunęliśmy się w głąb Ziemi...

– Na czym opierasz to twierdzenie?

– Gdybyśmy dotarli głębiej, temperatura byłaby wyższa.

– Jeśli uwzględnić twój punkt widzenia na tę sprawę, Akselu – odparł wuj. – A co wskazuje termometr?

– Załedwie piętnaście stopni, czyli od naszego wymarszu temperatura podniosła się tylko o dziewięć stopni.

– Jakie wyciągasz z tego wnioski?

– Następujące: według dokładnych badań temperatura wewnątrz kuli ziemskiej wzrasta przeciętnie o jeden stopień na każde siedemdziesiąt stóp. Lecz pewne warunki lokalne mogą wpłynąć na zmianę tych liczb. Na przykład w Jakucku na Syberii stwierdzono, iż temperatura wzrasta o jeden stopień na trzydzieści sześć stóp; zapewne jest to zależne od przewodnictwa cieplnego skał. Dodam jeszcze, że zaobserwowano w sąsiedztwie pewnego wygasłego wulkanu, poprzez pokłady gnejsu, iż temperatura podnosi się tylko o jeden stopień na sto dwadzieścia pięć stóp. Zastosujmy więc tę ostatnią hipotezę – najbardziej właściwą w naszych warunkach – i przeprowadźmy obliczenia.

– A więc obliczaj, mój chłopcze.

– Nic łatwiejszego – odparłem kreśląc cyfry w notesie. – Dziewięć razy sto dwadzieścia pięć daje tysiąc sto dwadzieścia pięć stóp głębokości.

– Tak jest.

– A więc?

– Według moich obliczeń osiągnęliśmy już dziesięć tysięcy stóp poniżej poziomu morza – rzekł profesor.

– Czy to możliwe?

– Tak, w przeciwnym razie cyfry przestałyby być cyframi. Obliczenia profesora były ścisłe i zgodne z rzeczywistością; przekroczyliśmy o sześć tysięcy stóp największe głębokości osiągnięte dotychczas przez człowieka.

W tym miejscu temperatura powinna była wynosić osiemdziesiąt jeden stopni, a wynosiła załedwie piętnaście. To dawało wiele do myślenia.



Nazajutrz, we wtorek 30 czerwca, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Szliśmy wciąż chodnikiem z lawy, istną naturalną pochylnią, łagodną jak owe spadziste płaszczyzny zastępujące dziś jeszcze schody w starych domach. Nagle, ściśle o godzinie dwunastej minut siedemnaście w południe, Hans, który szedł na przedzie, stanął jak wryty.

– Ach! – zawołał wuj. – Doszliśmy do końca korytarza!

Rozejrzałem się wokoło; znajdowaliśmy się na rozstaju, skąd rozchodziły się dwie drogi, obie wąskie i mroczne. Którą należało obrać? Na tym polegała trudność. Jednakże wuj nie chciał, by któryś z nas zauważył jego niezdecydowanie, i wskazał tunel wschodni. Wkrótce zagłębiliśmy się w nim wszyscy trzej.

Wszelkie wahania na tym rozwidleniu dróg przeciągnęłyby się w nieskończoność, żaden znak bowiem nie wskazywał, którą trasę należy obrać; trzeba było się zdać na los szczęścia.

Skłon tego chodnika był stosunkowo niewielki, a przekrój ogromnie nierówny; niekiedy ciągnął się przed nami szereg łuków niby w nawie katedry gotyckiej; artyści średniowieczni mogliby studiować tu wszystkie formy tej architektury religijnej, której podstawowym elementem jest ostrołuk. O milę dalej pochyłaliśmy głowy przechodząc pod spłaszczonymi łukami w stylu romańskim, a wielkie filary, zespolone w jedną całość z masywem ścian, zdawały się uginać pod naporem sklepień. Gdzie indziej znów układ ten ustępował miejsca niskim wykopom, przypominającym budowle bobrów, gdzie czołgaliśmy się przez wąskie tunele.

Temperatura była znośna. Mimo woli przedstawiałem sobie jej intensywność, gdy lawy wyrzucone przez Sneffelsa pędziły tą drogą, dzisiaj tak spokojną. Wyobrażałem sobie potoki ognia rozbijające się o zakręty chodnika i nagromadzenie rozgrzanej pary w jego, wąskim gardle.

„Oby tylko stary wulkan nie nabrał ochoty na spóźnione szaleństwa!” – pomyślałem sobie.

Oczywiście, nie zwierzałem się z tych rozmyślań wujowi – i tak by ich nie zrozumiał. Jedynym jego pragnieniem było posuwać się naprzód. Szedł, ześlizgiwał się, staczał nawet, z energią, którą właściwie należało podziwiać.

O szóstej wieczorem, po niezbyt męczącym marszu, posunęliśmy się o dwie mile na południe, ale zaledwie o ćwierć mili w głąb Ziemi.

Wuj dał sygnał do odpoczynku. Pożywiliśmy się, nie mówiąc wiele, i zasnęliśmy, niewiele rozmyślając przed snem.

Przygotowania do noclegu nie były skomplikowane – zawijaliśmy się po prostu w koce, które zastępowały nam pościel. Nie potrzebowaliśmy obawiać się ani zimna, ani niepożądanych odwiedzin. Podróżni zapuszczający się w głąb pustyni afrykańskich lub puszczy Nowego Świata muszą czuwać kolejno podczas godzin snu; tu jednak królowała niepodzielnie samotność i całkowity spokój.

Nie groziło nam niebezpieczeństwo ani ze strony dzikusów, ani ze strony drapieżnych zwierząt.

Obudziliśmy się nazajutrz rażni, wypoczęci i ruszyliśmy w dalszą drogę. Posuwaliśmy się chodnikiem z lawy jak poprzedniego dnia. Nie sposób było rozpoznać właściwości terenu wzdłuż trasy. Tunel, zamiast zagłębiać się we wnętrzu Ziemi, zdradzał tendencję do prostowania się i biegł raczej po linii poziomej. Zdawało mi się nawet, że wznosi się ku powierzchni. Mniej więcej o dziesiątej rano tendencja ta stała się tak wyraźna i skutkiem tego marsz tak męczący, że musiałem zwolnić kroku.

– Cóż to, Akselu? – rzucił niecierpliwie profesor.

– Brak mi już sił – powiedziałem.

– Jak to, po trzech godzinach spaceru, na takiej łatwej drodze?

– Może i łatwej, ale niewątpliwie bardzo męczącej.

– Przecież ciągle schodzimy w dół!

– Za pozwoleniem, właśnie że wspinamy się pod górę!

– Wspinamy się? – oburzył się wuj wzruszając ramionami.

– Oczywiście. Już od pół godziny zmieniło się nachylenie chodnika i jeśli tak dalej pójdzie, wrócimy z pewnością na ziemię islandzką.

Profesor potrząsnął głową jak człowiek, który upiera się przy swoim. Usiłowałem nawiązać na nowo rozmowę, lecz nic mi nie odpowiedział i dał sygnał do wymarszu. Zauważyłem od razu, że jego milczenie było objawem wyjątkowego złego humoru.

Podniosłem dzielnie swój tobolek i szybko podążyłem za Hansem, który szedł tuż za wujem. Chodziło mi o to, by nie zostać w tyle; starałem się usilnie nie stracić z oczu towarzyszy, drżąc na samą myśl, że mógłbym zabłądzić w czeluściach labiryntu. Droga, pnąc się pod górę, stawała się coraz bardziej męcząca; pocieszałem się tylko, że zbliżała nas do powierzchni Ziemi. Żyłem tą nadzieją, a każdy krok utwierdzał mnie w owym radosnym przeświadczeniu.

W południe zaszła wyraźna zmiana w wyglądzie ścian chodnika; zauważyłem, że słabiej odbijają światło elektryczne. Zamiast powłoki z lawy była to teraz naga skała; masyw tunelu składał się z ukośnie, a nieraz pionowo ułożonych warstw. Znajdowaliśmy się wśród skał paleozoicznych, w pełni okresu sylurskiego\*.

– To jasne! – zawołałem. – Wody osadziły w tej erze istnienia Ziemi te łupki, wapienie i piaskowce! Masyw granitowy pozostał pod nami. Można by nas porównywać do podróżnych z Hamburga, którzy kierują się na Hanower, by dotrzeć do Lubeki.

Powinienem był zachować dla siebie te uwagi. Lecz mój temperament geologa wziął górę nad rozważą i wuj dosłyszał moje głośnie wywody.

– O co chodzi? – spytał.

– Proszę spojrzeć! – odpowiedziałem wskazując mu różnorodne okazy piaskowców, wapieni i pierwsze ślady warstw łupkowych.

– No i co z tego?

– Dotarliśmy do tego okresu, kiedy istniało już życie na Ziemi.

– Tak sądzisz?

– Proszę tylko przyjrzeć się dobrze, zaobserwować, zbadać to wszystko!

Skłoniłem profesora, by oświetlił latarnią ściany chodnika. Spodziewałem się jakichś uwag z jego strony. Ale nie odezwał się ani słowem i ruszył dalej.

Czy zrozumiał, o co mi chodziło? A może nie chciał przyznać się – nie pozwalała mu na to ambicja uczonego i opiekuna – że pomylił się wybierając wschodni tunel, lub też chciał zbadać to przejście do końca? Nie ulegało wątpliwości, że zeszliśmy ze szlaku, jakim płynęła lawa, i że ta droga nie prowadziła do „głównego paleniska” Sneffelsa.

Jednakże zastanawiałem się, czy nie przywiązywałem zbyt wielkiej wagi do tych zmian terenowych. Czy przypadkiem nie popełniłem omyłki? Czy istotnie mijaliśmy warstwy leżące ponad masywem granitowym?

„Jeśli moje spostrzeżenia są słuszne – pomyślałem – powinienem tu znaleźć jakieś szczątki istot pierwotnych i wtedy wuj będzie musiał ustąpić wobec niezbitego dowodu. Szukajmy więc”.

Nie uszedłem nawet stu kroków, gdy oczom moim ukazały się owe niezbite dowody. Zresztą nie mogło być inaczej, gdyż w okresie sylurskim morza zawierały przeszło tysiąc pięćset gatunków zwierząt i roślin. Pod stopami, przyzwyczajonymi już do twardej lawy, poczułem nagle pył składający się ze szczątków muszli. Na ścianach widać było wyraźne odciski porostów – i widłaków; profesor Lidenbrock nie powinien był mieć wątpliwości; zapewne umyślnie nie chciał tego widzieć i szedł dalej równym krokiem.

Był to upór posunięty do ostatecznych granic. Nie wytrzymałem i podniosłem wspaniale zakonserwowany pancerz, który należał do gatunku przypominającego mniej więcej obecną stonogę; podszedłem do wuja i powiedziałem:

– Proszę zobaczyć!

– No i cóż? – odparł spokojnie. – Pancerz stawonoga należącego do wymarłych od dawna trylobitów, nic więcej.

– Ale czy nie należy wyciągnąć z tego pewnego wniosku?...

– Wniosku, do którego ty właśnie doszedłeś? Owszem. Istotnie opuściliśmy masyw granitowy i

drogę, którą płynęła lawa. Może się pomyliłem, ale nabiorę co do tego pewności dopiero wtedy, gdy dojdziemy do końca chodnika.

– Wuj ma rację postępując w ten sposób i pochwalałbym tę decyzję, gdyby nie groziło nam poważne niebezpieczeństwo.

– Jakież to, jeśli wolno spytać?

– Brak wody.

– Trudno, będziemy musieli wydzielać ją sobie oszczędnie.

I rzeczywiście do tego doszło. Nasz zapas wody mógł starczyć zaledwie na trzy dni. Stwierdziłem to wieczorem podczas kolacji. Była to smutna perspektywa, tym bardziej że mieliśmy słabą nadzieję natrafienia na źródło w tych terenach.

Przez cały następny dzień chodnik roztaczał przed nami nie kończący się szereg łuków. Szliśmy w całkowitym nieomal milczeniu, jakby udzieliła nam się małomówność Hansa.

Droga nie pięła się już tak wyraźnie w górę, niekiedy nawet zdawało się, iż schodzi w dół. Lecz tendencja ta, zresztą mało wyczuwalna, była słabą pociechą dla profesora, charakter skał bowiem nie ulegał zmianie i okresy ery paleozoicznej zaznaczały się coraz mocniej.

Łupki, wapienie i stare, czerwone piaskowce ścian iskrzyły się cudnie w świetle elektrycznym; z łatwością można było sobie wyobrazić, że znajdujemy się w otwartym wykopie w hrabstwie Devon, któremu zawdzięczają swoją nazwę tego rodzaju tereny. Ściany pokrywały wspaniałe odmiany marmurów; jedne były szare jak agat, z białymi, kapryśnie wijącymi się żyłkami, inne jasnoróżowe lub żółte w czerwone plamy; dalej widniały odmiany czerwono-brunatne, a na ciemnym ich tle odznaczały się wyraźnie białe szczątki muszli.

Na większości tych marmurów występowały odciski zwierząt pierwotnych, ale od poprzedniego dnia świat organiczny poczynił widoczne postępy. Zamiast prymitywnych trylobitów zauważyłem szczątki stworzeń o wiele wyższego rzędu, między innymi ryb pancernych oraz owych kwastopłetwych w których oko paleontologa potrafiło odkryć pierwsze formy płaza. Morza dewońskie zamieszkałe były przez wielkie ilości zwierząt tego rodzaju i wyrzucały je tysiącami na skały nowej formacji.

Było rzeczą oczywistą, że pięliśmy się coraz wyżej po drobinie świata zwierzęcego, na której szczycie znajdował się człowiek. Ale profesor Lidenbrock zdawał się tego nie widzieć.

Czekał na dwa rozwiązania – albo że jakaś pionowa studnia otworzy się u jego stóp i pozwoli mu podjąć na nowo zstępowanie w głąb Ziemi, albo że jakaś przeszkoda powstrzyma go w dalszej drodze. Ale nadszedł wieczór, a nadzieje jego nie ziściły się.

W piątek, po nocy, w czasie której zacząłem już odczuwać udręki pragnienia, nasza mała gromadka zagłębiła się znów w kręty korytarz.

Po dziesięciogodzinnym marszu zauważyłem, że światło naszych latarni odbijało się znacznie słabiej od powierzchni ścian. Marmur, łupek, wapień i piaskowiec ustąpiły miejsca okładzinie ciemnej i matowej. Tunel wyraźnie zwęził się; w pewnym momencie oparłem się o ścianę, a kiedy cofnąłem dłoń, okazało się, że była zupełnie czarna. Przyjrzałem się bliżej skale: znajdowaliśmy się wśród złóż węglowych.

– Kopalnia węgla! – zawołałem.

– Kopalnia bez górników – odpowiedział wuj.

– Kto wie?

– Ja wiem – odparł profesor krótko – i pewny jestem, że ten chodnik, przebity poprzez złoża węgla, nie został wykonany ręką ludzką. Ale mało mnie obchodzi, czy jest on, czy nie jest dziełem przyrody. Już czas na kolację. Jedzmy więc.

Hans przygotował posiłek. Jadłem niewiele, a wypilem kilka kropel wody, które stanowiły moją rację. Pół manierki – oto co pozostało dla zaspokojenia pragnienia trzech ludzi!

Po kolacji dwaj moi towarzysze wyciągnęli się na kocach, szukając w śnie wypoczynku po trudach minionego dnia. Jeśli o mnie chodzi, nie zmrużyłem oka przez całą noc i liczyłem niecierpliwie godziny dzielące nas od ranka.

W sobotę o szóstej ruszyliśmy w dalszą drogę. Po dwudziestu minutach doszliśmy do obszernej komory; uświadomiłem sobie, że człowiek nie mógł założyć tej kopalni, wówczas bowiem sklepienia jej trzymające się tylko cudem – byłyby czymś podparte.

Pieczara liczyła sto stóp szerokości na sto pięćdziesiąt wysokości. Zapewne jakiś gwałtowny wstrząs podziemny musiał rozsunąć w tym miejscu ściany tunelu. Masy węgla, pod potężnym jakimś naporem, uległy rozsadzeniu i powstała ta oto próżnia, gdzie noga ludzka stanęła dziś po raz pierwszy.

Cała historia okresu węglowego wypisana była na tych ciemnych ścianach i geolog łatwo mógłby tu prześledzić dzieje poszczególnych jej faz. Złoża węgla poprzedzielane były spoistymi warstwami piaskowca lub gliny i przygniecione jak gdyby ciężarem górnych pokładów.

W tym okresie, poprzedzającym erę mezozoiczną, Ziemia pokryta była bujną roślinnością dzięki działaniu dwóch równorzędnych czynników – tropikalnych upałów i stałej wilgotności. Atmosfera złożona z pary otaczała kulę ziemską ze wszystkich stron.

Olbrzymie obszary porastała trawa, paprocie, widłaki, sigilarie, asterofily, rzadko spotykane dziś rodziny liczące wówczas tysiące gatunków.

Właśnie tej bujnej roślinności zawdzięcza węgiel swoje pochodzenie. Z początku pokłady roślin zamieniły się w torf; później, na skutek ciśnienia i wysokiej temperatury, uległy całkowitemu uwęgleniu.

W ten sposób powstały owe olbrzymie złoża, których przez długie jeszcze wieki – mimo intensywnej eksploatacji – ludzkość nie zdołała wyczerpać.

Te i tym podobne myśli przychodziły mi do głowy, gdy przyglądałem się bogatym pokładom węgla, nagromadzonym w tej części masywu ziemskiego. Prawdopodobnie nie zostaną one nigdy odkryte. Eksploatacja kopalń leżących tak głęboko wymagałaby zbyt wielkich wkładów. Zresztą nie byłoby to celowe, skoro złoża węgla znajdują się w wielu krajach, nieomal na powierzchni Ziemi. Toteż te pokłady, które oglądałem obecnie, przetrwają zapewne w nie zmienionym stanie, do czasu aż

wydzwoni ostatnia godzina naszego świata.

Tymczasem szliśmy dalej i tylko ja jeden – zagubiony w rozważaniach geologicznych – zapomniałem o tej drodze ciągnącej się w nieskończoność. Temperatura utrzymywała się mniej więcej na tym samym poziomie, jak wówczas gdy wędrowaliśmy wśród lawy i łupku.

Ta wędrówka wśród złóż węglowych trwała aż do wieczora. Wuj z trudem tłumił niecierpliwość spowodowaną poziomym położeniem drogi. O dwadzieścia kroków przed nami panowały nieprzeniknione ciemności i nie sposób było określić długości korytarza – wyobrażałem sobie, że ciągnie się on bez końca. Nagle o godzinie szóstej wieczorem wyrósł przed nami mur. Ani na prawo, ani na lewo, ani na górze, ani na dole – nigdzie nie było przejścia. Znaleźliśmy się w ślepej uliczce.

– Doskonale! – zawołał wuj. – Przynajmniej teraz wiem, czego się trzymać! Nie idziemy śladami Saknussemma i nie pozostaje nam nic innego, jak zawrócić. Odpoczniemy tu przez jedną noc i najdalej za trzy dni znajdziemy się znowu tam, gdzie rozwidlają się chodniki.

– Tak, jeżeli nam starczy na to sił!

– A dlaczego w to wątpisz?

– Dlatego, że jutro zabraknie nam wody.

– Czy odwagi także? – spytał profesor spoglądając na mnie surowym wzrokiem.

Nie zdobyłem się na odpowiedź.

Nazajutrz wyruszyliśmy w drogę wczesnym rankiem. Nie było chwili do stracenia. Dzieliło nas od rozdroża pięć dni marszu. Nie będę się rozwodził nad udręką powrotnej drogi. Wuj zniósł ją ze złością człowieka świadomego swojej winy, Hans z rezygnacją właściwą jego spokojnej naturze, a ja – przyznaję to szczerze – narzekając i rozpaczając głośno; nie potrafiłem nadrabiać miną wobec nieszczęśliwego zrzędzenia losu. Zgodnie z moimi przewidywaniami wody zabrakło już wieczorem pierwszego dnia; nie mieliśmy innych płynów poza jałowcówką, lecz piekielny ten trunek palił gardło i nie mogłem po prostu znieść jego widoku. Powietrze wydawało mi się duszne, zmęczenie obezwładniało mnie. Nieraz chwiałem się, omdlały z wyczerpania. Wówczas zatrzymywaliśmy się: wuj czy też Islandczyk pokrzepiali mnie w miarę możliwości. Lecz nie uszło mojej uwagi, że profesor z trudem pokonywał ogromne zmęczenie i udręki pragnienia.

Wreszcie we wtorek 7 lipca dowlekliśmy się na pół żywi – to czołgając się, to znów pomagając sobie rękoma – aż do miejsca, gdzie zbiegały się oba chodniki. Tu wyciągnąłem się bezwładnie na bloku ławy. Była godzina dziesiąta rano.

Hans i wuj stali oparci o ścianę, usiłując przełknąć trochę sucharów. Ze spieczonych moich ust wydobywały się przeciągłe jęki. Zapadłem w ciężki półsen.

Po jakimś czasie wuj zbliżył się do mnie i uniósł mnie w ramionach.

– Biedne dziecko – szepnął. W głosie jego przebijała litość.

Wzruszyły mnie te słowa – nie byłem przyzwyczajony do czułości ze strony mego groźnego opiekuna. Chwyciłem jego drżące ręce w swoje dłonie. Nie oponował, tylko wpatrywał się we mnie. Oczy jego zwilgotniały.

Zobaczyłem, że ujął manierkę wiszącą u jego boku. Ku memu niesłychanemu zdumieniu przytknął ją do moich warg.

– Pij – rzekł.

Czy się nie przesłyszałem? Czy wuj był przy zdrowych zmysłach? Przyglądałem mu się osłupiałym wzrokiem. Słowa jego nie docierały do mojej świadomości.

– Pij – powtórzył.

I przechylając manierkę, wlał mi całą jej zawartość do ust.

O niepojęta rozkoszy! Jeden jedyny łyk wody zwilżył moje rozpalone gardło, lecz to wystarczyło, by wrócić mi ulatujące życie.

Podziękowałem wujowi składając ręce jak do modlitwy.

– Tak – powiedział. – Jeden łyk wody! Ostatni już! Słyszysz? Ostatni. Skrzętnie go



przechowywałem na dzień manierki. Dwadzieścia razy, sto razy walczyłem ze straszliwą pokusą, by go wypić! Ale przeznaczyłem go dla ciebie, Akselu!

– Wuju! – szepnąłem i łzy nabiegły mi do oczu.

– Tak, biedne moje dziecko, wiedziałem, że po dojściu na to rozdroże padniesz na pół żywy, i zachowałem ostatnie krople wody, by cię przywrócić do, życia.

– Dziękuję! Dziękuję! – zawołałem.

Chociaż pragnienie moje bynajmniej nie było zaspokojone, odzyskałem trochę sił. Gardło, ściśnięte kurczowo, rozluźniło się, spieczona usta doznały ulgi. Mogłem już mówić.

– Teraz pozostało nam tylko jedno wyjście: skoro nie mamy wody, musimy wracać!

Gdy wypowiadałem te słowa, wuj nie patrzył na mnie; pochylił głowę, oczy jego unikały mego wzroku.

– Trzeba wracać – zawołałem – wspiąć się z powrotem do krateru Sneffelsa! Oby tylko Bóg dał nam dość siły, by tam dotrzeć!

– Wracać?! – wyrzekł wuj do siebie raczej niż do mnie.

– Tak, trzeba wracać, i to niezwłocznie! Zapadło dłuższe milczenie.

– A więc te kilka kropel wody nie dodały ci ani odwagi, ani energii? – spytał profesor dziwnym jakimś tonem.

– Odwagi?

– Widzę, że nadal jesteś przybity i widocznie rozpacz dyktuje ci te słowa.

Z jakimże człowiekiem miałem do czynienia? Jakie projekty układał jego śmiały umysł?

– Co? Wuj nie chce wracać?

– Czy mam zrezygnować z tej ekspedycji, gdy wszystko wskazuje, że może się udać? Nigdy!

– A więc mamy się narazić na niechybną zgubę?

– Nie, Akselu, nie! Ty wracaj! Nie pragnę twojej śmierci. Niech Hans idzie z tobą. Zostaw mnie tu samego.

– Co? Mam wuję opuścić?

– Zostaw mnie tu, powtarzam ci! Rozpocząłem tę wyprawę i chcę ją doprowadzić do końca, chociażbym miał nie wrócić z niej wcale. Idź, Akselu, idź!

Wuj wypowiedział te słowa w niezwykłym podnieceniu. Głos jego, taki czuły przed chwilą, nabrał twardych i groźnych akcentów. Z niesamowitą wręcz energią walczył o straconą sprawę. Nie chciałem opuścić go w głębinach tej otchłani, a z drugiej strony instynkt samozachowawczy pchał mnie do ucieczki.

Przewodnik przyglądał się tej scenie ze zwykłą obojętnością. Jednakże rozumiał, co działo się między nami – ruchy nasze wskazywały dostatecznie, do czego każdy z nas chciał skłonić drugiego. Hans jednak zdawał się mało interesować rozgrywką mającą zdecydować o jego losie, gotów iść dalej na znak wymarszu lub pozostać na miejscu, jeśli taka będzie wola jego pana i władcy.

Ach, gdybym mógł porozumieć się z nim bezpośrednio! Słowa moje, skargi, intonacja głosu przekonałyby tę zimną naturę! Postarałbym się wyjaśnić mu, wykazać dobitnie grożące nam niebezpieczeństwo, z którego sobie nie zdawał sprawy. Może we dwójkę zdołalibyśmy przemówić do rozumu upartemu profesorowi. Jeśli zaszłaby potrzeba, zmusilibyśmy go po prostu do powrotu na szczyt Sneffelsa.

Podszedłem do Hansa. Położyłem dłoń na jego rękę. Nie drgnął nawet. Wskazałem mu drogę powrotną do krateru. Trwał dalej bez ruchu. Błagalny wyraz mojej twarzy był wymownym dowodem moich cierpień. Islandczyk spokojnie pokiwał głową i wskazując na wujka powiedział:

– *Master.*

– Twój pan?! – zawołałem. – Szaleńcze! Nie, on nie jest panem twego życia! Trzeba stąd uciekać! Trzeba zabrać go ze sobą! Słyszysz? Rozumiesz mnie?

Chwyciłem Hansa za ramię. Chciałem zmusić go do wstania. Staczałem z nim formalną walkę. Wtedy odezwał się wuj:

– Spokojnie, Akselu. Nic nie wskórasz z tym niewzruszonym człowiekiem. Posłuchaj, co ci chcę zaproponować.

Skrzyżowałem ręce na piersi, patrząc wujowi prosto w oczy.

– Jediną przeszkodą do zrealizowania moich projektów jest brak wody – rzekł. – We wschodnim chodniku z lawy, łupku i węgla nie napotkaliśmy jej ani kropli. Może będziemy mieli więcej szczęścia w tunelu zachodnim.

Zaprzeciłem ruchem głowy, z wyraźnym niedowierzaniem.

– Wysłuchaj mnie do końca – ciągnął dalej profesor podnosząc głos. – W czasie gdy leżałeś tu bez życia, poszedłem zbadać strukturę tamtego chodnika. Kieruje się wprost ku wnętrzu Ziemi i w kilka godzin zaprowadzi nas do granitowego masywu. Tam powinniśmy bezwzględnie natrafić na obfite źródła. Wskazują na to właściwości skał i zarówno instynkt, jak logika utwierdzają mnie w tym przeświadczeniu. Otóż zechciej wysłuchać mojej propozycji. Kiedy Kolumb zażądał od swojej załogi trzech dni dla odkrycia nowych ziem, marynarze – chorzy, strwożeni – uczynili jednak zadość jego prośbie i mógł odkryć nowy świat. Ja, Kolumb stref podziemnych, proszę cię tylko o jeden

dzień. Jeżeli w ciągu tego czasu nie natrafimy na wodę, przyrzekam ci solennie, że powrócimy na powierzchnię Ziemi.

Choć byłem mocno rozdrażniony, wzruszyły mnie zarówno słowa wuja, jak gwałt, który zadał sobie, aby je wypowiedzieć.

– Dobrze! – zawołałem. – Zgadzą się na propozycję wuja. Oby Bóg wynagrodził mu jego nadludzką energię! Pozostało wujowi zaledwie kilka godzin, by próbować szczęścia. A więc w drogę!

Tym razem zapuściliśmy się w drugi chodnik. Hans kroczył jak zwykle na przedzie. Nie uszliśmy jeszcze stu kroków, gdy profesor, oświetlając lampą ściany korytarza, zawołał:

– Tak, to utwory archaiczne! Jesteśmy na dobrej drodze! Naprzód! Naprzód!

Kiedy w początkowym okresie istnienia świata Ziemia ostygła stopniowo, zmniejszanie jej objętości spowodowało liczne rozpadliny, pęknięcia, ubytki i szczeliny. Korytarz, którym posuwaliśmy się obecnie, był właśnie tego rodzaju szczeliną, przez którą ongiś wyciekały masy erupcyjne; tysiączne zakręty tego chodnika tworzyły istny labirynt, biegnący poprzez archaiczne tereny.

W miarę jak schodziliśmy niżej, występowały coraz wyraźniej warstwy tworzące ten układ, mianowicie gnejsy oraz łupki mikowe; spoczywają one na niewzruszonej opoce granitowej.

Nigdy chyba mineralodzy nie znaleźli się w bardziej sprzyjających warunkach, umożliwiających badanie cudów przyrody na miejscu. To, czego nierozumny i prostacki przyrząd – sonda – nie był w stanie wydostać z wnętrza Ziemi na jej powierzchnię, mieliśmy teraz ujrzeć na własne oczy, dotknąć własnymi rękoma.

Poprzez warstwy kolorowego łupku w pięknych, zielonych odcieniach wiły się żyły miedzi, manganu ze śladami platyny i złota. Myślałem o tych bogactwach ukrytych w łonie kuli ziemskiej, z których chciwość ludzka nigdy nie będzie korzystać. Skutkiem zaburzeń w czasie pierwszych dni istnienia Ziemi skarby te zapadły tak głęboko, że ani oskard, ani łom nie zdołają wydrzeć ich z owego grobowca.

Po łupku przysła kolej na gnejs, o strukturze warstewkowej, którego równoległe listki odznaczały się wielką regularnością, a potem na łupkę mikową ułożony w długie płytki rzucające się w oczy dzięki lśnieniu białej miki.

Światło aparatów odbijało się od załamania skalnej opoki i promienne refleksy krzyżowały się pod przeróżnymi kątami; wyobrażałem sobie, że wędruję przez wklęsły diament, w którym promienie rozszczepiały się na tysiące błysków.

Okolo godziny szóstej wieczorem ta orgia światła wyraźnie osłabła, nieomal skończyła się; ściany nabrały krystalicznego, lecz ciemnego połysku; mika pomieszana była teraz obficie ze skalaniem i kwarcem, tworząc jedną z najtrwalszych w przyrodzie skał. Byliśmy zamknięci w olbrzymim więzieniu z granitu. Dobiegała godzina ósma wieczór. W dalszym ciągu ani śladu wody. Cierpiałem straszliwie. Wuj szedł na przedzie, nie zatrzymując się. Nasłuchiwał, by pochwycić szmer jakiegoś źródła, na próżno jednak.

Nogi odmawiały mi już posłuszeństwa, lecz dzielnie walczyłem z udrękami pragnienia, by nie zmuszać wuja do przerwania marszu. Byłby to dla niego prawdziwy cios, jako że dzień się kończył, ostatni, który do niego należał.

Wreszcie siły opuściły mnie ostatecznie; upadłem i krzyknąłem:

– Ratunku! Umieram!

Wuj zawrócił i podszedł do mnie. Przyglądał mi się skrzyżowawszy ramiona, po czym z ust jego wyrwały się słowa głuchej rozpacz:

– Wszystko stracone!

Dojrzałem jeszcze, że wykonał gest nieopisanej desperacji, i zamknąłem oczy.

Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem, że dwaj moi towarzysze leżą nieruchomo, owinięci w koce. Czyżby spali? Jeśli o mnie chodzi, nie zasnąłem ani na chwilę. Znadto cierpiałem, przede wszystkim na myśl, że nie można nic poradzić na moje cierpienia. W uszach dźwięczały mi wciąż ostatnie słowa wuja: „Wszystko stracone!” Przy naszym osłabieniu nie mogło być mowy o wydostaniu się na powierzchnię Ziemi.

Nad nami ciążyło półtorej mili skorupy ziemskiej. Wydawało mi się, że ta masa przygniata moje ramiona całym swoim ciężarem. Czułem się jak przyduszony i dobywałem ostatnich sił, by przewrócić się na swoim łożu z granitu.

Tak minęło kilka godzin. Wokół nas panowało głębokie milczenie, grobowa cisza. Nic nie przenikało poprzez te mury potwornej grubości.

Jednakże w tym półśnie doleciał mnie jakiś szmer; w tunelu panowały zupełne ciemności, ale gdy rozejrzałem się uważnie, zdawało mi się, że dostrzegam Islandczyka oddalającego się z lampą w ręku.

Dlaczego odchodzi? Czyżby nas porzucił? Wuj spał w najlepsze. Chciałem krzyknąć, lecz nie mogłem wydobyć głosu ze spieczonych warg.

– Hans nas opuszcza! Hans! Hans!

Ale ten krzyk nie wydostawał się na zewnątrz: tkwił w moim gardle. Wszelako, gdy minęła pierwsza chwila przerażenia, zacząłem wstydzić się swoich podejrzeń w stosunku do człowieka, którego dotychczasowe zachowanie było bez zarzutu. Jego odejście nie miało nic wspólnego z ucieczką. Zresztą zamiast iść w górę chodnika, schodził w dół. Gdyby miał złe zamiary, poszedłby w odwrotnym kierunku. To rozumowanie uspokoiło mnie nieco i zacząłem inaczej zapatrywać się na całą sprawę. Jedyne bardzo ważny powód mógł skłonić tego spokojnego człowieka do przerwania wypoczynku. Czyżby dosłyszał pośród ciszy nocnej jakiś szmer, który nie doleciał do mnie?

## Rozdział XXIII

W ciągu godziny mój rozgorączkowany umysł rozpatrywał wszystkie powody, które mogły pobudzić flegmatycznego przewodnika do działania. Najbardziej bezsensowne myśli cisnęły mi się do głowy. Byłem bliski obłądu.

Ale wreszcie odgłos kroków rozległ się gdzieś w głębokościach podziemi. To Hans powracał. Niewyraźne światło zaczęło ślizgać się wzdłuż ścian, po czym ukazało się u wylotu korytarza.

Hans podszedł do wuja, położył mu rękę na ramieniu i obudził go ostrożnie. Wuj podniósł się natychmiast.

– Co się stało? – zapytał.

– *Watten* – odpowiedział myśliwy.

Prawdopodobnie pod wpływem silnych przeżyć każdy staje się poliglotą. Nie umiałem ani jednego słowa po duńsku, a jednak zrozumiałem instynktownie wyraz wypowiedziany przez przewodnika.

– Woda! Woda! – zawołałem klaszcząc w dłonie i gestykulując jak szalony.

– Woda! – powtórzył wuj. – *Hvar?* – spytał Islandczyka.

– *Nadat* – odparł Hans.

Gdzie? Na dole! Zrozumiałem wszystko. Chwyciłem w swoje ręce dłonie myśliwego, ścisnąłem je, a on patrzył na mnie spokojnie.

Przygotowania do wymarszu nie trwały długo i niebawem schodziliśmy korytarzem, którego nachylenie sięgało dwóch stóp na sześcian\*.

W ciągu godziny posunęliśmy się naprzód mniej więcej o tysiąc sążni, zatem w głąb o dwa tysiące stóp.

Teraz słyszeliśmy już wyraźnie jakiś niezwykle szmer rozchodzący się we wnętrzu granitowej ściany, rodzaj głuchego pomruku, jakby daleki grzmot. Ponieważ w ciągu dwóch pierwszych kwadransów nie napotkaliśmy zapowiedzianego źródła, czułem, że znów ogarnia mnie niepokój; wówczas wuj wyjaśnił mi, skąd płyną dochodzące nas odgłosy.

– Hans miał rację – rzekł – to, co słyszemy, to szum potoku.

– Potoku? – zdumiałem się.

– Tak, nie ulega wątpliwości. Podziemna rzeka płynie tu gdzieś w pobliżu.

Ożywieni nadzieją, przyśpieszyliśmy kroku. Nie czułem zmęczenia. Odgłos szemrzącej wody

orzeźwiał mnie; potok biegł czas jakiś tuż nad nami, a teraz rwał w lewej ścianie z hukiem i bulgotem. Co chwila przesuwałem dłonią po murze, licząc, że natrafie na ślady wilgoci. Niestety na próżno. Upłynęło pół godziny. Uszliśmy dalsze pół mili. Było rzeczą oczywistą, że myśliwy w czasie swojej nieobecności nie mógł zapuścić się dalej w poszukiwaniach. Kierowany instynktem, charakterystycznym dla górali i poszukiwaczy źródeł, „wyczuł” ten potok poprzez opokę skalną, ale z pewnością nie widział cennego płynu ani nie zaspokoił pragnienia.

Wkrótce stało się jasne, że jeśli pójdziemy dalej, oddalimy się od wody, której szmer zaczął wyraźnie cichnąć. Zawróciliśmy więc. Hans zatrzymał się ściśle w tym miejscu, gdzie strumień wydawał się być najbliżej.

Usiadłem przy ścianie, a woda rwała zaledwie o dwie stopy ode mnie, z niezwykłą gwałtownością. Niestety, oddzielał nas od niej granitowy mur.

W pierwszej chwili – zamiast zastanowić się, obmyślić jakiś sposób dostania się do wody – pogrążyłem się w rozpacz.

Hans spojrzał na mnie i zdawało mi się, że uśmiech pojawił się na jego ustach.

Wstał, wziął lampę. Poszedłem za nim. Skierował się ku ścianie. Obserwowałem go przez cały czas. Przytknął ucho do suchej skały i przesuwał je wolno, nasłuchując pilnie. Zorientowałem się, że szukał takiego miejsca, gdzie szum potoku słychać było najgłośniej. Natrafił na ten punkt w lewej ścianie bocznej, o trzy stopy od podłogi chodnika.

Byłem przejęty do głębi. Nie śmiałem nawet snuć domysłów co do jego zamiarów. Lecz gdy ujrzałem, że chwytą za oskard, aby przypuścić atak do skały, chcąc nie chcąc musiałem go zrozumieć, przyklasnąć mu i przynaglić serdecznymi słowy.

– Jesteśmy ocaleni! – zawołałem.

– Tak – potwierdził wuj z zapalem. – Hans ma rację. Ach, cóż za dzielny człowiek! Nigdy nie wpadlibyśmy na ten pomysł.

W rzeczy samej sposób ten – aczkolwiek tak prosty – nigdy nie przyszedłby nam do głowy. Z jakim szalonym niebezpieczeństwem połączone było to uderzenie zadane oskardem w fundamenty kuli ziemskiej. A jeżeli ściana się zawali i zostaniemy zmiażdżeni? A może potok, przebiwszy skałę, zagarnie nas w swoje nurty? Niebezpieczeństwo nie było bynajmniej urojone, jednak pragnienie tak nas dręczyło, że gotowi bylibyśmy drążyć nawet łożysko oceanu.

Hans zabrał się więc do roboty, której ani wuj, ani ja nie potrafilibyśmy wykonać. Jak zwykle spokojny i opanowany powoli kruszył skałę za pomocą krótkich uderzeń, powtarzanych raz po raz, przebijając otwór wielkości pół stopy. Słyszałem wyraźnie, że szum potoku stawał się coraz głośniejszy, i wydawało mi się, że czuję, jak dobroczynne krople wody obryzgują mi wargi.

Kucie trwało przeszło godzinę i oskard zagłębił się na dwie stopy w granitową opokę; skręcałem się po prostu z niecierpliwości! Wuj chciał zastosować jakieś radykalniejsze sposoby i już chwytął

za łom, gdy nagle rozległ się gwizd. Ze ściany trysnął strumień wody, rozbijając się o przeciwną ścianę.

Hans przewrócił się nieomal od uderzenia i nie mógł powstrzymać okrzyku bólu. Pojąłem powód tego krzyku, gdy sam zanurzyłem ręce w bijącej strudze – woda w źródle wrzała! I ja krzyknąłem głośno.

– Woda o temperaturze stu stopni! – zawołałem.- Cóż takiego? Ostygnie – odpowiedział wuj.

Korytarz wypełnił się parą i wkrótce utworzył się strumyk, który zniknął gdzieś w podziemnym labiryncie; niebawem zaczerpnęliśmy pierwszy łyk.

Ach, cóż za radość! Cóż za nieopisana rozkosz! Jaka to była woda?. Skąd się tu wzięła? To nie miało żadnego znaczenia. Grunt, że była to woda i, jakkolwiek jeszcze gorąca, przywracała nam życie, które już z nas uchodziło. Piłem duszkiem, nawet nie czując smaku. Dopiero gdy delektowałem się nią przez minutę, zawołałem:

– Ależ to woda żelazista!

– Doskonała na żołądek – zawyrokował wuj – i bogata w składniki mineralne. Nasza podróż zastępuje nam najzupełniej wyjazd do wód.

– Ach, jaka dobra!

– Pewnie, przecież czerpiemy ją dwie mile pod Ziemią; ma smak metaliczny, zresztą wcale nie przykry. Jakich wspaniałych zapasów napoju dostarczył nam Hans! Toteż proponuję, by ten zbawienny strumyk ochrzcić jego imieniem.

I natychmiast nadaliśmy potokowi nazwę „Hansbach”. Hans wcale nie był dumny z tego powodu. Gdy powściągliwie zaspokoił pragnienie, usiadł ze zwykłym spokojem, oparłszy się o ścianę.

– Teraz powinniśmy jakoś zabezpieczyć tę wodę.

– Po co? – odparł profesor. – Sądzę, że to źródło nigdy się nie wyczerpie.

– Wszystko jedno! Musimy napełnić bukłak i manierki, a potem spróbujemy zatkać otwór.

Uśłuchano mojej rady. Hans za pomocą odłamków granitu i pakuł usiłował zatkać dziurę wykutą w ścianie. Nie była to łatwa sprawa. Poparzył sobie ręce, nic nie wskórawszy; ciśnienie było zbyt silne i nasze wysiłki spełzły na niczym.

– Zapewne zbiorniki wody, z których wypływa ten potok, położone są o wiele wyżej, jak wynika z siły wytrysku – powiedziałem.

– To nie ulega wątpliwości – odparł wuj. – Ciśnienie ma siłę tysiąca atmosfer, jeśli słup wody liczy trzydzieści dwie mile wysokości. Ale przyszła mi właśnie pewna myśl do głowy.



– Jaka mianowicie?

– Dlaczego właściwie upieramy się, by zakorkować ten otwór?

– Dlatego, że...

Trudno mi było znaleźć naprawdę ważki powód.

– Kiedy nasze manierki będą puste, jaką mamy gwarancję, że będziemy je mogli znów napełnić? – spytał wuj.

– Żadnej, oczywiście.

– A więc niech ta woda sobie płynie. Siłą rzeczy będzie kierować się w dół i tym samym wskazywać nam drogę, a jednocześnie gasić pragnienie.

– Świetny pomysł! – zawołałem. – Teraz, kiedy ten strumyk będzie nam towarzyszył, nie widzę powodów, byśmy nie mieli zrealizować naszych projektów.

– Ach, więc i ty do tego doszedłeś! – rzekł profesor ze śmiechem.

– Nie potrzebowałem „dochodzić”, skoro już tu jestem.

– Ale najpierw musimy zażyć kilku godzin odpoczynku. Doprawdy, zapomniałem, że to była noc! Dopiero zegarek przypomniał mi właściwą porę. Wkrótce każdy z nas, dostatecznie pokrzepiony i orzeźwiony, pogrążył się w głębokim śnie.

Nazajutrz zapomnieliśmy już o przebytych cierpieniach. W pierwszej chwili zdziwiłem się, że nie odczuwałem pragnienia, i zastanawiałem, co jest tego powodem. Strumyk szemrzący u moich stóp odpowiedział mi na to pytanie.

Śniadanie popiliśmy wspaniałą żelazistą wodą. Czułem się podniesiony na duchu i byłem zdecydowany zejść daleko. Dlaczego projekty wuja miałyby się nie udać, skoro on sam był tak pewny swego, skoro dopomagał mu tak zręczny przewodnik, a towarzyszył siostrzeniec zdecydowany na wszystko? Oto jakie myśli przychodziły mi do głowy! Gdyby mi zaproponowano, bym wspiał się z powrotem na szczyt Sneffelsa, odmówiłbym z oburzeniem.

Na szczęście trzeba było jedynie schodzić coraz głębiej.

– W drogę! – zawołałem budząc tym entuzjastycznym okrzykiem rozgłośnie echa w otchłaniach Ziemi.

We środę o ósmej rano wyruszyliśmy dalej. Granitowy korytarz, wijący się w tysiącnych zakrętach, co rusz załamywał się upodabniając się coraz bardziej do labiryntu; ale, ogólnie biorąc, właściwy jego kierunek można było określić jako południowo-wschodni. Wuj co chwila spoglądał z uwagą na busolę, ażeby zorientować się w przebytej drodze.

Chodnik biegł prawie poziomo, a nachylenia miał najwyżej dwa cale na sążęń. Strumyk płynął niezbyt szybko, szemrząc u naszych stóp. Porównywałem go z jakimś przyjaznym duszkiem, który wskazywał nam drogę do wnętrza Ziemi, i gładziłem pieścizotliwie dłonią ciepłą najadę, której śpiew wtórował naszym krokom. Kiedy byłem w dobrym humorze, chętnie sięgałem do mitologii.

Tymczasem wuj – gorący zwolennik linii prostopadłych – przeklinał poziomą drogę, która przeciągała się w nieskończoność i zamiast biec wzdłuż promienia ziemskiego posuwała się – według określenia wuja – po przeciwprostokątnej. Lecz nie mieliśmy wyboru i skoro kierowaliśmy się – choć powoli – ku wnętrzu Ziemi, nie było powodu do narzekań.

Zresztą od czasu do czasu nachylenie zwiększało się; wówczas najada rwała naprzód, szumiąc głośno, a my schodziliśmy głębiej wraz z nią.

W sumie jednak tego dnia i następnego przeszliśmy spory kawał drogi poziomej, a stosunkowo mało – pionowej.

W piątek wieczorem, dnia 10 lipca, powinniśmy byli według naszych obliczeń znajdować się w odległości trzydziestu mil na południowy-wschód od Reykjavíku, na głębokości dwóch i pół mili.

Wtedy to u naszych stóp otwarła się dość groźnie wyglądająca studnia. Wuj nie mógł się opanować i klasnął w dłonie, obliczając z góry stromiznę jej skłonów.

– Ten lej zaprowadzi nas daleko, i to bez trudności, gdyż występy skalne tworzą prawdziwe schody! – ucieszył się.

Hans założył liny w ten sposób, by zapobiec wszelkim wypadkom. Rozpoczęło się schodzenie. Nie mogłem nazwać go niebezpiecznym, jako że oswoiłem się z tego rodzaju wyczynami. Studnia ta była właściwie wąską szczeliną w masywie skalnym, czymś w rodzaju żlebu; powstała zapewne w epoce zastygania Ziemi. Jeśli studnia służyła ongiś za ujście dla materii wyrzucanych przez Sneffelsa, niezrozumiałe było, dlaczego nie zostawiły one po sobie żadnego śladu. Schodziliśmy po gwincie śruby, wykonanej jak gdyby ręką ludzką. Co kwadrans musieliśmy się zatrzymywać gwoździem od poczynku i aby mięśnie łydek odzyskały sprężystość. Siadaliśmy na jakimś występie skalnym, nogi spuszczałyśmy w dół, gawędziliśmy zajadając ze smakiem prowianty i popijając wodą ze strumyka.

Oczywiście Hansbach spadał w tym żlebie kaskadą, wyzbywszy się poprzedniej flegmatyczności. Wystarczał – i to z nadmiarem – na zaspokojenie naszego pragnienia. Gdy skłon stawał się łagodniejszy, powracał znów do dawnego spokojnego biegu. Obecnie przypominał mi czcigodnego mego wuja, jego napady niecierpliwości i gniewu, natomiast na łagodnych spadach był obrazem naszego przewodnika.

11 i 12 lipca, schodząc po spirali owego żlebu, uszliśmy dalsze dwie mile w głąb skorupy ziemskiej, a zatem oddaleni byliśmy o pięć mil od poziomu morza. Lecz 8 lipca, koło południa, żleb – kierując się ku południo-wschodowi – stał się mniej stromy; nachylenie jego mogło mieć najwyżej czterdzieści pięć stopni.

Droga była teraz łatwa i niezwykle monotonna. Zresztą nie mogło być inaczej. Trudno wymagać, by urozmaicały ją nierówności terenu.

Wreszcie we środę, 15 lipca, osiągnęliśmy siedem mil w kierunku prostopadłym i oddaliliśmy się o blisko pięćdziesiąt mil od Sneffelsa. Jakkolwiek byliśmy już nieco zmęczeni, zdrowie nam dopisywało i dotychczas nie zaglądaliśmy do apteczki podróźnej.

Wuj sprawdzał co godzinę stan busoli, chronometru, manometru oraz termometru i notował te dane w naukowym sprawozdaniu z podróży. Toteż dobrze orientował się w sytuacji. Gdy oznajmił mi, że zrobiliśmy w linii poziomej pięćdziesiąt mil, wydałem mimo woli okrzyk zdumienia.

– O co chodzi? – spytał.

– Nic takiego, ale pewne spostrzeżenie przyszło mi do głowy.

– Jakie?

– Jeżeli obliczenia wuja są ścisłe, nie jesteśmy już pod Islandią.

– Tak sądzisz?

– Nic łatwiejszego jak sprawdzić.

Za pomocą kompasu zrobiłem odpowiednie pomiary na mapie.

– Miałem rację – stwierdziłem. – Minęliśmy przylądek Portland i jesteśmy pod pełnym morzem.

– Pod pełnym morzem? Doprawdy? – spytał wuj zacierając rękę.

– Tak, nad naszymi głowami rozpościera się ocean!

– No cóż, Akselu! Zwykła rzecz! Czy kopalnie węgla w Newcastle nie sięgają aż pod dno morskie?

Profesor mógł uważać tę sytuację za zupełnie naturalną, ale myśl, że wędrujemy pod bezmiarem wód, nie dawała mi spokoju. Właściwie skoro granitowy zrąb był solidny, nie stanowiło to wielkiej różnicy, czy nad nami znajdują się równiny i góry Islandii, czy też fale Atlantyku. Zresztą szybko oswoiłem się z tą myślą, zwłaszcza że korytarz – raz prosty, to znów kręty, kapryśny zarówno w skłonach, jak i w krzywiznach – biegł wciąż ku południo-wschodowi i zagłębiając się coraz bardziej, prowadził nas w szybkim tempie ku wielkim głębokościom.

W cztery dni później, w sobotę 18 lipca wieczorem, dotarliśmy do dość obszernej groty; wuj wręczył Hansowi tygodniową zapłatę w wysokości trzech riksdalerów i postanowiliśmy, że dzień następny przeznaczony będzie na odpoczynek.

Obudziłem się w niedzielę rano ze świadomością, że nie czeka nas dziś – tak jak zazwyczaj – niezwłoczny wymarsz. I chociaż znajdowaliśmy się w przepastnej otchłani, sprawiało mi to przyjemność. Zresztą przywykliśmy do tej egzystencji troglodytów. Nie myślałem już o słońcu, gwiazdach, księżycu, drzewach, domach, miastach, słowem – o wszystkich tych zbędnych rekwizytach ziemskich, w pojęciu ludzkim nieodzownie potrzebnych. Jako okazy kopalne gardziiliśmy tymi niepotrzebnymi cudami.

Grota tworzyła rodzaj obszernej sali; po jej granitowej podłodze płynął leniwie wierny nasz strumień. Przy tak wielkiej odległości od ujścia woda jego miała temperaturę letnią i można było ją pić swobodnie.

Po śniadaniu profesor miał zamiar poświęcić kilka godzin na uporządkowanie notatek podróży.

– Przede wszystkim wezmę się do obliczeń, aby ustalić ściśle miejsce, gdzie się znajdujemy; po powrocie chcę nakreślić mapę naszej podróży, coś w rodzaju przekroju pionowego kuli ziemskiej, który uwidoczni marszrutę wyprawy.

– To będzie niewątpliwie bardzo ciekawe, ale czy obserwacje wuja będą dostatecznie dokładne?

– Z całą pewnością. Zanotowałem starannie kąty i nachylenia, jestem przeświadczony, że się nie pomyliłem. Najpierw ustalmy, gdzie jesteśmy. Weź busolę i zbadaj, jaki wskazuje kierunek.

Spojrzałem na busolę i zbadawszy ją dokładnie, odpowiedziałem:

– Wschód-południe-wschód.

– Dobrze – rzekł profesor notując te dane i przeprowadzając szybko jakieś obliczenia. – Wnioskuje z tego, że oddaliliśmy się od punktu wyjściowego o osiemdziesiąt pięć mil.

– A więc wędrujemy pod Atlantykiem?

– Tak jest.

– I w tej chwili może rozpętała się tam burza, a rozhukane fale i huragany miotają okrętami nad naszą głową?

– Wszystko możliwe.

– A wieloryby uderzają ogonami o dach naszego więzienia?

– Możesz być spokojny, Akselu, na pewno go nie naruszą. Ale powróćmy do naszych obliczeń. Jesteśmy na południo-wschodzie w, odległości osiemdziesięciu pięciu mil od podnóża Sneffelsa, a według moich poprzednich kalkulacji szacuję osiągniętą przez nas głębokość na szesnaście mil.

– Szesnaście mil! – zdumiałem się.

– To nie ulega wątpliwości.

– Przecież nauka ustaliła, że tyle właśnie liczy grubość skorupy ziemskiej, to znaczy, że osiągnęliśmy jej linię graniczną.

– Bynajmniej temu nią zaprzeczam.

– I według praw określających wzrost temperatury powinno tu panować gorąco dochodzące do tysiąca pięciuset stopni!

– Tak jest.

– Cały ten granit nie utrzymałby się wówczas w stanie stałym i dawno uległby stopieniu.

– Sam widzisz, że nie zachodzi tu nic podobnego i fakty – jak to się często zdarza – zaprzeczają teorię.

– Muszę zgodzić się z tym, niemniej bardzo mnie to dziwi.

– Co też wykazuje termometr?

– Dwadzieścia siedem i sześć dziesiątych stopnia.

– A więc do obliczeń uczonych brakuje tysiąc czterysta siedemdziesiąt cztery i cztery dziesiąte stopnia. Zatem teoria o proporcjonalnym wzroście temperatury jest błędna. Słowem, Humphry Davy nie mylił się, a ja miałem rację popierając jego stanowisko. Co masz do powiedzenia?

– Nic.

Szczerze mówiąc, miałbym niejedno do powiedzenia. Nie uznawałem teorii Davy’ego, byłem zwolennikiem hipotezy o istnieniu ognia we wnętrzu Ziemi, aczkolwiek nie odczuwałem jego skutków. Wolałem sądzić, że ten kanał po wygasłym wulkanie, zabezpieczony odporną powłoką lawy, nie dopuszczał poprzez swoje ściany wysokiej temperatury.

Nie szukając jednak nowych argumentów, poprzestałem na stwierdzeniu faktycznego stanu rzeczy.

– Zakładając, że wszystkie obliczenia wuja są ściśle, pragnąłbym wyciągnąć z nich pewną konkluzję – rzekłem.

– Proszę cię bardzo.

– W tym miejscu, gdzie znajdujemy się obecnie, pod szerokością geograficzną Islandii, promień ziemski wynosi mniej więcej tysiąc pięćset osiemdziesiąt trzy mile, nieprawda?

– Dokładnie tysiąc pięćset osiemdziesiąt trzy i jedna trzecia mili.

– Liczymy tysiąc sześćset mil w okrągłych liczbach. Na te tysiąc sześćset mil uszliśmy dopiero szesnaście?

– Słusznie.

– I to za cenę osiemdziesięciu pięciu mil marszu po przekątnej?

– Tak jest.

– Mniej więcej w dwadzieścia dni?

– Nie inaczej.

– Otóż szesnaście mil to setna część promienia ziemskiego. Jeśli tak dalej pójdzie, zużyjemy na schodzenie dwa tysiące dni, czyli blisko pięć i pół roku.

Profesor nic nie odpowiedział.

– Nie licząc tego, że jeśli każde szesnaście mil w linii pionowej okupuje się osiemdziesięcioma milami w linii poziomej, daje to w sumie osiem tysięcy mil w kierunku południowo-wschodnim, a więc zanim dojdziemy do środka kuli, dawno wyjdziemy na zewnątrz przez jakiś punkt na jej powierzchni.

– Do diabła z twoimi obliczeniami! – odparł wuj ze złością. – Niech licho porwie twoje hipotezy! Na czym się one opierają? Skąd wiesz, czy ten korytarz nie prowadzi wprost do środka Ziemi? Zresztą miałem poprzednika. Już inny dokonał tego, czego ja pragnę dokonać, i jeśli jemu się udało, to i mnie musi się udać.

– Mam nadzieję, ale przecież mogę...

– Możesz nie zabierać głosu, skoro masz pleść takie brednie, Akselu.

Stwierdziłem, że w moim wuju łatwo obudzić się może srogi profesor, i wolałem nie ryzykować awantury.

– A teraz spójrz na manometr – rzekł wuj. – Co też wskazuje?

– Dość znaczne ciśnienie.

– A zatem sam widzisz, że schodząc powoli, przyzwyczajając się stopniowo do coraz gęstszego powietrza, łatwo je znosimy.

– Owszem, jeśli nie liczyć bólu w uszach.

– Nic wielkiego, łatwo temu zaradzić wciągając szybko powietrze w płuca.

– Dobrze – odpowiedziałem zdecydowany nie sprzeciwić się już wujowi. – Nawet całkiem

przyjemnie pogrążyć się w takim gęstym powietrzu. Czy wuj zauważył, z jaką intensywnością rozchodzi się w nim dźwięk?

– Oczywiście; nawet głuchy słyszałby tu doskonale.

– Zapewne ta gęstość zwiększy się jeszcze?

– Tak, zgodnie z prawem dokładnie nie ustalonym dotychczas; ale siła ciężkości będzie malała w miarę schodzenia w głąb. Wiesz, że działanie tej siły odczuwa się najbardziej na powierzchni Ziemi i że w jej środku przedmioty tracą wagę?

– Wiem o tym, proszę mi powiedzieć, czy z czasem gęstość powietrza nie zrówna się tutaj z gęstością wody?

– Niewątpliwie tak, pod ciśnieniem siedmiuset dziesięciu atmosfer.

– A niżej?

– Im niżej, tym owa gęstość będzie większa.

– Co się wtedy z nami stanie?

– Po prostu obciążymy kieszenie kamieniami.

– Doprawdy, wuj ma odpowiedź na wszystko!

Nie śmiałem zapuszczać się dalej w sferę hipotez, bo znów natknąłbym się na trudności nie do przewyciężenia, co doprowadziłoby do pasji profesora.

Jednakże było rzeczą więcej niż pewną, że w końcu, pod ciśnieniem, które mogło dojść do kilku tysięcy atmosfer, powietrze osiągnie stan stały i wówczas – nawet gdyby organizmy nasze to wytrzymały – chcąc nie chcąc trzeba będzie się zatrzymać wbrew wszelkim rozumowaniom.

Ale nie wysunąłem tego argumentu. Wuj raz jeszcze przytoczyłby nieśmiertelnego Saknussemma, swego poprzednika, którego nie należało przecież brać na serio, bo zakładając nawet, że uczony islandzki odbył tę podróż, można było łatwo stwierdzić, iż w XVI wieku nie znano jeszcze ani barometru, ani manometru, Saknussemm nie mógł więc wiedzieć, czy dotarł do środka Ziemi.

Ale zatrzymałem tę obiekcję dla siebie i czekałem na dalszy rozwój wydarzeń.

Reszta dnia zesłała na obliczeniach i rozmowie. Z konieczności musiałem zgadzać się we wszystkim z profesorem Lidenbrockiem i zazdrościłem Hansowi, który zachowywał doskonałą obojętność – nie zastanawiając się nad przyczynami i skutkami, szedł ślepo tam, gdzie prowadził go los.



Trzeba przyznać, że dotychczas wszystko układało się jak najlepiej i nie miałem specjalnych powodów do narzekania. Gdyby przeciętna napotykanymi trudnościami nie wzrosła, niewątpliwie osiągnęlibyśmy zamierzony cel. Jaka sława czekałaby nas wówczas! Doprawdy, doszedłem już do tego, że rozumowałem podobnie jak wuj Lidenbrock. A może miało to jakiś związek z przedziwnym otoczeniem, w jakim żyłem obecnie?

W ciągu kilku dni dzięki stromym zejściom (niektóre były bez mała pionowe) zapuściliśmy się daleko w głąb masywu ziemskiego; w niektóre dni posuwaliśmy się od półtorej do dwóch mil ku jego wnętrzu. Były to niebezpieczne zejścia, w czasie których zręczność i wielkie opanowanie Hansa wyświadczały nam nieocenione usługi. Ten flegmatyczny Islandczyk dawał tysiączne dowody poświęcenia, traktując to jako rzecz naturalną, toteż dzięki niemu nieraz wyszliśmy obronną ręką z ciężkich sytuacji, z których sami nigdy byśmy się nie wykaraskali.

Natomiast małowówność jego wzrastała z dnia na dzień. Sądzę nawet, że i nam się udzielała. Otoczenie wpływa bezwzględnie na umysł ludzki. Człowiek zamknięty w czterech ścianach traci z czasem zdolność kojarzenia myśli i słów. Iluż to więźniów, odosobnionych w celach, zidiociało lub oszalało z braku gimnastyki władz umysłowych!

W ciągu dwóch tygodni po naszej ostatniej rozmowie zaszło jedno naprawdę ważne wydarzenie. Zapamiętałem je z najdrobniejszymi detalami.

7 sierpnia – dzięki nieustannemu schodzeniu – osiągnęliśmy głębokość trzydziestu mil, to znaczy, że nad naszymi głowami było trzydzieści mil skał, oceanów, kontynentów i miast. Chyba że dwieście mil dzieliło nas od Islandii.

Tego pamiętnego dnia nachylenie chodnika było stosunkowo małe.

Szedłem pierwszy, niosąc jeden z aparatów Ruhhikorffa, a wuj niósł drugi. Przypatrywałem się pokładowi granitu. W pewnej chwili odwróciłem się i zauważyłem, że jestem sam. „Widocznie szedłem za szybko – pomyślałem sobie – albo Hans czy też wuj zatrzymali się po drodze. Trzeba dołączyć się do nich. Na szczęście droga nie pnie się zanadto pod górę”.

Zawróciłem i w ciągu kwadransa rozglądałem się pilnie wokoło. Ale nie było nikogo. Wołałem. Bez skutku. Wołania moje budziły tylko głuche echa i gubiły się wśród tych odgłosów.

Zaczął ogarniać mnie niepokój. Dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Trzeba zachować zimną krew – powiedziałem na głos. – Na pewno odnajdę towarzyszy. Przecież jest tylko jedna droga. Ponieważ szedłem na przedzie, więc muszę wrócić z powrotem. Wędrowałem pod górę jakieś pół godziny. Nasłuchiwałem, czy nie doleci mnie wołanie; powietrze było tak gęste, że słyhać by je było z daleka. Ale w olbrzymim korytarzu panowała cisza niezmacona.

Zatrzymałem się. Trudno mi było uwierzyć, że jestem sam. Mogłem zabłądzić, owszem, ale nie zgubić się. Ten, kto zabłądzi, zawsze odnajdzie towarzyszy.

„Jak to? – powtarzałem sobie. – Przecież jest tylko jedna droga, a skoro nią idę, muszę ich spotkać. Wystarczy cofnąć się jeszcze trochę. A może zapomnieli, że idę pierwszy, i nie widząc mnie zawrócili? Ale nawet w tym wypadku, jeśli przyspieszę kroku, muszę ich odnaleźć. To jasne”.

Powtarzałem te ostatnie słowa bez przekonania. Poza tym skojarzenie tak prostych myśli i zestawienie ich w logiczną całość zajęło mi sporo czasu.

Wówczas zacząłem mieć wątpliwości. Czy na pewno szedłem pierwszy?

Tak, Hans stanowczo kroczył za mną, a na końcu szedł wuj.

Zatrzymał się nawet przez chwilę, aby mocniej przytroczyć ładunek na plecach. Ten szczegół utkwiał mi w pamięci. Właśnie w tym momencie musiałem ich wyprzedzić.

„Zresztą – pomyślałem sobie – mam niezawodny sposób, żeby nie zabłądzić, niż przewodnią w tym labiryncie, i to nić, która się nie urwie: mianowicie wierny nasz strumień. Wystarczy iść za jego biegiem, a siłą rzeczy odnajdę towarzyszy”.

To rozumowanie podniosło mnie na duchu i postanowiłem ruszyć w drogę nie tracąc ani chwili.

Jakże błogosławiłem przezorność wuja, który zabronił przewodnikowi zatkać otwór w granitowej ścianie! Nie dość, że dobroczynny potok gasił nasze pragnienie podczas marszu, ale w dodatku wskaże mi teraz drogę poprzez labirynty skorupy ziemskiej.

Zanim wyruszyłem, pomyślałem sobie, że obmycie się dobrze mi zrobi. Pochyliłem się więc, aby zanurzyć czoło w wodzie Hansbacha.

Jakież było moje zdumienie! Dotknąłem chropowatego i zupełnie suchego gruntu. Strumień nie płynął już u moich stóp!

Nie sposób opisać mojej rozpacz, wyrazić stanu moich uczuć. Byłem pogrzebany żywcem, wiedząc, że czeka mnie straszna śmierć z głodu i pragnienia.

Machinalnie wodziłem rozpalonymi dłońmi po podłodze korytarza. Jakże wyschnięta wydawała mi się ta skała!

W jaki sposób mogłem oddalić się od biegu strumienia? Bo fakt faktem, że go nie było! Teraz dopiero zrozumiałem powód tej przedziwnej ciszy, gdy nasłuchiwałem ostatnio, czy nie doleci mnie jakieś wołanie. Wchodząc niebacznie w ten chodnik, nie zauważyłem widocznie, że nie ma w nim strumienia. Niewątpliwie w pewnym momencie musiałem natrafić na rozwidlenie korytarza, a Hansbach, ulegając kaprysom innego skłonu, biegł wraz z moimi towarzyszami podróży ku nieznanym głębiom.

Jak tu wrócić? Nie było żadnych znaków. Stopa moja nie pozostawiała śladu na granicie. Łamałem sobie głowę, aby znaleźć jakieś rozwiązanie tego problemu nie do rozwikłania. Moje położenie można było określić jednym słowem – zgubiony!

Tak, zgubiony na głębokości w moim pojęciu niezmierzonej. Te trzydzieści mil skorupy ziemskiej ciążyło na moich ramionach straszliwym brzemieniem. Czułem się zmiażdżony.

Usiłowałem powrócić myślą do spraw ziemskich. Z trudem mi się to udało. Przed struchlałą moją pamięcią przesunęły się błyskawicznie obrazy z owego świata, w którego podziemiach zabłądziłem – Hamburg, nasz dom na Königsstrasse, biedna moja Greta. Ujrzałem raz jeszcze, jak w gorączkowym zwidzie, wydarzenia z naszej podróży, przeprawę morską, Islandię, pana Fridrikssona, Sneffels! Powiedziałem sobie, że jeżeli w moim położeniu przyświeca mi bodaj nikły promyk nadziei, jest to nieomylną oznaką obłędu, lepiej więc bez zastrzeżeń poddać się rozpacz.

Istotnie, jakaż potęga ludzka mogła sprowadzić mnie z powrotem na powierzchnię Ziemi, rozsunać te potężne sklepienia rozpięte nad moją głową? Kto mógł wskazać mi drogę powrotną i połączyć mnie z towarzyszami?

– Och, wuju! – zawołałem z rozpaczą.

Był to jedyny wyrzut, jaki wyrwał się z moich ust, uświadomiłem sobie bowiem, jak bardzo musiał cierpieć nieszczęsny mój opiekun szukając swego siostrzeńca.

Kiedy zrozumiałem, że jestem poza zasięgiem ludzkiej pomocy, że nikt nie może nic uczynić dla mego ocalenia, pomyślałem o pomocy boskiej. Stały mi przed oczyma wspomnienia z dzieciństwa, przypomniawszy mi się matka, którą pamiętałem jedynie ze szczęśliwego okresu najmłodszych lat. Szukałem ucieczki w modlitwie i aczkolwiek Bóg mógł mnie nie wysłuchać; skoro zwracałem się do niego tak późno, błagałem Go o ratunek. Ten nawrót wiary w opatrzność boską przywrócił mi w pewnej mierze spokój. Skupiwszy wszystkie władze umysłowe, mogłem zastanowić się nad moją sytuacją.

Miałem żywności na trzy dni i pełną manierkę wody. Ale nie byłem w stanie znieść dłużej tej samotności. Czy należało posuwać się w górę, czy w dół chodnika? Tylko w górę, oczywiście w górę!

W ten sposób musiałem dojść do miejsca, gdzie rozstałem się ze strumieniem, to jest do fatalnego rozwidlenia dróg. Z chwilą, gdy strumyk będzie znów u moich stóp, trafię niezawodnie na szczyt Sneffelsa.

Jak mogłem nie wpaść wcześniej na ten pomysł? Przecież to była jedyna szansa ratunku! Należało więc jak najprędzej odnaleźć Hansbach.

Wstałem i opierając się na okutym kijku, zacząłem piąć się w górę chodnika. Skłon był dość stromy. Szedłem z nadzieją w sercu, z determinacją, jak człowiek nie mający kłopotu z wyborem drogi.

Przez pierwsze pół godziny nie napotkałem żadnej przeszkody. Usiłowałem poznać drogę po kształcie tunelu, po niektórych występach skalnych, po rozmieszczeniu zakrętów. Lecz nie nasunął mi się żaden znak szczególny i niebawem uświadomiłem sobie, że korytarz ten nie doprowadzi mnie do rozwidlenia. Nagle natknąłem się na nieprzebyty mur i upadłem na skalne dno tunelu.

Nie potrafię opisać ani swego przerażenia, ani swojej rozpacz. Załamałem się ostatecznie. Wszystkie moje nadzieje roztrzaskały się o tę ścianę z granitu.

Zgubiony w labiryncie, którego zakręty krzyżowały się we wszystkich kierunkach, daremnie próbowałbym bezcelowej ucieczki. Skazany byłem na śmierć, i to śmierć straszną. Dziwna rzecz! Przyszło mi na myśl, że jeśli kiedyś odnajdą moje zmumifikowane ciało, podobne odkrycie, dokonane trzydzieści mil pod Ziemią, wywoła poważne dyskusje naukowe.

Chciałem powiedzieć coś na głos, lecz tylko jakieś ochryple dźwięki wydostały się z moich spieczonych warg. Oddychałem ciężko.

Nastrój przerażenia powiększył jeszcze jeden katastrofalny fakt. Lampa moja została uszkodzona w czasie upadku. Nie mogłem jej naprawić. Blask jej słabł stopniowo i wkrótce miało zabraknąć go zupełnie.

Patrzałem, jak światłodajny prąd bladł w spirali latarni. Procesja ruchomych cieni przesuwała się po mrocznych ścianach. Nie śmiałem opuścić powiek w obawie, by nie stracić ostatnich cząsteczek uciekającego światła. Co chwila wydawało mi się, że już gaśnie i że ogarnia mnie czarny mrok. Wreszcie w lampie zadrgał ostatni błysk. Śledziłem go, chłonałem oczyma, skupiałem na nim całą siłę mego wzroku jako na ostatnim wrażeniu świetlnym, które dane mi będzie ujrzeć, i nagle pogrążyłem się w przepastnych ciemnościach.

Straszny okrzyk wyrwał się z moich ust. Na Ziemi wśród najgłębszego nawet mroku światło nigdy nie zrzeka się całkowicie swoich praw; może być rozproszone, może być nikłe; ale nawet jeśli go jest bardzo mało, nasze oczy zawsze je dojrzą. Tu – nic a nic! Absolutne ciemności zrobiły ze mnie ślepcę w całym tego słowa znaczeniu.

Wówczas straciłem głowę. Wstałem, wyciągnąłem przed siebie ramiona, usiłując rozpaczliwie szukać drogi po omacku; zacząłem uciekać kierując się na chybił trafił w tym zawiłym labiryncie, ciągle biegnąc w dół przez te podziemia jak dawny mieszkaniec jaskiń, wołając przy tym, krzycząc, wrzeszcząc, co chwila rozbijając się o występy skalne, padając i podnosząc się znowu, pokrwawiony, czując w ustach smak tej krwi zalewającej mi twarz, wciąż w oczekiwaniu, że jakaś ściana wyrośnie przede mną zniecka i stanie się przeszkodą, o którą roztrzaskam sobie wreszcie głowę.

Dokąd zaprowadziła mnie ta obłąkańcza ucieczka? Nigdy się tego nie dowiem. Po kilku godzinach, zapewne już u kresu sił, upadłem bezwładnie pod ścianą i straciłem poczucie rzeczywistości.

Gdy wróciłem do przytomności, twarz moja była mokra, ale była to wilgoć łez. Nie potrafię powiedzieć, jak długo trwało moje omdlenie. Nie mogłem zorientować się w czasie. Żadnej samotności nie da się porównać z moją, żaden człowiek nie był nigdy tak całkowicie opuszczony!

Byłem zalany krwią, której utraciłem wiele przy upadku. Ach, jakże żałowałem, że uszedłem śmierci i że „miałem to jeszcze przed sobą”! Wolałem nie myśleć o niczym. Odpędzałem od siebie wszelkie rozumowanie i pokonany cierpieniem rzuciłem się pod przeciwległą ścianę..

Czułem, że znów zapadam w omdlenie, gdy nagle jakiś donośny odgłos doleciał do moich uszu. Przypominał przeciągły huk grzmotu; usłyszałem, jak fale głosowe cichną stopniowo gdzieś w dalekich głębinach podziemnych otchłani.

Skąd pochodziło to dudnienie? Zapewne było to jakieś zjawisko w łonie masywu ziemskiego. Może wybuch gazów lub zapadanie się jakichś potężnych warstw globu?

Nasłuchiwałem dalej. Chciałem wiedzieć, czy ten głos powtórzy się jeszcze. Minał kwadrans. W chodniku panowała cisza. Nie słyszałem nawet uderzeń własnego serca.

Nagle ucho moje, przytknięte niechcący do ściany, dosłyszało jakby niewyraźne słowa, dalekie i nieuchwytnie. Drgnąłem. „To halucynacja” – pomyślałem.

A jednak nie. Gdy wsłuchałem się uważniej, doleciał mnie wyraźnie szmer głosów. Byłem jednak tak słaby, że nie mogłem zrozumieć poszczególnych słów. Lecz z całą pewnością toczyła się jakaś rozmowa.

Przez chwilę bałem się, że wróciły do mnie moje własne słowa przyniesione przez echo. Może krzyczałem nieświadomie? Mocno zacisnąwszy usta, znów przytknąłem ucho do ściany.

„Tak, ktoś mówi! Na pewno ktoś mówi!”

Gdy posunąłem się wzdłuż ściany o kilka stóp dalej, usłyszałem głosy jeszcze wyraźniej. Zdołałem nawet uchwycić kilka niejasnych, niezrozumiałych, dziwnych słów. Dochodziły do mnie, jakby ktoś mówił je cicho, półszepem. Kilkakrotnie powtórzył się wyraz *forlorad*, i to z akcentem bólu.

Co on oznaczał? Kto go wypowiada? Oczywiście tylko Hans albo wuj. Ale jeżeli i ja mogłem ich dosłyszeć, to i do nich mógł dolecieć mój głos.

– Ratunku! – krzyknąłem co sił. – Ratunku! Słuchałem, czyhałem w mroku na odpowiedź, na krzyk, bodaj na westchnienie. Cisza. Minęło kilka minut. Nawał myśli cisnął mi się do głowy. Przypuszczałem, że mój osłabiony głos nie mógł dotrzeć do towarzyszy.

„Bo to oni, tylko oni! – myślałem. – Jacyż inni ludzie mogliby być pogrzebani trzydzieści mil pod Ziemią?”

Nasłuchiwałem znów. Wodząc uchem wzdłuż ściany, natrafiłem na punkt, w którym głosy osiągały, zdawało się, maksymalną intensywność. Do uszu moich doleciało znów słowo *forlorad*, a potem ów huk grzmotu, który wyrwał mnie z odrętwienia! „Nie, nie – powiedziałem sobie. – Te głosy nie przenikają przez opokę skalną. Ściana jest z granitu i nie można by usłyszeć przez nią nawet najsilniejszej detonacji. Ten odgłos dochodzi do mnie chodnikiem. Musi to być jakiś osobliwy efekt akustyczny”.

Zacząłem słuchać znowu i tym razem... tak! – tym razem wyraźnie usłyszałem swoje imię rzucone w bezkres podziemia. To wuj mnie wołał! Rozmawiał z przewodnikiem, a słowo *forlorad* było słowem duńskim.

Wówczas zrozumiałem wszystko. Jeżeli chciałem, żeby mnie dosłyszano, należało mówić tak, aby głos pobiegł wzdłuż tego muru, który niósł go, jak drut niesie elektryczność.

Nie było chwili do stracenia! Jeśli moi towarzysze oddalą się bodaj o kilka kroków, zjawisko akustyczne może już nie zachodzić. Zbliżyłem się więc do ściany i krzyknąłem możliwie najwyraźniej:

– Wuju Lidenbrock!

Czekałem z gorączkowym niepokojem. Dźwięk nie jest zbyt szybki. Nawet zagęszczenie warstw powietrza nie przyczynia się do zwiększenia jego prędkości, wznaga jedynie jego intensywność. Minęło kilka sekund – wieki całe – wreszcie do uszu moich doleciało te oto kilka słów:

– Akselu, Akselu, czy to ty?

– Tak, tak! – odpowiedziałem.

– Gdzie jesteś, biedny mój chłopcze?

– Zagubiony w głębokich ciemnościach.

– A twoja lampa?

– Zgasła.

– A strumień?

– Nie ma go.

– Akselu, biedny mój Akselu, nie upadaj na duchu!

– Jestem wyczerpany, nie mam sił odpowiadać. Ale proszę mówić do mnie.

– Odwagi – odezwał się wuj – nie mów nic, posłuchaj mnie. Szukaliśmy ciebie idąc w górę i w dół chodnika. Nie mogliśmy cię odnaleźć. Oplakiwałem cię już, biedne moje dziecko. Wreszcie przypuszczając, że idziesz wzdłuż Hansbacha, zawróciliśmy strzelając po drodze. Teraz słyszymy się

nawzajem – zwykle zjawisko akustyczne – ale dłonie nasze nie mogą się spotkać. Lecz nie rozpaczaj, Akselu! To wielka rzecz, że możemy się rozmówić.

Przez ten czas zastanowiłem się nad sytuacją. Powróciła mi odrobina nadziei, choć jeszcze bardzo słabej. Przede wszystkim należało ustalić pewien fakt. Zbliżyłem więc usta do ściany i zawołałem:

– Wuju!

– Słucham cię, moje dziecko – odpowiedział po chwili.

– Musimy wiedzieć, jaka dzieli nas odległość.

– Nic łatwiejszego.

– Wuj ma mój zegarek?

– Proszę trzymać go w pogotowiu i wymówić moje imię, notując ściśle sekundę, w której będzie wypowiedziane. Powtórzę je i proszę zaobserwować, kiedy nadejdzie odpowiedź.

– Dobrze. Połowa czasu, jaki upłynie między moim wołaniem a twoją odpowiedzią, będzie okresem, który zużywa głos, aby dotrzeć do ciebie.

– Tak jest, wuju.

– Jesteś gotowy?

– Tak.

– A więc uwaga, mówię twoje imię.

Przytknąłem ucho do ściany i gdy tylko doleciało do mnie słowo „Aksel”, natychmiast odpowiedziałem „Aksel”, po czym zaczekałem nasłuchując.

– Czterdzieści sekund – rzekł wuj. – Upłynęło czterdzieści sekund między dwoma okrzykami, a więc dźwięk biegnie dwadzieścia sekund. Otóż licząc tysiąc dwadzieścia stóp na sekundę, daje to dwadzieścia tysięcy czterysta stóp, czyli półtorej i jedną ósmą mili.

– Półtorej mili! – szepnąłem.

– To przestrzeń do pokonania, Akselu!

– Czy trzeba iść w górę, czy w dół?

– Tylko w dół i zaraz wyjaśnię ci dlaczego. Dotarliśmy do obszernej pieczary, w której zbiega się mnóstwo chodników. Ten, którym ty poszedłeś, musi cię tu doprowadzić, gdyż prawdopodobnie wszystkie szczeliny, wszystkie pęknięcia rozchodzą się promieniście wokół tej pieczary, gdzie obecnie jesteśmy. Wstań więc i ruszaj w drogę. Idź, pełzaj, jeśli trzeba, ześlizguj się wzdłuż



stromych skłonów, a u kresu twojej drogi napotkasz nasze otwarte ramiona. Ruszaj w drogę, mój chłopcze!

Słowa te podniosły mnie na duchu.

– Żegnaj, wuju – zawołałem – idę już! Kiedy opuszczę to miejsce, głosy nasze nie doleczą do siebie. Żegnaj więc.

– Do widzenia, Akselu, do widzenia!

Były to ostatnie słowa, jakie dosłyszałem. Tę zdumiewającą rozmowę, prowadzoną poprzez pokłady podziemne, na odległości przeszło półtorej mili, zakończyły słowa nadziei. Wyszepiałem dziękczynną modlitwę do Boga, On to bowiem doprowadzi mnie przez niezmierzone ciemności do tego jedyne go zapewne miejsca, gdzie mogły dotrzeć do mnie głosy towarzyszy.

To zaskakujące zjawisko akustyczne łatwo było wyjaśnić za pomocą praw fizyki; uzależnione jest od kształtu korytarza i przewodności skał; istnieje wiele przykładów rozchodzenia się dźwięków, których nie da się uchwycić słuchem na przestrzeniach mieszczących się pośrodku. Przypomniałem sobie, że podobne zjawisko można zaobserwować w wielu miejscach, między innymi w wewnętrznej galerii obiegającej kopułę katedry Świętego Pawła w Londynie, przede wszystkim zaś w ciekawych pieczarach sycylijskich, owych opuszczonych kopalniach położonych w pobliżu Syrakuz, wśród których najbardziej interesująca pod tym względem nosi nazwę Ucha Dionizjusza.

Stało mi to wszystko w pamięci i uświadomiłem sobie wyraźnie, że skoro głos wuja dochodził do mnie, nie istniała między nami żadna przeszkoda; idąc drogą dźwięku, musiałem – logicznie rozumując – dojść tam, skąd dochodził, oczywiście jeśli nie zawiodą mnie siły.

Wstałem więc. Raczej wlokłem się, aniżeli szedłem. Skłon był dość stromy, więc po prostu zsuwałem się po nim.

Niebawem szybkość tego ześlizgu zwiększyła się w sposób przerażający – przypominał raczej gwałtowny upadek. Nie miałem sił, by się zatrzymać.

Nagle zabrakło mi gruntu pod nogami. Czułem, że spadam objając się o występy pionowego chodnika, a właściwie studni; uderzyłem głową o ostry głaz i straciłem przytomność.

Gdy ocknąłem się, leżałem w półmroku na grubym pościeli z koców.

Wuj czuwał nade mną, śledząc nikłe oznaki życia na mojej twarzy. Powitał pierwsze moje westchnienie uściskiem dłoni, pierwsze spojrzenie – okrzykiem radości.

– Żyje! Żyje! – zawołał.

– Tak – odpowiedziałem słabym głosem.

– Dziecko moje, drogie dziecko! – rozczulił się wuj przyciskając mnie do piersi. – Jesteś ocalony!

Byłem do głębi wzruszony czułym tonem tych słów, a jeszcze bardziej troskliwością, jaka im towarzyszyła. Trzeba było aż tak gorzkich doświadczeń, aby wywołać u profesora podobny wylew uczuć.

W tym momencie nadszedł Hans. Zobaczył, że dłoń moja spoczywa w ręku wuja, i ośmielałem się twierdzić, iż oczy jego zabłysły radością.

– *God dag* – rzekł.

– Dzień dobry, Hansie, dzień dobry! – szepnąłem. – A teraz, wuju, proszę mi powiedzieć, gdzie jesteśmy w tej chwili?

– Jutro, Akselu, dopiero jutro; dziś jesteś jeszcze za słaby; położyłem ci kompres na głowę i nie trzeba, aby się zsunął; śpij, mój chłopcze, a jutro dowiesz się wszystkiego.

– Ale proszę mi przynajmniej powiedzieć, która jest godzina i jaki dzień dziś mamy?

– Jest jedenasta wieczór, mamy dzisiaj niedzielę, 9 sierpnia, i nie pozwalam ci wypytywać mnie o nic przed dziesiątym bieżącego miesiąca.

Rzeczywiście byłem ogromnie osłabiony; oczy zamykały mi się mimo woli. Potrzebowałem choć jednej nocy wypoczynku, toteż zapadłem w sen z myślą, że osamotnienie moje trwało aż cztery długie dni.

Nazajutrz, po przebudzeniu, rozejrzałem się wokoło. Pościeli moje, zrobione ze wszystkich naszych pleców, znajdowało się, w prześlicznej grocie, zdobnej we wspaniałe kryształy kwarcu, wysłanej drobniutkim piaskiem. Panował tu przyjemny półmrok. Nie paliła się ani pochodnia, ani lampa, a jednak jakieś światło docierało z zewnątrz przez wąski otwór w ścianie groty. Poza tym dolatywał do mnie jakiś szmer, nieokreślony i niewyraźny, jakby szum fal rozbijających się o brzeg, niekiedy zaś świst wiatru.

Zastanawiałem się, czy obudziłem się na dobre, czy nie śnię jeszcze, czy mój mózg, naruszony podczas upadku, nie chwyta czasem urojonych odgłosów. Jednakże ani moje oczy, ani uszy nie mogły

mylić się do tego stopnia.

„Światło dzienne wpada przez rozpadlinę skalną! – pomyślałem sobie. – Słyszę wyraźnie szum fal. I świst wiatru! Czy mi się tylko wydaje, czy też naprawdę wróciliśmy na powierzchnię Ziemi? Czyżby wuj zrezygnował ze swojej ekspedycji? A może zakończył ją szczęśliwie?”

Zadawałem sobie takie i tym podobne pytania, na które nie umiałem znaleźć odpowiedzi, gdy nadszedł wuj.

– Dzień dobry, Akselu! – przywitał mnie wesoło. – Ręcę, że czujesz się doskonale.

– Tak, wuju – odpowiedziałem unosząc się na pośłaniu.

– To było do przewidzenia, bo spałeś bardzo spokojnie. Hans i ja czuwaliśmy przy tobie na zmianę i stwierdziliśmy, że stan twego zdrowia uległ znacznej poprawie.

– Istotnie, czuję się mocniejszy; najlepszy dowód, że zjem z największym apetytem śniadanie, które wuj zechce mi podać.

– Tak, możesz posilić się, mój chłopcze, bo gorączka spadła. Hans posmarował twoje rany jakąś maścią, której sekret znają tylko Islandczycy, i zagoiły się wspaniale. Ten nasz myśliwy to wielki zuch.

W trakcie rozmowy wuj przygotował mi posiłek i mimo jego przestróg pochłonałem wszystko łapczywie. Podczas jedzenia zasypywałem go pytaniami, na które skwapliwie udzielał mi odpowiedzi.

Dowiedziałem się wówczas, że w gwałtownym upadku przetoczyłem się przez pionowy niemal chodnik; ponieważ wylądowałem w pieczarze, wraz z gradem kamieni, spośród których najmniejszy mógłby mnie zmiażdżyć, należało z tego wywnioskować, że część ścian studni obsunęła się razem ze mną. Ów straszliwy „pojazd” przeniósł mnie wprost w objęcia wuja, w które padłem zakrwawiony i bez życia.

– Naprawdę to zdumiewające, że wyszedłeś z tego cało! Ale na Boga! Trzymajmy się odtąd razem, bo możemy się nigdy nie zobaczyć!

„Trzymajmy się razem!” A zatem podróż nie była skończona! Szeroko rozwarłem oczy ze zdumienia, co natychmiast spowodowało pytanie:

– Co ci jest, Akselu?

– Muszę wuja o coś zapytać. Wuj twierdzi, że jestem zdrów i cały?

– Niewątpliwie.

– I nie uszkodziłem sobie żadnej części ciała?

– Z całą pewnością.

– A moja głowa?

– Głowa twoja, nie licząc drobnych kontuzji, jest w zupełnym porządku.

– A jednak obawiam się, że mój mózg został naruszony.

– Naruszony?

– Tak. Czy wróciliśmy na powierzchnię Ziemi?

– Nie, skądże!

– To chyba dostałem pomieszania zmysłów, bo widzę światło dzienne, słyszę szum wiatru i morza rozbijającego się o brzeg.

– Tylko tyle?

– Czy wuj może mi to wyjaśnić?

– Niestety nie, gdyż to się nie da wytłumaczyć; ale przekonasz się i zrozumiesz, że Wiedza geologiczna nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego słowa.

– A więc wyjdźmy! – zawołałem zrywając się gwałtownie.

– Nie, Akselu, nie; Świeże powietrze może ci zaszkodzić.

– Świeże powietrze?

– Tak, wiatr jest dość silny. Nie chcę, żebyś się niepotrzebnie narażał.

– Ależ zapewniam wuja, że czuję się znakomicie!

– Cierpliwości, chłopcze. Nawrót twojej choroby sprawiłby nam wiele kłopotu, a nie powinniśmy tracić czasu, gdyż podróż morska może potrwać długo.

– Co? Podróż morska?

– Tak. Odpocznij sobie jeszcze przez dzisiejszy dzień, a jutro wypłyniemy na szerokie wody.

– Wypłyniemy?!

Poderwałem się na dźwięk tego słowa. Jak to? Wypłyniemy? Czyżbyśmy mieli jakąś rzekę, jezioro lub morze do dyspozycji? Czy statek stał na kotwicy w basenie jakiegoś portu?

Ciekawość moja była podrażniona do najwyższego stopnia. Na próżno wuj usiłował mnie powstrzymać. Gdy przekonał się, że niecierpliwość może więcej mi zaszkodzić niż zadośćuczynienie

mojej prośbie, zdecydował się ustąpić.

Ubrałem się szybko, z nadmiaru ostrożności owinałem się w pled i wyszedłem z groty.

W pierwszej chwili nie zobaczyłem nic; oczy moje, odzwyczajone od światła, zamknęły się co rychlej. Kiedy otworzyłem je, zdumienie moje było większe jeszcze niż zachwyt.

– Morze! – krzyknąłem.

– Tak – odpowiedział wuj. – Morze Lidenbrocka; sądzę, że nie istnieje żeglarz, który by się spierał ze mną o zaszczyt dokonania tego odkrycia ani o prawo nadania, temu morzu mego imienia.

Hen, jak okiem sięgnąć, rozpościerał się ogromny obszar wodny, jezioro czy też ocean. Wycięte szerokim łukiem wybrzeże hojnie rzucało pod stopy najbliższym falom drobnutki złoty piasek, usiany małymi muszelkami, w których bytowały pierwsze na Ziemi istoty. Fale rozbijały się o brzeg z głośnym szumem, charakterystycznym dla ogromnych, zamkniętych przestrzeni; wietrzyk unosił strzępy piany, której bryzgi dolatywały do mnie. Za tym lekko pochylonym wybrzeżem, w odległości mniej więcej stu sążni od linii fal, urywały się potężne skarpy skalne, które wznosiły się i wzrastały na niezmierną wysokość. Niektóre z nich, wrzynając się w wybrzeże ostrymi żebrami, tworzyły przylądki i cypłe, wyżarte zębem przyboju. Dalej widać było ciągnące się szeregiem masywy skalne wyraźnie zarysowane na mglistym tle horyzontu.

Był to prawdziwy ocean, z wybrzeżem o kapryśnych zarysach, takim jak na powierzchni Ziemi, lecz ocean opustoszały i przeraźliwie dziki.

Mogłem zapuścić wzrok daleko na morze dzięki temu, że osobliwe światło rozjaśniało je jak najdokładniej. Nie był to jednak blask słońca, ze swymi jaskrawymi snopami promieni i olśniewającą grą, ani blada, nikła poświata księżycy, będąca jedynie odbiciem bez odrobiny ciepła. Nie. Siła świetlna owej jasności, jej drzenie i rozproszenie, ostra i chłodna białość, niska temperatura, blask wyraźnie silniejszy od księżycowego świadczyły, że źródłem jej jest elektryczność. Było to jak gdyby stałe zjawisko kosmiczne – zorza polarna, która wypełniała tę pieczarę, mogącą pomieścić ocean.

Sklepienie wiszące nad nami – niebo, jeśli kto woli – było właściwie kłębowiskiem obłoków, oparów ruchomych i zmiennych, które skutkiem skraplania się pary musiały niekiedy spadać w postaci ulewnych deszczów. Zdawałoby się, że pod tak silnym ciśnieniem atmosferycznym woda nie może parować, jednakże z powodu działania jakiegoś niepojętego dla mnie prawa fizyki, wielkie chmury snuły się w powietrzu. Ale tego dnia było pogodnie. Fale elektryczne wywoływały zdumiewającą grę światła w najwyższych warstwach chmur, natomiast na dolnych zwojach kładły się głębokie cienie; często między dwiema luźnymi warstwami prześlizgiwał się promień, dochodząc aż do nas z niezwykłą intensywnością. Mimo wszystko to nie było słońce, światło bowiem pozbawione było ciepła. Sprawiało ono smętne i nad wyraz żałosne wrażenie. Miast firmamentu roziskrzonego gwiazdami wyczuwałem nad pułapem chmur granitowe sklepienie, które przytłaczało mnie swoim ciężarem; jego przestrzeń – aczkolwiek ogromna – była jednak zbyt mała, by mógł wędrować po niej najskromniejszy bodaj satelita.

Przypomniałem sobie wówczas teorię wysuniętą przez pewnego angielskiego kapitana:

porównywał on Ziemię do wielkiej, wydrążonej kuli, wewnątrz której, na skutek ciśnienia, powietrze było świetliste, a dwie gwiazdy – Pluton i Prozerpina – zakreślały swoje tajemnicze orbity. Czyżby to była prawda?

Tak czy owak, byliśmy uwięzieni w olbrzymiej pieczarze. Nie dało się określić ani jej szerokości – jako że brzegów jeziora nie można było ogarnąć spojrzeniem – ani też długości, gdyż wzrok nie sięgał poza przyćmioną linię horyzontu. Jeśli chodzi o wysokość, przekraczała z pewnością kilka mil. Gdzie znajdowały się granitowe podpory podtrzymujące ów strop? Oko nie było w stanie ich dostrzec, ale niektóre chmurki zawieszane były na wysokości chyba dwóch tysięcy sążni, a więc wyżej aniżeli opary ziemskie, co należało zapewne przypisać wielkiemu zgęszczeniu powietrza.

Oczywiście słowo „pieczara” nie jest odpowiednim określeniem i nie potrafi odmalować tej ogromnej przestrzeni. Lecz słownik ludzki jest zbyt ubogi, aby oddać wrażenia tych, którzy zapuszczają się w otchłanie ziemskiego globu.

Nie wiedziałem zresztą, jakim procesom geologicznym pieczara zawdzięcza swoje istnienie. Może stygnięcie kuli ziemskiej przyczyniło się do jej powstania? Znałem co prawda z opowiadań podróżnych kilka słynnych pieczar, ale żadna nie osiągała podobnych rozmiarów.

Kiedy Humboldt zwiedzał w swoim czasie grootę Guachara w Kolumbii, uczony ten nie zdołał określić jej wielkości, zapuścił się bowiem nie dalej jak na dwa tysiące pięćset stóp; prawdopodobnie jednak nie rozciągała się ona o wiele dalej. Olbrzymia pieczara Mammoth w Kentucky musiała być gigantycznych rozmiarów, skoro sklepienie jej wznosiło się na pięćset stóp nad niezgłębionym jeziorem, a podróżni, przeszedłszy ponad dziesięć mil, nie dotarli do jej końca. Lecz czymże były tamte pieczary w porównaniu z tą, którą podziwiałem obecnie, posiadającą niebo utworzone z oparów, promieniowanie elektryczne i rozległe morze zamknięte w jej łonie? Wyobraźnia moja była bezradna wobec tego ogromu.

W milczeniu podziwiałem owe cuda. Brakło mi słów na wyrażenie moich uczuć. Zdawało mi się, że gdzieś na Uranie czy Neptunie jestem świadkiem niezwykłych zjawisk, których moja ziemska natura nie może należycie sobie uświadomić. Potrzebowałbym nowych słów dla określenia tak niezwykłych wrażeń, lecz moja wyobraźnia nie potrafiła mi ich dostarczyć. Patrzałem, rozmyślałem, zachwyciałem się, pełen zdumienia pomieszanego z przestraczeniem.

Niezwykły widok wywołał rumieńce na mojej twarzy; zdumienie odgrywało rolę swoistego zabiegu leczniczego i powracałem do zdrowia, stosując tę nie znaną dotychczas kurację; poza tym rześkość gęstego powietrza ożywiała mnie, dostarczając płucom większej ilości tlenu.

Łatwo pojąć, że po uwięzieniu w wąskim chodniku, które trwało czterdzieści siedem dni, z prawdziwą rozkoszą wdychałem słony, wilgotny powiew. Toteż nie żałowałem, że opuściłem mroczną grootę. Wuj, oswojony już z tym cudownym widokiem, nie reagował nań wcale.

– Czy czujesz się na siłach przejść się trochę? – zapytał mnie.

– Ależ tak, oczywiście – odpowiedziałem. – Sprawia mi to wielką przyjemność.

– A więc weź mnie pod rękę, Akselu, i idźmy wzdłuż zakrętów wybrzeża.

Zgodziłem się natychmiast i poszliśmy samym brzegiem nowo odkrytego oceanu. Z lewej strony urwiste skały, zwalone jedne na drugie, tworzyły tytaniczne skupisko o imponującym wyglądzie. Na ich zboczach wiły się niezliczone kaskady, spływając przejrzystymi, szumiącymi strugami, kilka lekkich oparów, przesuwających się z głazu na gład, znaczyło kotliny gorących źródeł, a strumienie spływały łagodnie ku wspólnemu basenowi, szemrząc wdzięcznie wśród zboczy pagórków.

Pomiędzy strumieniami rozpoznałem Hansbach, naszego wiernego towarzysza podróży, który najspokojniej spływał sobie do morza, jak gdyby nic innego nie robił od początku świata.

– Będzie nam go teraz brakowało – powiedziałem z westchnieniem.

– Co tam! – odparł profesor. – Czy ten, czy inny, co za różnica?

Uznałem, że ta odpowiedź nie wyraża zbyt gorącego uczucia wdzięczności.

Lecz w tym momencie niespodziewany widok przykuł moją uwagę. Gdy okrążyliśmy wyniosły cypel, oczom naszym ukazał się wysoki, gęsty las, leżący o jakieś pięćset kroków od nas. Składał się z drzew średniej wielkości o regularnym kształcie parasoli i wyraźnych, geometrycznych konturach; prądy powietrzne zdawały się nie mieć wcale wpływu na jego listowie – drzewa stały nieruchomo wśród powiewów wiatru niby zwarty gaj skamieniałych cedrów.

Przyśpieszyłem kroku. Nie potrafiłbym nazwać tych osobliwych okazów. Czyż nie należały do żadnego ze znanych dotychczas dwustu tysięcy gatunków roślin i trzeba było wyznaczyć im specjalne miejsce wśród flory nadwodnej? Okazało się, że nie. Gdy skryliśmy się w ich cieniu, zdumienie moje zamieniło się w zachwyt.

Znalazłem się oto w obecności znanych mi płodów Ziemi, lecz wykonanych według olbrzymiego wzorca. Wuj natychmiast wymienił ich nazwę.

– To po prostu las grzybów – stwierdził.

I nie mylił się. Można sobie łatwo uprzytomnić, jaki stopień rozwoju osiągnęły te rośliny, specjalnie lubiące ciepło i wilgoć. Wiedziałem, że *Lycoperdon giganteum* osiągał osiem do dziewięciu stóp obwodu; lecz w tym wypadku chodziło o grzyby białe, wysokości trzydziestu do czterdziestu stóp, z kapeluszami o jednakowej średnicy. Były ich tu tysiące: światło nie mogło się przebić przez zwartą ich masę i pod tymi kopułami, stojącymi ciasno obok siebie niby okrągłe dachy afrykańskich osiedli, panowały głębokie ciemności.

Mimo to chciałem zapaść się w ów las. Przeróżliwe zimno biło od mięsistych sklepień. Błądziliśmy pół godziny w wilgotnym mroku, po czym z uczuciem prawdziwej ulgi powróciłem na brzeg morza.

Roślinność podziemnej krainy nie ograniczała się bynajmniej do grzybów. Nieco dalej rośło w kępach mnóstwo „drzew” o bezbarwnym listowiu. Z łatwością dało się je rozpoznać; były to skromne roślinki, które widywaliśmy na powierzchni Ziemi, ale gigantycznych rozmiarów: widłaki



wysokie na sto stóp, olbrzymie sigillarie, drzewiaste paprocie, strzeliste jak jodły, lepidodendrony o walcowatych, rozwidlonych pniach, zakończonych długimi liśćmi i najeżonych szorstkimi kolcami, niby potworne kaktusy.

– Zdumiewające, wspaniałe, niezrównane! – zawołał wuj. – Oto flora ery paleozoicznej. Oto skromne ogrodowe rośliny, które były drzewami w zaraniu istnienia naszego globu. Patrz, Akselu, i podziwiaj! Nigdy żaden botanik nie korzystał z takiej gratki.

– Tak, wuj ma rację; rzekłbyś opatrność pragnęła zachować w tej olbrzymiej cieplarni owe pradawne rośliny, które przenikliwi uczeni odtworzyli tak umiejętnie.

– Doskonale to określiłeś, mój chłopcze: istna cieplarnia! Ale twoje powiedzenie byłoby jeszcze trafniejsze, gdybyś dodał, że jest ona także menażerią.

– Co? Menażerią?

– Tak, niewątpliwie tak. Spójrz na te prochy pod naszymi stopami, na te kości rozrzucone po ziemi.

– Kości?! – zdumiałem się. Tak, były to kości pradawnych zwierząt!

Rzuciłem się ku tym odwiecznym szczątkom, składającym się z niezniszczalnej mineralnej substancji – fosforanu wapnia. Bez wahania wymieniłem nazwy gigantycznych kości, podobnych do zeschniętych pni.

– Oto dolna szczęka mastodonta – mówiłem – to trzonowe zęby *Dinotherium*, oto kość udowa, która mogła należeć tylko do największego spośród tych zwierząt – do *Megatherium*. Tak, to stanowczo menażeria, gdyż te szczątki z pewnością nie znalazły się tu skutkiem jakiegoś kataklizmu; zwierzęta, do których one należały, żyły na brzegach tego podziemnego morza, w cieniu tych drzewiastych roślin. Proszę, tu są całe szkielety. Ale...

– Ale co? – spytał wuj.

– Nie umiem sobie wytłumaczyć obecności podobnych czworonogów w tej granitowej pieczarze.

– Dlaczego?

– Przecież te zwierzęta istniały na Ziemi w epokach późniejszych.

– Wobec tego, Akselu, może być tylko jedna i to prosta odpowiedź na twoje zastrzeżenia. Prawdopodobnie Ziemia miejscami zapadała się, wciągając ogromne tereny w głąb rozwierających się otchłani.

– Zapewne tak było. Ale jeżeli zwierzęta zamieszkiwały ongiś te podziemne strefy, któż może zaręczyć, czy jeden z takich potworów nie błąka się jeszcze wśród mrocznych lasów lub nie kryje za którąś z tych urwistych skał?

Na samą myśl o tym mimo woli rozejrzałem się trwożnie na wszystkie strony, ale nie było śladu żywego stworzenia na opustoszałym wybrzeżu.

Byłem nieco zmęczony, usiadłem więc na końcu cypla, o który fale rozbijały się z hukiem. Stąd wzrok mój obejmował całą zatokę utworzoną przez wklęsłość wybrzeża. W głębi, między piramidami skał, był jakby mały port. Ciche jego wody drzemały osłonięte od wiatrów. Mogły swobodnie stać tam na kotwicy dwie lub trzy goelety i bryg. Łudziłem się, że zobaczę nagle statek wypływający pod pełnymi żaglami na otwarte morze, gnany południowym wiatrem.

Lecz złudzenie to rozwiało się szybko. Byliśmy z pewnością jedynymi ludźmi w tym podziemnym królestwie. Gdy wiatr uspokajał się chwilami, cisza głębsza niż na pustyni zapadała na jałowych skałach, przytłaczając bezmiar wód. Wówczas usiłowałem przebić wzrokiem dalekie mgły, rozedrzeć zasłonę zarzuconą na tajemnicze tło horyzontu. Ileż pytań cisnęło mi się na usta! Gdzie kończyło się morze? Dokąd prowadziło? Czy dane nam będzie poznać przeciwległy jego brzeg?

Wuj nie miał co do tego wątpliwości. Ja pragnąłem, ale i obawiałem się jednocześnie dalszej podróży.

Całą godzinę podziwialiśmy cudowny widok, po czym wróciliśmy tą samą drogą wzdłuż wybrzeża do groty, gdzie pod wrażeniem najdziwniejszych myśli pogrążyłem się w głębokim śnie.

Nazajutrz obudziłem się zupełnie zdrowy. Pomyślałem sobie, że dobrze by mi zrobiła kąpiel, i zanurzyłem się na kilka minut w falach tego „Śródziemnego Morza”. Była to bezsprzecznie nazwa wyjątkowo odpowiednia dla tych wód.

Wróciłem na śniadanie z doskonałym apetytem. Hans przyrządził pierwszorzędną potrawę wchodzącą w skład naszego skromnego jadłospisu; mając opał i wodę do dyspozycji, mógł urozmaicić go nieco. Podał nam na deser kilka filiżanek kawy i nigdy ten wyśmienity napój nie smakował mi tak wybornie.

– Zbliża się pora przyływu – rzekł wuj. – Trzeba skorzystać ze sposobności i przeprowadzić obserwacje nad tym zjawiskiem.

– Jak to? Przyływ? – nie mogłem opanować zdumienia.

– Tak jest.

– Czyżby wpływ słońca i księżyca dawał się odczuwać aż tutaj?

– A dlaczegoż by nie? Przecież wszystkie ciała podlegają powszechnemu ciężeniu. Dlaczegoż więc ten obszar wodny miałby wyłamywać się spod ogólnych praw? Toteż mimo ciśnienia atmosferycznego wywieranego na jego powierzchni, poziom wód będzie się podnosił niczym na Atlantyku. Zresztą sam się o tym przekonasz.

Spacerowaliśmy właśnie po piasku nadbrzeżnym i fale wdzierały się stopniowo coraz dalej.

– Zaczyna się przyływ! – zawołałem.

– Tak, a po śladach piany łatwo sprawdzić, że morze podnosi się o jakieś dziesięć stóp.

– Nadzwyczajne!

– Nie, to rzecz całkiem naturalna.

– Może sobie wuj mówić, co chce, ale mnie to wszystko wydaje się niezwykle i prawie własnym oczom nie wierzę! Kto by mógł przypuszczać, że w skorupie ziemskiej znajduje się prawdziwy ocean wraz z przyływami i odpływami, burzami i wiatrem!

– Czemuż by nie? Czy istnieją jakieś względy natury fizycznej, które by się temu sprzeciwiały?

– Nie widzę żadnych, jeśli odrzucić hipotezę ognia istniejącego wewnątrz Ziemi.

– Jak dotychczas teoria Davy’ego wydaje się słuszna, nieprawdaż?

– Niewątpliwie. I wobec tego nic nie sprzeciwia się istnieniu mórz czy podziemnych krain wewnątrz naszego globu.

– Tak, ale nie zamieszkanym.

– Dlaczego te wody nie miałyby udzielić schronienia jakimś rybam nieznanego gatunku?

– W każdym razie ani jednej nie widzieliśmy dotychczas.

– Nic łatwiejszego jak sporządzić sobie wędkę; zobaczymy, czy haczyk będzie tu równie użyteczny, jak w oceanach na powierzchni Ziemi.

– Spróbujemy, Akselu; trzeba zgłębić wszystkie tajniki tych nowych stref.

– Ale gdzie właściwie jesteśmy? – Nie zadałem jeszcze tego pytania, na które na pewno przyrządy wuja dokładnie mu już odpowiedziały.

– Licząc w linii prostej, znajdujemy się o trzysta pięćdziesiąt mil od Islandii.

– Aż tyle?

– Jestem pewny, że się nie mylę nawet o pięćset sążni.

– Czy busola w dalszym ciągu wskazuje południowy wschód?

– Tak jest, z odchyleniem na zachód o dziewiętnaście stopni i czterdzieści dwie minuty, zupełnie tak samo jak na powierzchni Ziemi. Jeśli chodzi o nachylenie, zaobserwowałem pewien ciekawy fakt.

– Jaki mianowicie?

– Zamiast pochylać się ku biegunowi, jak to ma miejsce na półkuli północnej, igła – przeciwnie – unosi się.

– Należy z tego wnioskować, że punkt przyciągania magnetycznego znajduje się między powierzchnią Ziemi a miejscem, gdzie jesteśmy obecnie, nieprawdaż?

– Bez wątplenia i prawdopodobnie, gdybyśmy dotarli pod strefy polarne, ku owemu siedemdziesiątemu stopniowi, gdzie James Ross odkrył biegun magnetyczny, stwierdzilibyśmy, że igła stanęłaby prostopadle. A zatem ów tajemniczy środek ciężkości nie leży zbyt głęboko.

– Istotnie, a nauka nic nie wiedziała o tym fakcie!

– Nauka, mój kochany, składa się z wielu podobnych błędów, ale należy je popełniać, gdyż prowadzą one stopniowo do prawdy.

-. Na jakiej głębokości znajdujemy się obecnie?

– Na głębokości trzydziestu pięciu mil.

– Mamy nad sobą górzystą część Szkocji – stwierdziłem patrząc na mapę. – Tutaj wznoszą się na ogromną wysokość śnieżne szczyty Grampianów.

– Tak – potwierdził profesor ze śmiechem. – Niemały to ciężar, lecz sklepienie jest mocne. Wielki Budowniczy wszechświata wykonał je z solidnych materiałów i nigdy człowiek nie potrafiłby nadać mu podobnej rozpiętości. Czymże są łuki mostów lub łuki sklepień w katedrach w porównaniu z tą nawą o promieniu trzech mil, pod którą swobodnie mieści się ocean i mogą szaleć burze?

– Och, bynajmniej nie obawiam się, że ten strop runie mi na głowę! A teraz proszę mi powiedzieć o dalszych projektach. Czy wuj nosi się z zamiarem powrotu na powierzchnię Ziemi?

– Powrotu? Cóż znowu! Przeciwnie, mam zamiar ukończyć rozpoczętą podróż, skoro wszystko dotychczas poszło tak dobrze.

– Nie wyobrażam sobie jednak, jak dostaniemy się pod ten wodny obszar.

– Wcale nie zamierzam rzucać się w niego głową naprzód. Skoro nawet oceany są, właściwie mówiąc, tylko jeziorami otoczonymi lądem, tym bardziej to wewnętrzne morze musi być okolone ze wszystkich stron granitowym masywem.

– To nie ulega wątpliwości.

– A przy tym jestem pewien, że znajdę po przeciwległej stronie wylot jakiegoś kanału.

– Jaką długość ma ten obszar wodny? Jak wuj przypuszcza?

– Trzydzieści do czterdziestu mil.

– Ach, tak? – odparłem, przeświadczony w głębi duszy, że ta liczba mogła okazać się bardzo nieścista.

– A więc nie mamy czasu do stracenia i jutro wypłyniemy na morze.

Mimo woli poszukałem wzrokiem statku, który miał nas przewieźć.

– Aha, popłyniemy – stwierdziłem. – Ale czym?

– Nie statkiem, oczywiście, lecz mocną, solidną tratwą.

– Tratwą? – zdziwiłem się. – Tratwę równie trudno zbudować, jak statek i nie wyobrażam sobie...

– Nie wyobrażasz sobie, Akselu, ale gdybyś uważnie posłuchał, tobyś usłyszał.

– Usłyszał?

– Tak, uderzenia młotkiem, które świadczą, że Hans zabrał się do roboty.

– Buduje tratwę?

– Tak jest.

– Jak to? Zdążył ściąć drzewa siekierą?

– O, drzewa już były ścięte! Chodź, zobaczysz go przy pracy. Szliśmy najwyżej piętnaście minut i po drugiej stronie cypla, zamykającego naturalny port, ujrzałem Hansa; uszliśmy jeszcze kilka kroków i znaleźliśmy się przy nim. Ku memu nieopisanemu zdumieniu na piasku leżała na pół wykończona tratwa; zbita była z kłoców pochodzących z jakiegoś osobliwego drzewa, a ziemię dosłownie zaścielały dyle, krzywulce i wręgi wszelkiego rodzaju. Leżało tego tyle, że starczyłoby na wybudowanie całej floty.

– Co to za drzewo, wuju? – spytałem.

– Sosna, jodła, brzoza, słowem – wszystkie gatunki drzew rosnących na północy, które skamieniały pod działaniem wody morskiej.

– Czyż to możliwe?

– Drzewo to Hans nazywa *surtarbrandur*, inaczej drzewo kopalne.

– Wobec tego jest zapewne twarde jak kamień, podobnie jak węgiel brunatny i nie będzie mogło utrzymać się na powierzchni wody?

– I to zdarza się niekiedy; niektóre gatunki drzewa zamieniły się istotnie w prawdziwy antracyt, inne jednak, jak na przykład te, są w stadium początkowym przemiany. Spójrz – dodał wuj wrzucając do morza jeden z owych cennych szczątków.

Kawałek drewna zniknął pod wodą, potem wrócił na jej powierzchnię i zakołysał się na fali.

– Przekonałem cię? – spytał wuj.

– Owszem, choć to nie do wiary!

Dzięki sprawności naszego przewodnika nazajutrz wieczorem tratwa była gotowa; miała dziesięć stóp długości na pięć szerokości; kłoc drzewa kopalnego, powiązane mocnymi linami, utworzyły solidny pomost i gdy zepchnięto tę zaimprovizowaną tratwę, pływała swobodnie po Morzu Lidenbrocka.

We czwartek 13 sierpnia obudziliśmy się wczesnym rankiem. Tego dnia mieliśmy zastosować po raz pierwszy nowy środek lokomocji, szybki i nie męczący.

Maszt zrobiony z dwóch połączonych drągów, reja także z drąga, żagiel z zeszytych koców – stanowiły jedyny osprzęt tratwy. Lin mieliśmy pod dostatkiem. Całość była bardzo mocna.

O szóstej rano profesor dał znak do odpłynięcia. Żywność, bagaże, przyrządy, broń i pokaźna ilość słodkiej wody – wszystko znajdowało się już na miejscu. Hans zainstalował ster, dzięki czemu mógł kierować swoim pływającym pomostem. Usiadł przy drążku sterowym. Odwiązałem cumę przytrzymującą tratwę; nastawiliśmy żagiel i szybko odbiliśmy od brzegu.

Gdy opuszczaliśmy mały port, wuj, który przywiązywał ogromną wagę do nomenklatury geograficznej, postanowił ochrzcić go moim imieniem.

– Ja bym zaproponował inną nazwę – oświadczyłem.

– Jaką?

– Imię Grety. „Port Grety” – to będzie doskonale wyglądało na mapie.

– Niech będzie Port Grety.

W ten sposób imię wybranki mego serca zostało na zawsze związane z naszą ekspedycją.

Wiatr dał od północo-zachodu i mając go z tyłu, sunęliśmy z niebywałą szybkością. Gęste warstwy powietrza napierały silnie na żagiel niby tchnienie wentylatora.

Po upływie godziny wuj zorientował się co do naszej szybkości.

– Jeżeli w dalszym ciągu będziemy posuwać się w ten sposób, zrobimy co najmniej trzydzieści mil przez dwadzieścia cztery godziny – rzekł – i niebawem ujrzymy przeciwległy brzeg.

Nic nie odpowiedziałem i ulokowałem się na przedzie tratwy. Już brzeg północny zacierał się na horyzoncie, cyple zatoki rozwierały się szeroko, jakby nam chciały ułatwić wyjście. Przed moim wzrokiem rozpościerało się rozległe morze; szarawe cienie olbrzymich chmur przesuwały się szybko po jego powierzchni i zdawało się, że ciążą na tej ponurej toni. Srebrzyste promienie światła elektrycznego, odbijające się tu i ówdzie w przejrzystych kropelkach, zapalały drobne iskry na krawędziach tratwy. Wkrótce straciliśmy z oczu nawet zarysy lądu, wzrok nie miał już na czym spocząć i gdyby nie pienisty ślad tratwy, można by sądzić, że trwa ona w absolutnym bezruchu.

Koło południa na powierzchni morza ukazały się olbrzymie wodorosty, kołyszące się na falach. Znałem siłę wegetatywną tych roślin, ścielących się na dnie mórz nieraz na głębokości przeszło dwunastu tysięcy stóp i rozmnażających się pod ciśnieniem blisko czterystu atmosfer; zajmują częstokroć tak wielkie połacie wodnego obszaru, iż utrudniają poruszanie się statków; ale nigdy

chyba wodorosty nie osiągnęły tak gigantycznych rozmiarów jak na Morzu Lidenbrocka.

Tratwa nasza płynęła wzdłuż roślin wodnych długości trzech i czterech tysięcy stóp, ogromnych węzów rozwijających swoje sploty poza zasięgiem wzroku; dla rozrywki śledziłem niesamowicie długie pasma w nadziei, że dojrzę ich koniec, i przez całe godziny cierpliwość moja wystawiona była na ciężką próbę, a zdumienie rosło.

Jakież siły natury potrafiły wytworzyć podobne rośliny i jak musiała wyglądać Ziemia w pradawnych okresach jej istnienia?

Nadszedł wieczór i podobnie jak w przeddzień oświetlenie nie uległo żadnej zmianie. Było to zjawisko stałe, na którego trwałość można było liczyć.

Po kolacji wyciągnąłem się pod masztem i niebawem – w trakcie leniwych marzeń – zmorzył mnie sen.

Hans, siedząc nieruchomo przy sterze, zdał się na wolę wiatrów, a że pchały tratwę od tyłu, nie potrzebował nią kierować.

Gdy odpływaliśmy z Portu Grety, profesor Lidenbrock polecił mi prowadzić „dziennik okrętowy”, notować w nim wszelkie obserwacje, zapisywać ciekawsze zjawiska, kierunek wiatru, uzyskiwaną szybkość, przebytą drogę, słowem – wszystkie wydarzenia zachodzące w czasie tej przedziwnej morskiej podróży.

Ograniczę się więc do odtworzenia owych codziennych notatek i w ten sposób podam dokładny opis naszej wyprawy.

*Piątek 14 sierpnia.* Stały wiatr północno-zachodni. Tratwa sunie w linii prostej. Wybrzeże pozostało o trzydzieści mil za nami. Nic nie widać na horyzoncie. Intensywność światła – bez zmian. Pogoda ładna, to znaczy pułap chmur wysoki, niezbyt gęsty, tonący w białym blasku niby w roztopionym srebrze.

Termometr wskazuje trzydzieści dwa stopnie.

W południe Hans przywiązuje haczyk na końcu sznurka; zakłada kawałek mięsa i wrzuca tę przynętę do morza. Przez dwie godziny nic nie Bierze. Czyżby te wody były nie zamieszkane? Okazuje się, że tak nie jest. Sznurek drga, Hans ciągnie za wędkę i wydobywa rybę, która rzuca się gwałtownie.

– Ryba! – krzyczy wuj.

– Jesiotr! – wtóruję mu. – Mały jesiotr!

Profesor jest odmiennego zdania i ogląda uważnie rybę. Ma ona płaską, zaokrągloną głowę, przednią część ciała pokrytą tarczami kostnymi, paszczę pozbawioną zębów; płetwy piersiowe są dość rozwinięte, ogona nie ma wcale. Zwierzę to należy istotnie do tego samego rzędu, do którego



przyrodnicy zaklasyfikowali jesiotra, lecz zachodzą między nimi istotne różnice.

Wuj poznał się na nich, gdyż po krótkich oględzinach oznajmia:

– Ryba ta należy do rodziny zaginionej od wieków; jej ślady kopalne odnaleziono w pokładach dewońskich.

– Jak to! – wołam. – Czyżbyśmy złapali żywcem jednego z mieszkańców pradawnych mórz?

– Tak jest – odpowiada profesor badając rybę w dalszym ciągu. – Sam widzisz, te ryby kopalne niewiele mają wspólnego z obecnymi gatunkami. Posiadanie takiego żywego okazu jest nie lada gratką dla przyrodnika. Przy tym odznacza się szczególną właściwością, która zdarza się jakoby u ryb zamieszkujących wody podziemne.

– Jaką mianowicie?

– Jest ślepa. – Ślepa?!

– Nie tylko ślepa, ale pozbawiona w ogóle narządu wzroku.

Przyglądam się rybie. Prawda! Ale może to odosobniony wypadek? Znów zakładamy przynętę i zarzucamy wędkę. Morze jest z pewnością bardzo bogate w ryby, gdyż w ciągu dwóch godzin łapiemy ich mnóstwo. Wszystkie pozbawione są narządów wzroku. Ten niespodziewany połów pokaźnie wzbogaca nasze zapasy żywności.

Wody te zawierają najwidoczniej jedynie gatunki kopalne. Może natrafimy na jednego z tych jaszczurów, które nauka potrafiła odtworzyć na podstawie ułamka kości?

Biorę lunetę i badam morze. Zewsząd zieje pustką. Widocznie jesteśmy jeszcze za blisko brzegów.

Patrzę w górę. Dlaczego któryś z owych ptaków, odtworzonych przez sławnego po wsze czasy Cuviera\*, nie miałby pruć skrzydłami gęstych warstw atmosferycznych? Ryby dostarczyłyby mu pożywienia w dostatecznej ilości. Wpatruję się w przestworza, lecz powietrze jest nie zamieszkane, podobnie jak i wybrzeża.

Jednak fantazja ponosi mnie i zapuszczam się w cudowne hipotezy paleontologii. Śnię na jawie. Marzy mi się, że widzę na powierzchni wód owe ogromne, pradawne żółwie, podobne do pływających wysp. Wydaje mi się, że po posępnych wybrzeżach wędrują olbrzymie ssaki najwcześniejszych epok trzeciorzędu – *Leptotherium*, odnaleziony w pieczarach Brazylii, *Lericotherium*, pochodzący z lodowatych stref Syberii. Dalej nieco kryje się wśród skał gruboskórny *Lophiodon*, ów kolosalny tapir, gotów walczyć o łup z *Anoplotherium*, dziwnym zwierzęciem podobnym i do nosorożca, i do konia, i do hipopotama, i do wielbłąda, jak gdyby Stwórca, śpiesząc się w pierwszych godzinach istnienia świata, połączył kilka zwierząt w jednym. Olbrzymi mastodont wywija trąbą i rozwała kłami nadbrzeżne skały, a *Megatherium*, wsparty na potężnych łapach, ryje ziemię, budząc swym wyciem echo wśród granitowych skał. Gdzieś wyżej *Protopithecus*, pierwsza małpa, jaka ukazała się na świecie, harcuje po stromych zboczach. Jeszcze wyżej *Pterodactylus* o błoniastych kończynach przemyka się jak wielki nietoperz przez zgęszczone powietrze. Wreszcie w

najwyższych warstwach ogromne ptaki, potężniejsze aniżeli kazuar, większe od strusia, rozpościerają olbrzymie skrzydła i uderzają głowami o granitowy strop.

Cały świat kopalny odradza się w mojej wyobraźni. Cofam się do opisanej w Biblii epoki tworzenia świata, na długo przed zjawieniem się człowieka, gdy Ziemia, nie wykończona jeszcze całkowicie, nie mogła mu wystarczyć. Mój sen na jawie wyprzedza ukazanie się istot organicznych. Znikają kolejno ssaki, potem ptaki, następnie gady i wreszcie ryby, skorupiaki, mięczaki, stawonogi. Z kolei dziwne organizmy ery proterozoicznej wracają do niebytu. Całe życie Ziemi skupia się we mnie i tylko moje serce bije w tym opustoszałym świecie. Nie ma pór roku, nie ma różnic klimatu, stale wzrasta ciepło kuli ziemskiej neutralizując ciepło słońca.

Wieki mijają jak dni; cofam się poprzez kolejne przeobrażenia Ziemi – znikają wszelkie żywe istoty, granitowe skały tracą swoją twardość; pod działaniem coraz intensywniejszego ciepła stan stały zostaje zastąpiony przez stan płynny; po powierzchni globu toczą się wody; wrą, ulatniają się, pary zakrywają Ziemię, która stopniowo przeobraża się w ciało lotne rozpalone do białości, wielkie jak słońce i o równym mu blasku.

Pośrodku tej mgławicy, milion czterysta tysięcy razy większej od kuli, w którą się z czasem przekształci, pędzę wśród przestrzeni międzyplanetarnych, ciało moje wysubtelnia się, sublimuje i łączę się jak nieważki atom z olbrzymim kłębowiskiem mgławic opisujących w nieskończoności pałającą orbitę.

Cóż za sen! Dokąd mnie zaprowadzi? Ręka moja rzuca gorączkowo na papier przedziwne jego szczegóły. Zapomniałem o wszystkim – i o profesorze, i o przewodniku, i o tratwie. Uległem jakiejś halucynacji...

– Co ci jest? – pyta wuj.

Wpatruję się w niego szeroko rozwartymi oczami, nie widząc go wcale.

– Uważaj, Akselu, wpadniesz do morza!

Jednocześnie czuję, że Hans przytrzymuje mnie energicznie. Gdyby nie on, wpadłbym niechybnie do wody pod wrażeniem tego snu.

– Czy on dostał pomieszania zmysłów? – niepokoi się profesor.

– Co się stało? – pytam wracając do przytomności.

– Czy jesteś chory?

– Nie, uległem chwilowej halucynacji, ale już minęła. A poza tym wszystko w porządku?

– O, tak! Wiatr pomyślny, morze spokojne. Płyniemy szybko i jeśli moje rachuby nie zawiodą, wkrótce przybijemy do lądu.

Na dźwięk tych słów wstaję, badam horyzont, lecz linia wody wciąż zlewa się z linią chmur.



*Sobota, 15 sierpnia.* Morze zachowuje ciągle monotonną jednostajność. Ani śladu lądu. Horyzont wydaje się bardzo odległy.

Głowę mam jeszcze ciężką po tym niesamowitym śnie. Wujowi nic się nie śniło, ale humor mu nie dopisuje; obserwuje przez lunetę cały widnokrąg, a potem, wyraźnie zirytowany, krzyżuje ręce na piersiach.

Stwierdzam, że profesor Lidenbrock grzeszy jak dawniej niecierpliwością, i notuję ten fakt w dzienniku. Trzeba było niezwykłych przeżyć i niebezpieczeństw, aby wykrzesać z niego iskrę wyrozumiałości i dobroci; od czasu mego wyzdrowienia jednak właściwa jego natura znów wzięła górę. Ale, prawdę mówiąc, nie ma powodów do złości. Czyż podróż nasza nie odbywa się w najbardziej sprzyjających okolicznościach? Przecież tratwa płynie z nadzwyczajną szybkością!

– Jakoś wuj wydaje się niespokojny... – powiadam widząc, że co chwila podnosi lornetkę do oczu.

– Niespokojny? Skądże!

– To może zniecierpliwiony?!

– Nie brak ku temu powodów.

– Przecież posuwamy się z wielką szybkością.

– I co z tego? Nie szybkość jest za mała, lecz morze za duże!

Przychodzi mi na myśl, że przed wypłynięciem z portu profesor ocenił długość tego podziemnego morza na jakieś trzydzieści mil. Otóż mamy już za sobą trasę trzykrotnie dłuższą, a wciąż jakoś nie widać południowych wybrzeży:

– Nie schodzimy w głąb Ziemi – mówi dalej profesor. – Wszystko to niepotrzebna strata czasu i ostatecznie nie przywędrowałem tu z tak daleka, żeby zażyć przejażdżki łódką po stawie!

Jak to! Nazywa naszą przeprawę przejażdżką, a morze stawem?

– Ale skoro idziemy drogą wskazaną przez Saknussemma...

– To jeszcze pytanie. Czy naprawdę idziemy jego śladami? Czy Saknussemm natknął się także na ten obszar wodny? Czy przeprowił się na przeciwległy brzeg? A może strumień, obrany przez nas za przewodnika, zmylił nam całkowicie drogę?

– W każdym razie nie ma co żałować, że doszliśmy aż tutaj. Widok jest wspaniały i...

– Tu nie chodzi o podziwianie widoków. Wytknąłem sobie pewien cel i muszę go osiągnąć. Nie wspominaj mi nawet o podziwianiu czegokolwiek!

Biorę to pod uwagę i pozostawiam profesora na pastwę jego niecierpliwości. O godzinie szóstej wieczorem Hans domaga się swojej zapłaty i wuj wręcza mu trzy riksdalery.

*Niedziela, 16 sierpnia.* Nic nowego. Pogoda bez zmian. Wiatr nieco chłodniejszy. Zaraz po obudzeniu sprawdzam przede wszystkim intensywność światła. Żyję w stałej obawie, czy elektryczne zjawisko świetlne nie osłabnie, a następnie nie zaniknie całkowicie. Na szczęście nic podobnego nie zachodzi – cień tratwy odcina się wyraźnie na powierzchni wody.

Naprawdę to morze jest bezkresne! Dorównuje chyba szerokością Morzu Śródziemnemu. A może nawet Atlantykowski? Wszystko możliwe!

Wuj raz po raz bada głębokość, przywiązuje jeden z najcięższych oskardów do liny i spuszcza go na głębokość dwustu sążni. Sonda nie dochodzi do dna. Z trudem wyciągamy ją na powierzchnię.

Kiedy oskard jest już na tratwie, Hans pokazuje mi na nim jakieś głębokie ślady. Zdawałoby się, że ten kawał żelaza został mocno ściśnięty twardymi kleszczami.

Patrzę pytająco na myśliwego.

– *Tänder* – stwierdza.

Nie rozumiem, co mówi. Odwracam się do wuja, lecz pogrążony jest w głębokim zamyśleniu. Wolę mu nie przeszkadzać, wracam więc do Islandczyka. Ten kilka razy otwiera i zamyka usta, wyjaśniając w ten sposób, o co mu chodzi.

– Zęby! – wołam ze zdumieniem, przyglądając się uważniej żelaznej sztabce.

Rzeczywiście to odciski zębów na metalu! Szczęki posiadające takie uzębienie muszą być niezwykle silne. Czyżby jakiś potwór z zaginionego gatunku miotał się gdzieś w głębinach wody, poczwara bardziej żarłoczna niż rekin, groźniejsza niż wieloryb? Nie mogę oderwać wzroku od tej na pół przegryzionej sztabki. Czyżby mój sen miał się sprawdzić?

Myśli te przez cały dzień nie dają mi spokoju i dopiero kilka godzin snu uspokaja moją rozigraną wyobraźnię.

*Poniedziałek, 17 sierpnia.* Usiłuję przypomnieć sobie instynkty właściwe pradawnym zwierzętom ery mezozoicznej, które pojawiły się na naszym globie po mięczakach, skorupiakach i rybach, a poprzedzały ssaki. Świat należał wówczas do gadów. Potwory te panowały niepodzielnie w morzach okresu jurajskiego. Jakże potężne były ich kształty. Cóż za niezwykłą miały siłę! Obecne nasze jaszczurki, aligatory czy krokodyle – nawet największe i najgroźniejsze z nich – są tylko niezdarnym naśladownictwem swoich przodków z dawnych czasów.

Drzę na samo wspomnienie tych potworów. Nigdy oko ludzkie nie oglądało ich w żywej postaci. Zjawiły się o miliony lat wcześniej aniżeli człowiek, lecz dzięki ich szczątkom kopalnym można było odtworzyć je pod względem anatomicznym i zapoznać się z ich imponującą budową.

W Muzeum Hamburgskim widziałem szkielet jednego z owych jaszczurów, mierzący trzydzieści stóp długości. Czyżbym ja, mieszkaniec Ziemi, miał się spotkać oko w oko z przedstawicielem którejś z tych wymarłych rodzin? Nie, to niemożliwe. Jednakże ślad potężnych zębów widnieje na żelaznej sztabce i po tym odcisku poznaję, że są stożkowate, podobnie jak kły krokodyla.

Z przerażeniem wpatruję się w morze; ogarnia mnie strach na myśl, że mogę ujrzeć jednego z mieszkańców podmorskich jaskiń ruszającego do ataku.

Odnoszę wrażenie, że profesor Lindenbrock podziela moje przypuszczenia, a może i obawy – obejrzawszy bowiem oskard zaczyna lustrować ocean.

„Do licha! – mówię do siebie. – Cóż za poroniony pomysł z tym sondowaniem! Wuj zakłócił spokój jakiegoś morskiego zwierza zaszytego w swojej kryjówce i nie dziwiłbym się, gdyby potwór napadł na nas w czasie drogi...”

Rzucam okiem na broń, aby upewnić się, czy jest w porządku. Wuj przyłapuje moje spojrzenie i gestem wyraża aprobatę.

Jakieś poruszenie na zwierciadle wodnym świadczy, że coś się dzieje w morskich głębinach. Niebezpieczeństwo jest bliskie. Trzeba czuwać.

*Wtorek, 18 sierpnia.* Nadchodzi wieczór, a raczej chwila, gdy sen skleja nam powieki, ten ocean bowiem nie zna nocy i nieubłagane światło uparcie męczy nam wzrok, jak gdybyśmy żeglowali w słonecznym blasku mórz arktycznych. Hans siedzi przy sterze. W czasie jego dyżuru ucinam drzemkę.

W dwie godziny później budzi mnie straszliwy wstrząs. Tratwa została uniesiona w górę z nieopisaną siłą, a potem odrzucona w bok o jakieś dwadzieścia, sążni.

– Co się stało? – pyta wuj. – Czy dobijamy do brzegu? Hans pokazuje palcem jakąś czarniawą masę, która opuszcza się i podnosi na przemian. Dzieli nas od niej najwyżej dwieście sążni. Przyglądam się bliżej i wołam:

– To olbrzymi morświn!

– Tak – potwierdza wuj. – A tam jaszczur morski niebywałych rozmiarów.

– A jeszcze dalej ogromny krokodyl! Proszę spojrzeć, jakie ma potężne szczęki i jakie zęby! O, już znika!

– Wieloryb! Wieloryb! – krzyczy profesor. – widzę jego wielkie płetwy! Zobacz tylko, ile wody i powietrza wyrzuca tryskawkami!

W rzeczy samej dwa słupy wody wznoszą się na dość znaczną wysokość nad lustrem morza. Jesteśmy zdumieni, osłupiali, przerażeni na widok tego stada potworów morskich. Są wręcz niesamowitych rozmiarów i najmniejszy spośród nich roztrzaskałby tratwę jednym uderzeniem zęba.

Hans chce wykorzystać wiatr i zwiększyć szybkość, aby uciec od niebezpiecznych sąsiadów, lecz dostrzega z przeciwnej strony niemniej groźnych nieprzyjaciół, mianowicie żółwia szerokości czterdziestu stóp oraz węża długości trzydziestu, który wychyla olbrzymią głowę ponad fale.

Nie sposób umknąć! Potwory zbliżają się, krążą wokół tratwy z szybkością, jakiej nie mogłyby dorównać najszybsze pojazdy, kreślą naokoło niej koncentryczne koła. Trzymam strzelbę w pogotowiu. Ale co może zdziałać kula, skoro ciała tych zwierząt pokryte są niezwykle grubą skórą!

Po prostu oniemieliśmy z przestachu. Znów gady przybliżają się. Z jednej strony krokodyl, z drugiej wąż. Reszta morskiego stada znikła. Już-już mam zamiar strzelać. Hans powstrzymuje mnie gestem ręki. Obydwa potwory mijają tratwę w odległości pięćdziesięciu sążni, rzucają się na siebie i w rozwścieczeniu nie widzą nas wcale.

Walka rozgrywa się zaledwie o sto sążni od nas. Widzimy wyraźnie zmagające się bestie.

Ale teraz wydaje mi się, że i inne zwierzęta biorą udział w walce – morświn, wieloryb, jaszczur i żółw, dostrzegam je co chwila. Pokazuję Islandczykowi. Ten zaprzecza ruchem głowy.

– *Tva* – mówi.

– Co? Dwa?! Twierdzi, że są tylko dwa potwory...

– Ma rację! – woła wuj, który przez cały czas nie odrywał lunety od oczu.

– Cóż znowu!

– Tak, jeden z nich ma paszczę morświna, głowę jaszczura, zęby krokodyla i to właśnie wprowadziło nas w błąd. To *Ichtiosaurus*, najgroźniejszy gad okresu jurajskiego.

– A drugi?

– Drugi to *Plesiosaurus*, gad o długiej jak u węża szyi, straszliwy wróg tamtego.

Hans miał rację. Tylko dwa gady mącą powierzchnię morza; mamy przed sobą tylko dwóch mieszkańców pierwotnych oceanów. Dostrzegam przekrwione oko ichtiozaura, wielkie jak ludzka głowa. Przyroda obdarzyła tego kolosa potężnym narządem wzrokowym, który wytrzymuje ciśnienie warstw wodnych na największych głębokościach. Słusznie nazwano go wielorybem wśród jaszczurów, gdyż dorównywa im szybkością i wielkością. Ten okaz liczy co najmniej sto stóp i mogą należycie ocenić jego rozmiary, gdy wynurza z wody pionowe płetwy swego ogona., Paszczę ma olbrzymią i zdaniem przyrodników uzbrojona jest co najmniej w sto osiemdziesiąt dwa zęby.

Łapy plezjozaura, gada o walcowatym kadłubie i krótkim ogonie, rozmieszczone są na modłę wioseł. Cielsko jego okryte jest szczelnie pancerzem, a szyja, giętka niby u łabędzia, unosi się na trzydzieści stóp nad powierzchnią wody.

Zwierzęta nacierają na siebie z nieopisaną furią. Podnoszą przy tym wały wodne, które dochodzą aż do tratwy. Chyba ze dwadzieścia razy groziło nam zatonięcie. Słychać przenikliwe świsty.

Potwory splotły się ze sobą. Nie mogę ich rozróżnić. Można spodziewać się wszystkiego ze strony rozbestwionego zwycięzcy.

Mija jedna godzina, potem druga. Walka trwa z jednakową zawziętością. Zmagające się kolosy to zbliżają się, to znów oddalają od tratwy. Stoimy nieruchomo, gotowi do strzału.

Nagle *Ichtiosaurus* i *Plesiosaurus* znikają pod wodą, wzniesając straszliwy wir wodny. Czyżby ta walka miała zakończyć się w głębinach morza?

Naraz ogromna głowa wynurza się gwałtownie z wody – to głowa plezjozaura. Potwór jest śmiertelnie ranny. Nie mogę już dojrzeć jego olbrzymiego pancerza. Jedyne długa szyja pręży się, opuszcza, podnosi, pochyla znów, smaga fale niczym gigantyczny bat i wije się jak przecięty robak. Woda tryska daleko. Niebawem agonizująca gada dobiega kresu, ruchy jego są coraz słabsze, konwulsyjne skręty stopniowo ustają i długie, węzowe cielsko rozpościera się bezwładnie na spokojnych już falach.

Ciekawe, czy *Ichtiosaurus* powrócił do swojej podmorskiej kryjówki, czy też ukaże się jeszcze na powierzchni morza?



*Środa, 19 sierpnia.* Na szczęście wiatr, który dmie z wielką siłą, pozwolił nam oddalić się szybko od terenu walki. Hans jest wciąż przy sterze. Wuj, wyrwany z głębokiego zamyślenia widokiem śmiertelnych zapasów, zaczyna znów niecierpliwie pochłaniać wzrokiem morze.

Podróż staje się w dalszym ciągu jednostajna i monotonna, ale wolałbym nie przerywać tej monotonii za cenę niebezpiecznych wczorajszych przejść.

*Czwartek, 20 sierpnia.* Zmienny wiatr z północo-północo-wschodu. Ciepło. Płyniemy z szybkością trzech i pół mili na godzinę.

Koło południa dolatują do nas jakieś dalekie odgłosy. Notuję ten fakt, choć nie umiem sobie wytłumaczyć, skąd pochodzi ten szum przypominający przeciągły pomruk.

– Widocznie gdzieś daleko fale rozbijają się o skałę czy wysepkę – mówi profesor.

Hans wspina się na szczyt masztu, lecz nie sygnalizuje żadnej rafy.

Lustro wody jest gładkie aż do linii horyzontu.

Mijają trzy godziny. Pomruki pochodzą zapewne od jakiegoś odległego wodospadu.

Zwracam na to uwagę wuja, lecz ten zaprzecza ruchem głowy. A jednak jestem przeświadczony, że się nie mylę. Czyżbyśmy płynęli ku skalistym progom, które strącają nas w przepaść? Może ten swoisty sposób schodzenia w dół odpowiada profesorowi, jako że bliższy jest linii prostopadłej, ale co do mnie...

W każdym razie musi zachodzić gdzieś zjawisko powodujące ten odgłos, teraz bowiem szum jest znacznie mocniejszy. Skąd dochodzi – z nieba czy też z morza?

Kieruję wzrok ku oparom zawisłym w atmosferze i usiłuję zbadać głębokość pułapu chmur. Niebo jest spokojne; obłoki, uniesione pod samo sklepienie, wydają się nieruchome i zacierają się w intensywnym promieniowaniu. A zatem trzeba szukać gdzie indziej przyczyny owego zjawiska.

Lustruję horyzont, czysty i całkowicie wolny od mgły. Wygląd jego nic a nic się nie zmienił. Ale jeżeli ten szum spowodowany jest jakimś silnym spadem, kataraktą, jeżeli cały ten ocean pędzi w dół do niżej położonego basenu, jeżeli te odgłosy wywołuje spadająca masa wodna, powinien powstać gwałtowniejszy prąd i jego wzrastająca szybkość mogłaby być miernikiem grożącego nam niebezpieczeństwa. Badam prąd wody. Nie ma go wcale. Rzucam pustą butelkę – stoi w miejscu.

Okolo czwartej po południu Hans wstaje i wdrapuje się na szczyt masztu. Stąd wzrok jego przebiega olbrzymi łuk, który ocean zakreśla przed nami i zatrzymuje się nagle na jakimś punkcie. Wprawdzie twarz przewodnika nie wyraża zdumienia, ale oczy utkwione ma w jednym miejscu.

– Musiał coś zobaczyć – stwierdza wuj. – Chyba tak.

Hans schodzi, po czym wyciąga rękę w kierunku południowym.

– *Der nere!* – mówi.

– Tam? – pyta wuj.

Chwyta lunetę i patrzy uważnie przez chwilę, która wydaje mi się wiekiem.

– Tak, tak! – woła.

– Co wuj widzi?

– Olbrzymi słup wody unoszący się nad falami.

– Może znów jakiś potwór morski?

– Wszystko możliwe.

– Weźmy kurs bardziej na zachód; wiemy przecież jakie niebezpieczeństwo grozi przy spotkaniu z takimi bestiami.

– Nie, nie zmienimy kierunku – odpowiada profesor.

Odwracam się do Hansa. Trzyma drążek sterowy z niewzruszonym spokojem.

Jeśli z odległości dzielącej nas od tego zwierzęcia – a wynoszącej co najmniej dwanaście mil – można dojrzeć słup wody wyrzucony z jego tryskawek, musi on być doprawdy niesamowitych rozmiarów. Ratowanie się ucieczką byłoby, oczywiście, zachowaniem elementarnych zasad ostrożności, ale nie po to przybyliśmy tutaj, żeby tych zasad przestrzegać.

A więc suniemy naprzód. W miarę jak podpływamy, słup wody zwiększa się. Jakiż kolos byłby w stanie wchłonąć taką ilość wody i wypuszczać ją bez przerwy?

O ósmej wieczorem dzielą nas od niego zaledwie dwie mile. Olbrzymie, czarniawe, potworne cielsko rozpościera się na wodzie niczym wysepka. Czy to skutkiem złudzenia, czy też przestרחu wydaje mi się, że ma przeszło tysiąc sążni! Cóż to może być za wieloryb, którego istnienia nie przewidział ani Cuvier, ani niemiecki przyrodnik Blumenbach? Jest nieruchomy, jak gdyby spał kamiennym snem; rzekłbyś, iż woda nie może go unieść i fale przelewają się przez jego boki. Słup wody, wyrzucony na wysokość pięciuset stóp, spada z ogłuszającym hukiem. Pędzimy jak opętani ku tej potężnej masie, której sto wielorybów dziennie nie starczyłoby za pożywienie.

Ogarnia mnie przerażenie. Nie chcę podpłynąć bliżej!. Gotów jestem przeciąć podnośnicę masztu. Wściekam się na profesora, który nie raczy mi nawet odpowiedzieć.

Nagle Hans wstaje, wskazuje ów groźny punkt.

– *Holme!* – oświadcza.

– Wyspa! – woła wuj.

– Wyspa?! – powtarzam za nim, wzruszając ramionami.

– Oczywiście – potwierdza profesor wybuchając głośnym śmiechem.

– A ten słup wody?

– *Gejsir* – wyjaśnia Hans.

– Niewątpliwie, gejzer – mówi wuj – i to podobny do islandzkich.

Z początku nie chcę uznać mego kompromitującego błędu. Jak to, pomylić wyspę z morskim potworem?! Ale teraz wszystko jest jasne i muszę przyznać się do omyłki. Mamy oto przed sobą naturalne zjawisko i nic poza tym.

W miarę jak zbliżamy się, słup wody przybiera imponujące rozmiary. Wysepka do złudzenia przypomina olbrzymiego wieloryba, którego głowa wystaje na dziesięć sążni ponad fale. Na jednym z krańców wysepki dumnie wzbija się gejzer – słowo to Islandczycy wymawiają „*gejsir*”, co oznacza „złość”. Od czasu do czasu rozlega się głośny huk i ogromny wodotrysk, w napadzie coraz większego gniewu, potrząsa swoim pióropuszem z pary, sięgającym aż po najniższe warstwy obłoków. Jest całkowicie samotny. Nie otaczają go ani gazy wulkaniczne, ani gorące źródła, i cała potęga podziemnych sił skupia się tylko w nim. Promienie elektrycznego światła łączą się z tym olśniewającym snopem, a każda jego kropla mieni się wszystkimi kolorami tęczy.

– Przybijmy do wyspy, – rozkazuje profesor. Ale trzeba starannie ominąć tę trąbę wodną, która zatopiłaby tratwę w oka mgnieniu. Hans, zgrabnie manewrując, podwozi nas na kraniec wyspy.

Wyskakuję na skałę, wuj zręcznie skacze w ślad za mną, myśliwy zaś pozostaje na swoim posterunku jako ten, któremu obce jest uczucie ciekawości.

Stąpamy po granicy pokrytym martwicą krzemionkową; rozpalony grunt drga pod naszymi stopami jak ściany kotła, w którym kłębi się przegrzana para. Dochodzimy do niewielkiego głównego basenu, z którego wytryskuje gejzer. Zanurzam termometr w prąd wrzącej wody – wskazuje sto sześćdziesiąt trzy stopnie powyżej zera.

A zatem ta woda pochodzi z gorejącego ogniska, co jawnie przeczy teoriom profesora Lidenbrocka! Nie mogę powstrzymać się, żeby nie zwrócić mu na to uwagi.

– Czegóż to dowodzi? Jakiejś rozbieżności z moją hipotezą? – pyta.

– Niczego, absolutnie niczego – mówię oschłym tonem, widząc, że mam do czynienia z nieprzepartym uporem.

Niemniej muszę przyznać, że dotychczas jesteśmy dziwnie uprzywilejowani przez los i że – z

niewyjaśnionej przyczyny – podróż nasza odbywa się w niezwykle sprzyjających warunkach, jeśli chodzi o temperaturę; ale wydaje mi się więcej niż pewne, że nie dziś, to jutro dojdziemy do stref, gdzie wewnętrzne gorąco osiąga maksymalne granice i przekracza skale wszelkich termometrów.

Zobaczmy! To ulubione powiedzonko profesora, który ochrzciwszy wulkaniczną wysepkę moim imieniem, daje znak do odpłynięcia.

Kilka minut podziwiam jeszcze gejzer. Dostrzegam, że fontanna bije nierówno, niekiedy siła wytrysku jest słabsza, po chwili wzmacnia się na nowo, co zapewne przypisać należy zmianom ciśnienia par nagromadzonych w naturalnym zbiorniku.

Wreszcie odbijamy i okrążamy niezwykle urwiste skały na południowym brzegu wyspy. Hans skorzystał z przerwy w podróży i doprowadził tratwę do porządku.

Przed wyruszeniem w drogę przeprowadzam kilka obserwacji celem obliczenia przebytej odległości i notuję te dane w dzienniku. Od Portu Grety dzieli nas już dwieście siedemdziesiąt mil i znajdujemy się obecnie pod Anglią, o sześćset dwadzieścia mil od Islandii.

*Piątek, 21 sierpnia.* Nazajutrz wspaniały gejzer zniknął z pola widzenia. Wiatr, nieco chłodniejszy, szybko oddalił nas od Wyspy Aksela. Stopniowo szum wodotrysku ucichł.

Zanosi się na zmianę pogody – jeśli to można nazwać pogodą. Atmosfera nasycona jest oparami, które wchłaniają w siebie elektryczność; chmury wyraźnie obniżają się i nabierają jednolitego, ołowianego zabarwienia; promienie elektryczne ledwie mogą przebić tę ciemną zasłonę, opuszczoną na scenę, gdzie rozegra się niebawem dramat burzy.

Nurtuje mnie dziwny niepokój, jaki odczuwa każde stworzenie wobec zbliżającego się kataklizmu. Chmury o kulistym kształcie, zgrupowane na południu, przedstawiają ponury widok; mają ów „nieubłagany” wygląd, który nieraz obserwowałem tuż przed burzą. Powietrze jest ciężkie, morze spokojne.

Z oddalenia chmury przypominają wielkie bele bawełny nagromadzone w artystycznym nieładzie; powoli wydymają się, zyskując na wielkości kosztem ilości; są tak ciężkie, że nie mogą oderwać się od horyzontu; ale pod wpływem górnych prądów topnieją stopniowo, nabierają ciemnego zabarwienia i wkrótce tworzą jednolitą warstwę o groźnym wyglądzie; niekiedy kłębek oparów, jeszcze rozświetlony, odbija się od tego szarawego kobierca, lecz niebawem i on zlewa się z mroczną masą.

Widocznie powietrze nasycają fluidy elektryczne, a ja sam jestem nimi także przesiąknięty; włosy jeżą mi się na głowie jak przy zetknięciu z maszyną elektryczną? Odnoszę wrażenie, że gdyby towarzysze moi dotknęli mnie w tej chwili, odczuliby gwałtowny wstrząs.

O dziesiątej rano niepokojące objawy występują jeszcze wyraźniej, rzekłbyś, iż wiatr uspokaja się, by nabrać oddechu; pułap chmur przypomina ogromny worek, w którym gromadzą się huragany.

Nie chcę za nic wierzyć w te groźby nieba, ale nie mogę się powstrzymać i oświadczam:

– Stanowczo psuje się pogoda.

Profesor milczy uparcie. Jest w okropnym humorze na widok oceanu ciągnącego się w nieskończoność. W odpowiedzi na moje słowa wzrusza tylko ramionami.

.- Zbiera się na burzę – powtarzam wyciągając rękę w stronę horyzontu. – Te chmury zniżają się ku morzu, jakby je miały zmiażdżyć.

Niczym nie zmacona cisza. Wiatr uspokaja się. Przyroda jest jakby martwa, nie oddycha wcale. Na szczycie masztu ukazują się już lekkie błyski, zwane ogniami świętego Elma, a luźny żagiel zwisa w ciężkich fałdach. Tratwa stoi nieruchomo na morzu ociężałym i cichym.

Skoro nie posuwamy się wcale, po co nam ta płachta, która może stać się przyczyną naszej zguby przy pierwszym natarciu burzy?

– Dla bezpieczeństwa spuścimy żagiel – proponuję.

– Nie, do diabła! – protestuje wuj. – Stanowczo nie! Niech nas wiatr porwie. Niech pędzi nas burza! Byle ujrzeć wreszcie skały nadbrzeżne, chociażby nasza tratwa miała rozbić się o nie w drobne kawałki!

Nie zdążył dokończyć tych słów, a już widnokrąg od strony południowej zmienił niespodzianie wygląd, nagromadzone opary zamieniają się w wodę, a w powietrzu zrywa się huragan. Nadlatuje z odległych krańców pieczary. Jest coraz ciemniej. Ledwie mogę zanotować kilka urywkowych zdań.

Tratwa unosi się, chybczę. Wuj przewraca się jak długi. Uczepił się kurczowo kawałka masztu i – rzekłbyś – z przyjemnością obserwuje rozpiętane żywioły. Hans nie porusza się wcale. Długie kosmyki jego włosów, odgarniane przez huragan, a potem znów zarzucone na twarz, nadają dziwny wygląd jego kamiennemu obliczu, każdy włos bowiem jeży się małymi, świetlistymi iskierkami. Ta przerażająca maska mogłaby śmiało należeć do pradawnego człowieka, żyjącego w tym samym czasie, co mamuty.

Jednakże maszt wytrzymuje napór burzy. Żagiel napręża się niczym bańka mydlana, która pryśnie lada chwila. Tratwa sunie z szybkością trudną do określenia, nie tak prędko jednak jak krople wody przez nią wyparte, mknące wyraźnymi, prostolinijnymi torami.

– Żagiel! Żagiel! – krzyczę i pokazuję ręką, że trzeba go opuścić.

– Nie! – upiera się wuj.

– *Nej* – mówi Hans i zaprzecza powolnym ruchem głowy.

Tymczasem nad horyzontem, ku któremu pędzimy jak opętani, ulewa tworzy ogłuszającą kataraktę. Ale zanim doleciała do nas, rozdziera się zasłona chmur, morze kłębi się i pieni i zaczyna działać elektryczność wytworzona w wyższych warstwach; wśród trzasku grzmotów krzyżują się tysiączne błyski, masa oparów rozgrzewa się, rześiste krople, uderzając o metal naszych narzędzi i broni, świecą w mroku; spiętrzone fale przypominają rozświetlone pagórki, pod którymi żarzy się wewnętrzny ogień, a każdy grzbiet ozdobiony jest grzebieniem płomienia.

Oczy moje oslepia intensywne światło, uszy ogłusza huk piorunów, muszę trzymać się masztu, który gnie się niby trzcina pod gwałtownym naporem huraganu.

.....

Odtąd moje notatki podrózne są niekompletne. Odnalazłem tylko kilka dorywczych uwag zapisanych – że się tak wyrażę – odruchowo. Jednak – jakkolwiek niejasne i lakoniczne – są odbiciem ówczesnego mego nastroju i znacznie lepiej aniżeli moja pamięć oddają groźbę sytuacji.

.....

*Niedziela, 23 sierpnia.* Gdzie jesteśmy? Pędzimy z niebywałą szybkością.

Przeżyliśmy straszną noc. Burza nie cichnie. Żyjemy wśród ustawicznego hałasu, uszy nasze krwawią. Nie sposób zamienić ani jednego słowa.

Błyskawice nie ustają. Widzę powrotne zygzaki, które po szybkim uderzeniu wracają z dołu do góry i uderzają w granitowe sklepienie. A gdyby się tak zawaliło?! Inne błyskawice rozgałęziają się lub przybierają kształt ognistych kul, które wybuchają jak bomby. Wydaje się, że przez to ogólny hałas nie wzmacnia się – i tak bowiem przekroczył granice intensywności, jaką ucho ludzkie jest w stanie uchwycić, i gdyby nawet wszystkie prochownie świata wyleciały naraz w powietrze, nie usłyszelibyśmy już nic więcej.

Na powierzchni obłoków odbywają się ciągłe wyładowania elektryczne; niezliczone strumienie wody spływają z góry i spadają pieniać się obficie.

Dokąd płyniemy? Wuj leży rozciągnięty na brzegu tratwy. Upał wzrasta. Spoglądam na termometr, wskazuje... (Cyfra zatarła się).

*Poniedziałek, 24 sierpnia.* To się nigdy nie skończy! Być może stan tej gęstej atmosfery, skoro raz się zmienił, pozostanie już taki na zawsze.

Jesteśmy wyczerpani do ostateczności. Hans zachowuje się jak zwykle. Tratwa pędzi niezmiennie ku południowemu wschodowi.

Jesteśmy oddaleni o przeszło dwieście mil od Wyspy Aksela.

W południe huragan przybiera na sile; musimy przymocować solidnie cały nasz ładunek i sami przywiążemy się także do tratwy. Fale przelewają się przez nas.

Od trzech dni nie możemy zamienić słowa. Otwieramy usta, poruszamy wargami, lecz nie słychać ani jednego dźwięku. Nawet kiedy mówimy sobie coś do ucha, nie można nic zrozumieć.

Wuj przysunął się do mnie. Wymówił kilka słów. Zdaje się, że powiedział: „Jesteśmy zgubieni”, ale nie jestem pewien.

Postanawiam napisać mu te dwa słowa: „Zwińmy żagiel!” Wyraził zgodę ruchem głowy. Nie zdążył jeszcze jej, podnieść, gdy nagle na krawędzi tratwy zjawiła się ognista kula. Maszt i żagiel zostały zerwane i uniosły się razem na wielką wysokość niby *Pterodactylus*, ów przedziwny latający gad odległych epok. Zamieramy z przerażenia; kula – częściowo biała, częściowo błękitna, wielkości dziesięciocalowej bomby – wędruje wolno, wirując ze zdumiewającą szybkością pod wpływem huraganu. Posuwa się to tu, to tam, wspina na obramowanie tratwy, wskakuje na worek z zapasami żywności, schodzi z niego leciutko, podskakuje, muska skrzynkę z prochem. O zgrozo! Za chwilę wylecimy w powietrze! Nie! Lśniąca kula oddała się, zbliża do Hansa, który patrzy na nią jak urzeczony, potem do wuja, który rzuca się na kolana, by się od niej odsunąć, wreszcie do mnie;

bledną i drzę od jej blasku i żaru, a kula lawiruje koło mojej nogi – usiłuję cofnąć ją, ale bezskutecznie.

Dlaczego nie mogę cofnąć nogi? Czyżby przywarła do tratwy? Aha! Kula elektryczna namagnesowała całe żelazo na pokładzie: przyrządy, narzędzia, broń. Wszystko to miota się uderzając o siebie nawzajem z przenikliwym brzękiem, a gwoździe w moich butach przylgnęły mocno do żelaznej płytki, przytwierdzonej do drzewa. Nie mogę cofnąć nogi!

Wreszcie gwałtownym szarpnięciem odrywam stopę, w momencie kiedy kula pochwycić ją miała w swój wirowy ruch... Ach, cóż za intensywny blask! Kula pęka! Okrywają nas języki płomieni! Po czym wszystko gaśnie.

Zdażyłem zobaczyć, że wuj leży na tratwie; Hans wciąż tkwi przy sterze i „pluje ogniem” pod wpływem przenikającej go elektryczności.

Gdzie zapędzi nas los?

*Wtorek, 25 sierpnia.* Odzyskuję przytomność po długim omdleniu. Burza trwa, błyskawice szaleją niby kłębowisko węzów wypuszczonych w przestworza.

Czy wciąż jeszcze, jesteśmy na morzu?

Tak – i w dodatku unoszeni z nieobliczalną szybkością. Przepłynęliśmy pod Anglią, pod kanałem La Manche, pod Francją, może pod całą Europą!

Rozlega się jakiś inny, nowy odgłos! Widocznie morze rozbija się o skały. A więc...



W tym miejscu kończą się zapiski, nazwane przeze mnie „dziennikiem okrętowym”, które szczęśliwie ocalały w czasie rozbicia tratwy.

Nie potrafię opisać, co zaszło w chwili, kiedy tratwa uderzyła o nadbrzeżne skały. Czułem, że wpadam do morza, i jeśli uniknąłem śmierci, jeśli ostre głązy nie poszarpały mego ciała, zawdzięczam – to jedynie silnym ramionom Hansa, który wydobył mnie z otnętów.

Dzielny Islandczyk przeniósł mnie na bezpieczne miejsce poza zasięg fal i położył na rozgrzanym piasku obok wuja.

Potem powrócił ku skałom, o które uderzały wzburzone fale, chcąc uratować coś niecoś z ładunku oraz szczątki tratwy. Nie mogłem mówić, byłem wyczerpany ostatnimi przeżyciami i straszliwie osłabiony; potrzebowałem co najmniej godziny, by powrócić do równowagi.

Tymczasem wciąż jeszcze trwała – ulewa, ale lało ze wzmożoną siłą, co zapowiada zazwyczaj koniec burzy. Kilka bloków skalnych, ułożonych jeden na drugim, zapewniło nam schronienie przed potokami deszczu. Hans przygotował coś do jedzenia, ale nie mogłem nic przełknąć i każdy z nas, ledwie żywy po trzech nie przespanych nocach, zapadł w ciężki sen.

Nazajutrz pogoda była wspaniała. I niebo, i morze uspokoiły się jakby za obopólną zgodą. Po burzy nie pozostało nawet śladu. Ledwie otworzyłem oczy, przywitały mnie wesołe słowa profesora.

– No, jak tam, kochany chłopcze?! – zawołał. – Czy dobrze spałeś?

Brzmiało to zupełnie tak, jakbyśmy byli w naszym domku na Königsstrasse, jakbym schodził spokojnie na śniadanie i jeszcze tegoż dnia miał poślubić moją ukochaną Gretę.

Niestety! Gdyby burza rzuciła tratwę bodaj odrobinę bardziej na wschód, bylibyśmy przepłynęli pod Niemcami, pod kochanym moim Hamburgiem, pod ulicą, gdzie znajdowało się wszystko, co było mi najdroższe na świecie i od czego dzieliłoby mnie zaledwie czterdzieści mil. Tak, ale czterdzieści mil w linii pionowej, czterdzieści mil granitowego muru, a w rzeczywistości przeszło tysiąc mil do przebycia!

Zanim odpowiedziałem na pytanie wuja, wszystkie te smutne myśli przeleciały mi przez głowę.

– Co znowu? Nie chcesz mi powiedzieć, czy dobrze spałeś? – powtórzył pytanie profesor.

– Bardzo dobrze – odpowiedziałem. – Jestem jeszcze cokolwiek rozbity, ale to nic groźnego.

– Oczywiście! Trochę zmęczenia, nic więcej.

– Za to wuj jest wesoły jak szczygieł dzisiejszego ranka.

– Tak, jestem zachwycony. Nareszcie dojechaliśmy!

– Jak to? Do kresu naszej podróży?

– Nie, do końca tego morza, które ciągnęło się w nieskończoność. Teraz będziemy się znowu posuwali trasą podziemną i rzeczywiście zagłębimy się w łonie Ziemi.

– Niech wuj pozwoli, że mu zadam pewne pytanie.

– Słucham, Akselu.

– A jak będzie z drogą powrotną?

– Powrót? Ach, myślisz już o powrocie, kiedy jeszcze nie doszliśmy do celu podróży?

– Chciałbym tylko wiedzieć, w jaki sposób go zrealizujemy.

– Najprościej w świecie. Kiedy wreszcie osiągniemy wewnątrz kuli ziemskiej, wówczas wynajdziemy inną drogę, by wspiąć się na jej powierzchnię, albo wrócimy sobie po filistersku tą samą już utartą trasą. Sądzę, że nie zamknieła się za nami.

– W takim razie trzeba doprowadzić tratwę do porządku.

– Bezwarunkowo.

– Ale czy starczy nam żywności dla dokonania wszystkich tych wielkich zamierzeń?

– Tak, z pewnością. Hans to niesłychanie zręczny człowiek i jestem przeświadczony, że uratował większą część ładunku. Zresztą możemy się co do tego upewnić.

Opuściliśmy otwarte ze wszystkich stron wgłębienie w skale. Żywiłem pewną nadzieję, a zarazem wydawało mi się niemożliwe, by podczas tego straszliwego uderzenia tratwy o skały mogło cokolwiek ocaleć. Myliłem się jednak. Gdy doszliśmy na brzeg, ujrzałem, że Hans uwija się pośród mnóstwa przedmiotów ułożonych w największym porządku. Wuj uściśnął mu dłoń w dowód gorącej wdzięczności. Ten oddany nam człowiek, zdolny do nadludzkich, naprawdę bezprzykładnych poświęceń, pracował, w czasie gdyśmy spali, i uratował najcenniejsze przedmioty z narażeniem życia.

Nie obeszło się jednak bez dość znacznych strat: przepadła nam na przykład cała broń. Ale ostatecznie można było się bez niej obejść. Zapas prochu był nietknięty, chociaż mało brakowało, a byłby eksplodował w czasie burzy.

– Trudno – rzekł profesor. – Skoro nie ma strzelb, nie będziemy polować, i tyle!

– No dobrze, a przyrządy?

– Oto manometr, najbardziej nam potrzebny, za który bym oddał wszystkie inne instrumenty. Dzięki niemu mogę obliczyć głębokość i będę wiedział, kiedy osiągniemy wewnątrz Ziemi. Bez manometru moglibyśmy się narazić na przykrą niespodziankę: dotrzeć za daleko i wyjść po przeciwnej stronie

kuli ziemskiej.

To był doprawdy wisielczy humor!

– A busola? – spytałem.

– Proszę, leży tutaj na skale w doskonałym stanie, podobnie jak chronometr i termometry. Ach, ten nasz myśliwy to naprawdę nieoceniony człowiek!

Trzeba było się z tym pogodzić, że wszystkie przyrządy ocalały. Jeśli chodzi o narzędzia i sprzęty, zauważyłem, że na piasku nadbrzeżnym leżały drabinki, liny, oskardy, motyki i tak dalej.

Pozostała do wyjaśnienia tylko sprawa zapasów.

– A żywność? – spytałem.

– Zaraz sprawdzimy – odparł wuj.

Skrzynki zawierające prowiant stały szeregiem na brzegu, w doskonałym stanie; morze oszczędziło większość z nich i w rezultacie zapasów – w postaci sucharów, solonego mięsa, suszonych ryb oraz jałowcówki – powinno było starczyć na cztery miesiące.

– Cztery miesiące! – zawołał profesor. – Przez ten czas zdążymy pójść i wrócić, a z tego, co zostanie, wydam jeszcze wielki bankiet dla wszystkich moich kolegów z Johanneum!

Powinienem był przyzwyczać się do temperamentu wuja, a jednak ten człowiek stale budził we mnie podziw.

– Teraz – rzekł – musimy uzupełnić zapas słodkiej wody. Naczerpiemy deszczówki, którą burza wypełniła wszystkie zagłębienia w granicie; możemy więc nie obawiać się pragnienia. Polecę także Hansowi, by starannie naprawił tratwę, chociaż sędzę, że nie będzie już nam potrzebna.

– Jak to? – zdziwiłem się.

– Przyszła mi pewna myśl do głowy, mój chłopcze. Mam wrażenie, że nie wyjdziemy tą samą drogą, którą zesłiśmy.

Spojrzałem na profesora z niedowierzaniem; zastanawiałem się, czy jest przy zdrowych zmysłach. A jednak jego słowa miały sprawdzić się w przyszłości!

– Chodźmy na śniadanie – rzekł.

Wydał odpowiednie polecenie myśliwemu, po czym udałem się w ślad za nim na wyniosły cypel. Tam spożyliśmy doskonałe śniadanie składające się z sucharów, suszonego mięsa oraz herbaty i muszę wyznać szczerze, że nigdy żaden posiłek tak mi nie smakował. Głód, świeże powietrze, spokój po tylu przejściach zaostriły mi apetyt.

Podczas śniadania zapytałem wujka, gdzie znajdujemy się w tej chwili.

– Chyba to będzie trudno ustalić – dodałem.

– Istotnie – odpowiedział. – Przez trzy dni w czasie trwania burzy nie mogłem zanotować ani szybkości, ani kierunku, w jakim posuwała się tratwa; możemy jednak określić nasze obecne położenie w przybliżeniu.

– Rzeczywiście, ostatnie obserwacje przeprowadzaliśmy na wyspie z gejzerem...

– Na Wyspie Aksela, mój kochany. Nie uchylaj się od zaszczytu nazywania swoim imieniem pierwszej wyspy odkrytej we wnętrzu Ziemi.

– Zgoda. Gdy dopłynęliśmy do Wyspy Aksela, mieliśmy za sobą mniej więcej dwieście Siedemdziesiąt mil drogi morskiej i znajdowaliśmy się o przeszło sześćset mil od Islandii.

– Dobrze, liczymy więc od tego punktu i dodajmy cztery dni burzy, podczas których szybkość nasza musiała wynosić co najmniej osiemdziesiąt mil na dobę.

– Z pewnością. Zatem należy doliczyć jeszcze trzysta mil.

– Tak jest. A więc Morze Lidenbrocka powinno mieć mniej więcej sześćset mil od jednego brzegu do drugiego. Czy zdajesz sobie sprawę, Akselu, że mogłoby rywalizować co do wielkości – z Morzem Śródziemnym?

– Tak, zwłaszcza jeśli przecięliśmy je wszcz.

– Co jest prawdopodobne!

– Ciekawa rzecz! – dodałem. – Jeżeli nasze obliczenia są ścisłe, mamy właśnie Morze Śródziemne nad sobą.

– Naprawdę?

– Ależ tak, jesteśmy przecież oddaleni o dziewięćset mil od Reykjaviku.

– Kawał drogi, mój kochany! Ale tylko w tym wypadku znajdujemy się pod Morzem Śródziemnym – a nie na przykład pod Turcją czy Atlantykiem – jeżeli kierunek nasz nie uległ zmianie.

– Chyba nie, przecież wiatr był stały; przypuszczam więc, że to wybrzeże leży na południowy wschód od Portu Grety.

– Łatwo się przekonamy sprawdzając, co pokazuje busolę. Spójrzmy więc na busolę!

Profesor skierował się ku skale, na której Hans rozłożył przyrządy. Wuj był wesoły, zwawy, zacierał ręce, przybierał efektowne pozy. Słowem, zachowywał się jak młodzieniaszek. Poszedłem za nim – byłem ciekaw, czy nie myłę się w swoich obliczeniach.

Stanąwszy przy skale, wuj wziął do ręki busolę, umieścił ją poziomo i zaczął obserwować igłę, która drgnęła kilka razy, a potem – pod wpływem przyciągania magnetycznego – przyjęła pozycję stałą.

Wuj spojrział, przetarł oczy i spojrział raz jeszcze. Wreszcie odwrócił się do mnie, zdumiony.

– Co się stało? – spytałem.

Dał mi znak, żebym obejrzał busolę. Z moich ust wyrwał się okrzyk zdziwienia. Koniec igły wskazywał północ tam, gdzie przypuszczaliśmy, że jest południe. Odwrócony był w stronę wybrzeża, zamiast wskazywać pełne morze.

Potrząsnąłem busolą, zbadałem ją dokładnie – była w doskonałym stanie. W jakiegokolwiek pozycji ustawiło się igłę, uparcie wskazywała ten sam – niespodziewany – kierunek.

A więc podczas burzy wiatr zmienił się nagle i zapędził tratwę z powrotem ku wybrzeżu, które pragnęliśmy opuścić.

To nie ulegało wątpliwości.

Nie sposób opisać uczuć, jakie kolejno opanowywały profesora Lidenbrocka, mianowicie jego zdumienia, niedowierzania, wreszcie złości. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby człowiek był do tego stopnia zbity z tropu, a potem wpadł w podobną irytację. Trudy morskiej przeprawy, połączone z nią niebezpieczeństwa – wszystko trzeba było rozpocząć od nowa! Cofnęliśmy się, zamiast posunąć się naprzód!

Ale wuj szybko zapanował nad sytuacją.

– Ach, złośliwy los płata mi szkaradne figle! – zawołał. – Żywioły spiskują przeciwko mnie? Powietrze, ogień i woda chcą wspólnym wysiłkiem uniemożliwić mi przejście? A więc zobacz, czego potrafi dokonać moja wola! Nie ustąpię, nie cofnę się ani na krok i przekonamy się, kto weźmie górę – człowiek czy przyroda!

Stojąc na skale, groźny, uniesiony gniewem, Otto Lidenbrock, niczym srogi Ajaks\*, wyzywał, zda się, bogów! W tym miejscu jednak uważałem za stosowne wtrącić się i powstrzymać tęp wybuch.

– Proszę mnie wysłuchać – rzekłem stanowczym tonem. – Wszelkie ambicje mają swoje granice i nie należy walczyć o rzeczy niemożliwe. Jesteśmy niedostatecznie wyekwipowani na podróż morską, nie można kusić się o przebycie pięciuset mil na pomoście zbitym z byle jakich kłoców, z kocem zamiast żagla, z drągiem zamiast masztu i stawiać czoło rozpętanym żywiołom! Nie możemy sterować, jesteśmy igraszką burz i trzeba być szaleńcem, by raz jeszcze ryzykować podobnie niebezpieczną przeprawę!

Mogłem przez dziesięć minut rozwijać swobodnie całą serię niezbitych argumentów, ale zawdzięczałem to jedynie nieuwadze profesora, który nie słyszał ani jednego słowa z moich Wywodów.

– Na tratwę! – krzyknął.

Tak brzmiała jego odpowiedź! Mogłem tłumaczyć, błagać, wpadać w gniew – natrafiłem na wolę twardszą od granitu.

Tymczasem Hans kończył właśnie naprawę tratwy. Zdawałoby się, że ten przedziwny człowiek zgadywał po prostu myśli wuja. Wzmocnił nasz statek kilkoma kawałkami skamieniałego drzewa. Już wznosił się na nim żagiel i wiatr łopotał w jego luźnych fałdach.

Profesor powiedział kilka słów przewodnikowi i ten zaczął natychmiast ładować bagaże i przygotowywać wszystko do odpłynięcia. Powietrze było dość przejrzyste i utrzymywał się stały wiatr z północnego zachodu.

Co mi pozostawało? Walczyć samemu przeciwko dwu ludziom? Było to niemożliwe. Gdyby przynajmniej Hans trzymał moją stronę! Ale nie! Zdawało się, że Islandczyk wyrzekł się całkowicie własnej woli i zaparł się siebie. Nie mogłem nic wskórać u tego sługi tak bezgranicznie oddanego

swemu panu. Chcąc nie chcąc, trzeba było puścić się w drogę.

Miałem właśnie zająć na tratwie zwykle swoje miejsce, gdy nagle wuj wstrzymał mnie ruchem ręki.

– Odplyniemy dopiero jutro – rzekł.

Wykonałem gest człowieka, który godzi się na wszystko.

– Nie wolno mi zaniedbać niczego – dodał profesor. – Skoro los rzucił mnie na tę część wybrzeża, nie opuszczę jej, zanim nie zbadam tu wszystkiego.

Ta uwaga nie powinna budzić wątpliwości, z chwilą gdy sobie uprzytomnimy, że wróciliśmy wprawdzie na wybrzeże północne, lecz bynajmniej nie na to samo miejsce, skąd wyruszyliśmy. Port Grety położony był zapewne bardziej na wschód. Toteż decyzja, by zbadać starannie okolice tego nieznanego odcinka wybrzeża, była ze wszech miar słuszna.

– Naprzód więc! Ku nowym odkryciom! – zawołałem.

Zostawiliśmy Hansa przy jego zajęciach i ruszyliśmy w drogę. Przestrzeń między linią fal a podnóżem skał była dość rozległa; trzeba było iść pół godziny, żeby dotrzeć do granitowych ścian. Stopy nasze miażdżyły niezliczoną ilość muszli różnych kształtów i wielkości, które służyły ongiś za mieszkania skorupiakom z najwcześniejszych epok – Zauważyłem również olbrzymie pancerze – średnica ich przekraczała nieraz piętnaście stóp. Należały do gigantycznych glyptodonów z epoki plioceńskiej; współczesny żółw jest tylko miniaturową ich imitacją. Poza tym brzeg był usiany wielką ilością odłamków, rodzajem kamyków otoczonych przez fale i ułożonych w równoległe szeregi. Wywnioskowałem z tego, że tę przestrzeń niegdyś zajmowało morze. Na rozrzuconych tu i ówdzie skałach – obecnie poza zasięgiem wód – fale pozostawiły widome ślady swego przejścia.

Mogło to w pewnym stopniu wyjaśnić zagadkę, skąd tutaj, czterdzieści mil w głębi Ziemi, znalazł się ten ocean. Według mego mniemania ta masa wody zaginie z czasem w łonie Ziemi, wywodziła zaś swój początek prawdopodobnie z wód istniejących na powierzchni, które utorowały sobie drogę przez jakąś szczelinę. Jednakże należało przypuszczać, że szczelina ta nie istnieje obecnie, gdyż w przeciwnym razie cała ta pieczara, a raczej olbrzymi zbiornik zapełniłby się w stosunkowo krótkim czasie. Być może, woda pod działaniem podziemnego żaru ulotniła się częściowo. To wyjaśniałoby istnienie wiszących nad nami chmur.

W moim pojęciu ta teoria dostatecznie tłumaczyła zjawiska, jakich byliśmy świadkami. Największe cuda przyrody można zawsze wyjaśnić przyczynami natury fizycznej.

Wędrowaliśmy tak milę wzdłuż brzegu Morza Lidenbrocka, a profesor oglądał uważnie każdą rozpadlinę skalną. Czuł się w obowiązku zbadać głębokość każdego napotkanego otworu.

Nagle zmienił się wygląd terenu, który wydawał się wstrząśnięty, pokurczony przez gwałtowne wydźwignięcie się dolnych warstw. W wielu miejscach zagłębienia czy wypukłości świadczyły o potężnych przesunięciach w masywie ziemskim.

Posuwaliśmy się z trudem po tych załamaniach z granitu, pomieszanego z krzemieniem, kwarcem i osadami napływowymi, gdy nagle pole, a właściwie rozległa równina zasłana szczątkami i kośćmi ukazała się naszym oczom. Rzekłbyś, ogromne cmentarzysko, gdzie w ciągu wieków gromadziły się prochy niezliczonych pokoleń.

W oddali piętrzyły się wysokie stosy szczątków. Tworzyły falistą linię hen, aż do krańców horyzontu, i ginęły w rozplywającej się mgle. Tu – mniej więcej na trzech milach kwadratowych – skupiała się cała historia świata zwierzęcego, ledwo naszkicowana na zbyt świeżych jeszcze, zamieszkałych obszarach Ziemi. Tymczasem pchała nas naprzód nienasycona ciekawość. Stopy nasze miażdżyły z suchym trzaskiem te pozostałości pradawnych zwierząt, te kości kopalne, których rzadkie i ciekawe szczątki wrywają sobie nawzajem muzea wielkich miast. Nawet tysiadczy zastęp Cuvierów nie zdołałby zrekonstruować szkieletów istot organicznych spoczywających w tej wspaniałej zbiorowej mogile.

Nie posiadałem się ze zdumienia. Wuj wznosił swoje długie ramiona ku masywnemu sklepieniu, które zastępowało nam niebo. Jego usta szeroko otwarte, oczy ciskające błyskawice zza szkieł okularów, głowa poruszająca się z góry na dół i od lewej strony do prawej, cała jego postawa wreszcie wyrażała bezgraniczne zdumienie. Miał oto przed sobą bezcenną kolekcję kości takich zwierząt, jak *Leptotherium*, *Mericotherium*, mastodontów, *Protopithecus*, *Pterodactylus*, słowem, wszystkich potworów dawnych epok nagromadzonych tu gwoli jego osobistej satysfakcji.

Proszę sobie wyobrazić zapalonego bibliofila, który by został przeniesiony nagle do słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej spalonej przez Omara, cudem jakimś odrodzonej z popiołów. Podobnie czuł się profesor Lidenbrock.

Ale jeszcze większy ogarnął go podziw, gdy biegnąc przez wulkaniczny pył, znalazł w nim nagle czaszkę.

– Akselu! Akselu! – zawołał dygocącym głosem. – Ludzka czaszka.

– Ludzka czaszka! – powtórzyłem nie mniej zdziwiony; niż on.

– Tak jest, kochany siostrzeńcze! Ach, panie Milne-Edwards! Ach, panie de Quatrefages! Dlaczego nie ma was tutaj, gdzie ja teraz jestem, ja, Otto Lidenbrock!



Ażeby zrozumieć to wezwanie, skierowane przez wuja do znakomitych francuskich uczonych, trzeba wiedzieć, iż na krótko przed naszym wyjazdem zaszedł pewien niesłychanie ważny fakt z dziedziny paleontologii.

28 marca 1863 roku robotnicy zatrudnieni przy pracach wykopaliskowych prowadzonych pod kierunkiem profesora Boucher de Perthes, w kamieniołomach Moulin-Quignon koło Abbeville we Francji, znaleźli czternaście stóp pod powierzchnią Ziemi szczękę ludzką. Był to pierwszy tego rodzaju szczątek kopalny wydobyty na światło dzienne. Obok natrafiono na kamienne siekierki i zaostrzone krzemienie, pokryte patyną wieków.

Odkrycie to nabrało wielkiego rozgłosu nie tylko we Francji, ale również w Anglii i w Niemczech. Kilku uczonych z Instytutu Francuskiego, między innymi Milne-Edwards i de Quatrefages, żywo zajęli się tą sprawą, udowodnili bezsporną autentyczność znalezionej kości i stali się najbardziej żarliwymi jej obrońcami w „procesie szczęki”, jak spór ten nazwali Anglicy.

Do geologów Zjednoczonego Królestwa – Falconera, Buska, Carpentera i innych – którzy uznali fakt ten za niewątpliwy, przyłączyli się uczeni niemieccy, a wśród nich w pierwszym rzędzie mój wuj, Otto Lidenbrock, najbardziej zapalony, największy entuzjasta ze wszystkich.

Zdawało się więc, że autentyczność szczątków człowieka kopalnego z zarania czwartorzędu jest niezbitnie udowodniona i uznana za pewnik.

Co prawda ów system miał zacieklego przeciwnika w osobie Eliasza de Beaumont. Ten uczonego o wielkim autorytecie twierdził, że teren koło Moulin-Quignon nie należał do tak wczesnej epoki, lecz do pokładów późniejszych, i wraz z Cuvierem odrzucał hipotezę, jakoby rodzaj ludzki był współczesny ze zwierzętami żyjącymi na początku czwartorzędu. Wuj Lidenbrock wespół z większością geologów uparcie bronił swojej tezy, prowadził polemiki oraz dyskusje i w rezultacie Eliasza de Beaumont pozostał odosobniony w swoich poglądach.

Znaliśmy dobrze wszystkie te szczegóły, lecz nie wiedzieliśmy, że od czasu naszego wyjazdu sprawa posunęła się naprzód. Znalaziono mianowicie inne identyczne szczęki, choć należące do osobników różnych typów i ras, w pulchnych ziemiach niektórych grot we Francji, Szwajcarii, Belgii, gdzie natrafiono również na broń, sprzęty, narzędzia, a także na inne kości dzieci, młodzieńców, mężczyzn i starców. Zatem hipoteza o istnieniu człowieka na progu czwartorzędu potwierdzała się z każdym dniem.

Nie na tym koniec. Nowe szczątki kopalne wydobyte z pokładów należących do trzeciorzędu pozwoliły uczonym wyciągnąć jeszcze śmielsze wnioski i twierdzić, że rasa ludzka istniała w bardzo odległych czasach. Wprawdzie szczątki te nie były kośćmi człowieka, jedynie przedmiotami przez niego wytworzonymi, jak na przykład golenie i kości udowe zwierząt kopalnych regularnie poucinane, jak gdyby prymitywnie rzeźbione, a zatem noszące ślady ludzkich rąk.

Za jednym zamachem człowiek wspiął się więc po drabinie czasu, przeskakując nieraz wiele

szczelbli wieków; żył jednocześnie z *Elephas meridionalis*, a może nawet z ostatnimi mastodontami, istniał miliony lat temu.

Taki – etap rozwoju osiągnęła naówczas wiedza paleontologiczna, a to, co wiedzieliśmy z tej dziedziny, usprawiedliwiało dostatecznie naszą postawę wobec cmentarzyska nad Morzem Lidenbrocka. Łatwo też pojąć zdumienie i radość wuja, gdy o dwadzieścia kroków dalej zetknął się – śmiało powiedzieć można twarzą w twarz – z okazem człowieka z początków czwartorzędowego okresu.

Były to zwłoki ludzkie bardzo łatwe do rozpoznania. Nie umiem powiedzieć, dlaczego tak dobrze zakonserwowały się w ciągu wieków; może należało to przypisać szczególnym właściwościom gleby, jak to ma miejsce na cmentarzu Świętego Michała w Bordeaux. Zwłoki ukazały się naszym oczom nieomal w takim stanie, w jakim były za życia; pergaminowa skóra była: naciągnięta, ciało – przynajmniej na oko – jeszcze miękkie, zęby nienaruszone, uwłosienie obfite, paznokcie u rąk i nóg przerażającej długości.

Stałem oniemiały wobec tej zjawy z innej epoki. Wuj, zazwyczaj wymowny, posiadający wielki ferwor krasomówczy, milczał także. Podnieśliśmy leżące ciało. Ustawiliśmy je przed sobą. Patrzył na nas zapadłymi oczodołami gdy dotykaliśmy jego torsu.

Po kilku minutach milczenia profesor wziął górę nad opiekunem. Ottona Lidenbrocka poniósł wrodzony temperament, zapomniał, w jakich okolicznościach odbywała się nasza podróż, w jakim znajdujemy się otoczeniu, zapomniał, że przebywamy w kolosalnej pieczarze. Zapewne wyobrażał sobie, że jest w Johanneum, że wygłasza prelekcję w obecności studentów, gdyż przybrał mentorski ton i zwracając się do urojonych słuchaczy rzekł:

– Panowie, mam zaszczyt przedstawić wam człowieka z zarania czwartorzędu. Wielcy uczeni przeczyli jego istnieniu, inni, niemniej sławni, potwierdzali je. Gdyby tu byli ci niewierni Tomasz paleontologii, dotknęliby go palcem i byłiby zmuszeni uznać swój błąd. Wiem dobrze, że nauka musi mieć się na baczności wobec tego rodzaju odkryć. Zdaję sobie sprawę, jak wykorzystał człowieka kopalnego Barnum i inni szarlatani tego samego pokroju. Znam historię szepki Ajaksa, rzekomego ciała Orestesa odnalezionego przez Spartan, jak również historię ciała Asteriusza, długości dziesięciu łokci, o którym wspomina Pauzaniusz. Czytałem sprawozdanie o szkielecie odkrytym w XIV wieku przez Trapaniego, w którym rozpoznano jakoby Polifema, a także historię olbrzyma wykopanego w XVI wieku w okolicach Palermo. Znam równie dobrze jak ja, panowie, badania przeprowadzone pod Lucerną w 1557 roku, analizę owych wielkich kości, o których sławny Feliks Plater twierdził, że należą do olbrzyma liczącego dziewiętnaście stóp. Przeczytałem jednym tchem rozprawy Cassaniona oraz wszystkie pamiętniki, referaty i koreferaty na temat szkieletu króla Cymbrów Teutobochusa, zdobywcy Galii, ekshumowanego z pokładów piasku w Delfinacie w 1613 roku. W XVIII wieku byłbym spierał się z Piotrem Campet o istnienie preadamitów Scheuchzera. Miałem w ręku skrypt pod tytułem „Gigans...”

Tu wystąpiła przyrodzona wada wymowy wuja, który nie potrafił wypowiedzieć publicznie trudniejszych słów.

– Skrypt pod tytułem „Gigans...” – powtórzył. Nie mógł wykrztusić nic więcej.

– „Giganteo...”

Nic z tego! Nieszczęsne słowo nie chciało przejść przez jego usta. Ach, jakby się wszyscy śmieli w Johanneum!

– „Gigantosteologia” – skończył wreszcie profesor Lidenbrock opatrując to słowo dwoma przekleństwami.

Po czym zaczął mówić dalej, zapalając się coraz bardziej:

– Tak, panowie, znam dobrze to wszystko! Wiem także, że Cuvier i Blumenbach uznali te kości za zwykłe szczątki mamutów i innych zwierząt pierwszej epoki czwartorzędu. Ale w tym wypadku jakiegokolwiek wątpliwości byłyby zniewagą wyrządzoną wiedzy! Ciało jest tu, przed nami! Możecie je zobaczyć, możecie go dotknąć. To nie szkielet, to nienaruszone ciało, zachowane jedynie w celach antropologicznych!

Wolałem nie zaprzeczać temu twierdzeniu.

– Gdybym je mógł obmyć roztworem kwasu solnego – dodał wuj – oczyściłbym je z ziemi i ze wszystkich tych błyszczących muszli, które do niego przywarły. Niestety, nie posiadam tego cennego rozpuszczalnika. Ale nawet w tym stanie, w jakim jest obecnie, ciało to opowie nam samo swoje dzieje.

W tym momencie profesor ujął człowieka kopalnego i zaczął nim manewrować ze zręcznością właściciela panoptikum.

– Możecie sami się przekonać, że nie ma sześciu stóp wysokości i daleko mu do rzekomych olbrzymów. Jeśli chodzi o rasę, do której należy, jest to stanowczo rasa biała, słowem, nasza rasa! Czaszka tego człowieka kopalnego jest wyraźnie jajowata, kości policzkowe nie są specjalnie rozwinięte ani szczęki wysunięte ku przodowi. Nie ma żadnych właściwości prognatycznych zmieniających kąt twarzowy\*. Proszę zmierzyć ten kąt, ma prawie dziewięćdziesiąt stopni. Posunę się jeszcze dalej na drodze dedukcji i ośmielę się twierdzić, że ten okaz ludzki należy do rodziny jafetyckiej, rozpowszechnionej na obszarach ciągnących się od Indii aż do granic Europy zachodniej. Proszę się nie uśmiechać, panowie.

Nikt się nie uśmiechał, ale profesor przyzwyczajony był widzieć rozpromienione twarze podczas swoich uczonych wywodów.

– Tak – ciągnął dalej z rosnącym ożywieniem – jest to człowiek kopalny, współczesny mastodontom, których kości zaścielają to amfiteatralne cmentarzysko. Ale nie umiem powiedzieć wam, jaką drogą się tu dostał, w jaki sposób te pokłady, w których był pogrzebany, obsunęły się aż do tej ogromnej pieczary we wnętrzu Ziemi. Zapewne pod koniec trzeciorzędu zachodziły jeszcze jakieś poważne zaburzenia w skorupie ziemskiej: bezustanne stygnięcie naszego globu powodowało pęknięcia szczeliny i rozpadliny, w które prawdopodobnie zapadała się część warstw górnych. Nie wypowiadam się w tej sprawie, ale przecież ten człowiek jest tutaj, otoczony wytworami swoich rąk – siekierkami i zaostrzonymi krzemieniami, które są tak znamienne dla wieku kamiennego. Jeżeli nie

przyszedł tutaj podobnie jak ja – w charakterze turysty czy pioniera wiedzy, niemogę wątpić w autentyczność jego pochodzenia, sięgającego zamierzchłych czasów.

Profesor zamilkł, a ja nagrodziłem go hucznymi oklaskami. Zresztą miał rację i nawet ludzie bardziej wykształceni aniżeli jego siostrzeniec mieliby nie lada trudności, chcąc obalić jego argumenty.

Były tam zresztą i inne dowody. Na tym olbrzymim cmentarzysku spotykało się na każdym kroku coraz to nowe szczątki, leżące w przedwiecznym pyle, i wuj mógł wybrać najwspanialszy z tych okazów, aby przekonać niedowiarków.

Doprawdy ten cmentarz, gdzie pomieszczone były całe pokolenia ludzi i zwierząt, przedstawiał zdumiewający widok! Ale nasuwał się trudny problem, którego nie śmieliśmy rozstrzygnąć. Czy skutkiem wstrząsów skorupy ziemskiej te istoty obsunęły się na wybrzeże Morza Lidenbrocka już jako zwłoki obrócone w proch, czy też żyły tutaj, w tym podziemnym świecie, pod tym sztucznym niebem, rodząc się i umierając jak mieszkańcy powierzchni Ziemi? Dotychczas widzieliśmy jedynie żywe potwory morskie i ryby. Ale może i człowiek zrodzony w podziemnych otchłaniach błąka się jeszcze po tych opustoszałych wybrzeżach?

Jeszcze co najmniej pół godziny stąpaliśmy po pokładach szczątków i kości. Posuwaliśmy się naprzód, gnani nienasyconą ciekawością. Jakież inne cuda kryły się jeszcze w tej pieczarze, jakie skarby bezcenne dla nauki? Wzrok mój spodziewał się wszelkich możliwych niespodzianek, wyobraźnia przygotowana była na różne dziwy.

Brzegi morza dawno już znikły za kurhanami cmentarzyska. Lekkomyślny profesor, nie bacząc na to, że łatwo możemy zabłądzić, ciągnął mnie za sobą coraz dalej. Szliśmy w milczeniu, skąpani w blasku elektrycznym. Na skutek jakiegoś zjawiska, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć, i dzięki całkowitemu rozpraszaniu się światła rozjaśniało ono przedmioty jednakowo ze wszystkich stron. Ognisko świetlne nie znajdowało się w jakimś jednym, określonym punkcie w przestrzeni i nic nie rzucało tu cienia. Zdawać się mogło, że jest samo południe w pełni lata, w strefach równikowych, pod promieniami słońca padającymi prostopadle. Wszystkie opary gdzieś znikły. Skały, dalekie góry, jakieś niewyraźne kontury odległych lasów przybierały dziwny wygląd w tej jasności, rozchodzącej się równomiernie. Podobni byliśmy do owego bohatera z bajki, który zgubił własny cień.

Gdy uszliśmy milę, oczom naszym ukazał się skraj wielkiego lasu, lecz tym razem nie był to las grzybów jak w pobliżu Portu Grety.

Była to roślinność z okresu trzeciorzędu w całej swej okazałości. Ogromne palmy z gatunków już dziś zaginionych oraz sosny, cisy, cyprysy, tuje, reprezentujące rodzinę drzew iglastych, połączone były ze sobą siecią poplątanych lian. Ziemię pokrywał miękki kobierzec mchów i wątrobnicy. Kilka strumieni szemrało pod cienistymi drzewami, choć właściwie drzewa niegodne były tego określenia, skoro nie dawały cienia. Na brzegach strumyków rosły drzewiaste paprocie przypominające swoje siostry z cieplarni na powierzchni Ziemi. Jednakże drzewa te, krzewy i rośliny zielne nie posiadały kolorów, jako że pozbawione były ożywczego ciepła słońca. Wszystko zlewało się, wszystko miało bowiem jeden odcień – brązowy i jakby wyblakły. Liście pozbawione były zieleni i nawet kwiaty – tak liczne w okresie trzeciorzędu – zdawały się zrobione ze spłowiałego pod działaniem zmian atmosferycznych papieru.

Wuj Lidenbrock zapuścił się w ten gigantyczny bór. Poszedłem za jego przykładem, acz z pewną obawą. Skoro przyroda wysiliła się na roślinność, która mogła stać się podstawą wyżywienia wielkich zwierząt, dlaczego nie mielibyśmy spotkać jakichś groźnych ssaków? Dostrzegłem na rozległych polanach, powstałych tam, gdzie przewróciły się drzewa zniszczone i zżarte przez czas, rośliny strączkowe, klonowate, marzanowate i tysiące krzewów jadalnych tak bardzo lubianych przez przeżuwacze wszystkich epok. Poczym ukazały się, zgromadzone i pomieszane razem, drzewa z rozmaitych stref naszego globu, wydatnie różniących się między sobą: dąb rósł obok palmy, eukaliptus australijski opierał się o jodłę norweską, północna brzoza przeplatała swoje gałęzie z konarami zelandzkiego kaurisa. Najwytrawniejsi klasyfikatorzy spośród botaników potraciliby tu głowy!

Nagle stanąłem jak wryty. Gestem ręki zatrzymałem wuja.

Dzięki rozproszonemu światłu można było rozejrzeć się dokładnie w gęstwinie chaszczy. Zdawało

mi się, że widzę... Tak! Istotnie ujrzałem na własne oczy jakieś stwory o gigantycznych kształtach poruszające się pod drzewami. Były to zwierzęta kolosalnych rozmiarów, całe stado mastodontów, już nie kopalnych, lecz żywych, podobnych do tych, których szczątki odkryto w 1801 roku w bagnach stanu Ohio. Widziałem wyraźnie te olbrzymie trąbowce; trąby ich wiły się pod drzewami niby mnóstwo węży. Słyszałem łomot ich długich kłów, którymi uderzały o stare pnie. Rozległ się trzask konarów, a liście, rwane całymi pękami, ginęły w przepastnych paszczach tych potworów.

A więc sen mój, w którym odrodził się pradawny świat, ziścił się teraz! I oto znaleźliśmy się tutaj, w łonie globu ziemskiego, samotni, oddani na pastwę dzikich jego mieszkańców! Wuj przyglądał im się uważnie.

– Chodźmy – rzekł nagle, chwytając mnie za ramię. – Naprzód! Naprzód!

– Nie! – zawołałem. – Nie! Nie mamy broni. Co by się z nami stało wśród tego stada czworonożnych olbrzymów? Wracajmy, wuju, wracajmy! Żadna istota ludzka nie może bezkarnie stawić czoła tym potworom.

– Żadna istota ludzka, powiadasz? – odparł wuj zniżając głos. – Mylisz się, Akselu. Spójrz, spójrz, tam! Zdaje mi się, że widzę żywą istotę... podobną do nas! Człowieka!

Spojrzałem wzruszając ramionami, zdecydowany okazać najdalej idący sceptycyzm. Ale chcąc nie chcąc, musiałem ustąpić wobec oczywistej prawdy.

Rzeczywiście nie dalej jak o ćwierć mili od nas, oparta o pień wielkiego kaurisa, stała istota ludzka pilnująca tego niezliczonego stada mastodontów!

Nie była podobna do tej, której ciało znaleźliśmy na cmentarzysku; był to olbrzym zdolny poskramiać potwory. Miał przeszło dwanaście stóp wzrostu. Głowa jego, dorównująca wielkością głowie bawołu, tonęła w gąszczu zmierzwionych, kołtuniastych włosów, istnej grzywie, przypominającej grzywę słonia z najwcześniejszych epok. Kolos ten wymachiwał olbrzymim konarem, maczugą godną tego pradawnego pastucha.

Staliśmy nieruchomo, nie wierząc własnym oczom. Olbrzym jednak mógł nas zauważyć! Trzeba było ratować się ucieczką.

– Chodźmy, chodźmy! – zawołałem ciągnąc za sobą wuja, który po raz pierwszy usłuchał mego wezwania.

Po kwadransie byliśmy już poza zasięgiem wzroku groźnego nieprzyjaciela.

Teraz, gdy roztrząsam tę sprawę spokojnie, kiedy umysł mój powrócił do równowagi, kiedy minęły miesiące od czasu zaskakującego, nadzwyczajnego spotkania – co mam myśleć, co mam o tym sądzić? Nie, to chyba niemożliwe!

Zmysły nasze zostały wprowadzone w błąd, wzrok uległ halucynacji. Nie może być śladu człowieka w tym podziemnym świecie! Żaden ród ludzki nie zamieszkuje głęboko ukrytych pieczar naszego globu, nie troszcząc się o mieszkańców żyjących na jego powierzchni, nie kontaktując się z

nimi wcale! To nonsens, zupełny nonsens!

Wolę uznać, że istnieje tam jakieś zwierzę człekokształtne, jakaś małpa z najwcześniejszych epok, *Protopithecus* czy *Mezopithecus*, podobny do odkrytego przez Larteta w pokładach Sansan, obfitujących w kości kopalne. Wprawdzie wzrost tego okazu przewyższał wszelkie miary wysokości podane przez paleontologię, ale mniejsza o to! Niechże to będzie małpa, aczkolwiek to mało prawdopodobne. W każdym razie nie człowiek, człowiek żywy, a wraz z nim całe pokolenie bytujące w łonie Ziemi!

Wtedy jednak osłupiali, niemi ze zdumienia graniczącego z otępieniem – opuściliśmy las, widny i jasny. Mimo woli bieглиśmy. Była to prawdziwa ucieczka, przerażający bieg, jaki przeżywa się w koszmarnych snach. Instynktownie wracaliśmy ku Morzu Lidenbrocka i umysł mój zapuściłby się w nie wiadomo jakie majaczenia, gdybym nie., został przywołany do rzeczywistości przez pewną niepokojącą myśl.

Jakkolwiek byłem pewny, że stąpamy po ziemi, której nie dotknęły jeszcze nasze stopy, dostrzegłem grupę skał przypominającą kształtem także skupisko w Porcie Grety. Nieraz zachodziło po prostu łudzące podobieństwo. Mnóstwo strumyków i kaskad spływało po występach skalnych. Zdawało mi się, że widzę warstwę skamieniałego drzewa, nasz wierny Hansbach i grotę, w której powróciłem do zdrowia; lecz o kilka kroków dalej układ zbocza, jakiś potok, zaskakująca sylwetka skały na nowo budziły we mnie wątpliwości.

Profesor podzielał moją niepewność; nie mógł rozeznaczyć się w tym jednostajnym krajobrazie. Przekonałem się o tym z kilku słów, które wymknęły mu się mimo woli.

– Oczywiście nie przybiliśmy do lądu w tym samym miejscu, z którego wyruszyliśmy – zapewniłem go. – Ale z pewnością, idąc wzdłuż wybrzeża, zbliżamy się do Portu Grety.

– W takim razie nie warto badać terenu – odparł wuj – i najlepiej wrócić do tratwy. Ale czy ty się nie mylisz, Akselu?

– Trudno wypowiedzieć się stanowczo w tej sprawie, jako że wszystkie te skały są do siebie podobne. Zdaje mi się jednak, że poznaję cypel, przy którym Hans budował tratwę. Jesteśmy gdzieś w pobliżu małego portu, a może nawet to ta sama przystań? – dodałem przyglądając się zatoczce, która wydała mi się znajoma.

– Ależ nie, Akselu, przecież odnaleźlibyśmy tutaj nasze ślady, tymczasem nie widzę nic...

– Ale ja widzę! – zawołałem rzucając się na jakiś przedmiot błyszczący na piasku.

– Co to jest?

– Proszę! – odpowiedziałem pokazując wujowi sztylet, który podniosłem przed chwilą.

– A to dopiero! – zdziwił się. – Zabrałeś tę broń ze sobą?

– Nie, ja nie; sądziłem, że wuj ją zabrał.

– Skądże, nic podobnego! Nigdy takiej rzeczy nie posiadałem.

– Tym bardziej ja, wuju.

– Dziwne, doprawdy dziwne!

– Nie, to zupełnie proste; Islandczycy miewają często tego rodzaju broń; zapewne ten sztylet należy do Hansa i on zgubił go na tej plaży...

– Hans? – zastanowił się wuj i pokiwał głową. Po czym z uwagą obejrzał broń.

– Akselu – rzekł poważnym tonem – ten sztylet pochodzi z XVI wieku. To prawdziwa mizerykordia, taka, jaką nosili u pasa rycerze, by dobijać nią rannych nieprzyjaciół; ta broń pochodzi z Hiszpanii, nie należy ani do ciebie, ani do mnie, ani do Hansa!

– Czyżby wuj chciał przez to powiedzieć, że...

– Spójrz, sztylet nie wyszczerbiłby się w ten sposób na ludzkich gardłach; ostrze pokryte jest warstwą rdzy, która nie datuje się ani sprzed tygodnia, ani sprzed roku, ani sprzed wieku.

Profesor zapalał się coraz bardziej i jak zwykle ponosiła go fantazja.

– Akselu – ciągnął – jesteśmy na drodze do wielkiego odkrycia! Ten sztylet leży tu, porzucony na piasku, od stu, dwustu, trzystu lat i wyszczerbił się na skałach tego podziemnego morza.

– Przecież nie przyszedł tu sam! – wykrzyknąłem. – Ani sam się nie pogiął! Ktoś tu był przed nami...

– Tak jest.

– I wuj myśli, że ten człowiek...

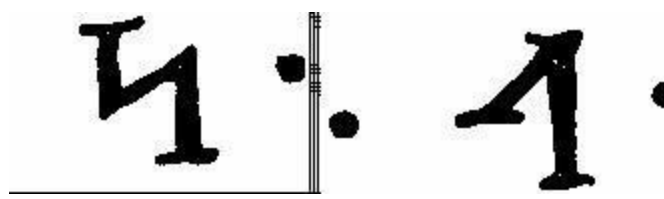
– Ten człowiek wyrył sztyletem swoje imię, pragnął raz jeszcze wskazać własną ręką drogę do wnętrza Ziemi! Szukajmy więc, szukajmy!

Zaciekawieni do najwyższych granic, zaczęliśmy posuwać się wzdłuż nadbrzeżnej ściany skalnej, badając najmniejsze nawet szczeliny, które mogły okazać się wylotami podziemnych korytarzy.

W ten sposób doszliśmy do miejsca, gdzie plaża zwężała się znacznie. Morze nieomal obmywało podnóże skał, pozostawiając wąskie przejście, szerokie najwyżej na sążeń. Nagle między dwoma występami skalnymi ukazało się wejście do mrocznego tunelu.

Tu, na granitowej płycie, widniały dwie tajemnicze, na pół zatarte litery, dwa inicjały nieprawdopodobnie śmiałego podróżnika.





– A. S.! – zawołał wuj. – Arne Saknussemm! Zawsze i wszędzie Arne Saknussemm!

W ciągu naszej podróży widziałem tyle niezwykłych rzeczy, iż miałem prawo sądzić, że nic już nie zdoła mnie zadziwić, że jestem uodporniony na wszelkiego rodzaju niespodzianki. Jednakże widok tych dwóch liter, wyrytych tu przed trzystu laty, wprowił mnie w osłupienie graniczące z ogłupieniem. Nie tylko podpis uczonego alchemika widniał na skale, ale w dodatku miałem w rękę sztylet, którym te litery wycięto. Musiałbym okazać daleko idącą złą wolę, żeby wątpić teraz w istnienie podróżnika i w prawdziwość jego podróży.

W czasie gdy te myśli wirowały mi w głowie, profesor Lidenbrock unosił się w entuzjastycznych pochwałach nad Arne Saknussemem.

– Wielki geniuszu! – wołał. – Nie zaniedbałeś niczego, co mogłoby innym śmiertelnikom uutorować drogę w głąb skorupy ziemskiej, i twoi bliźni mogą odnaleźć ślady, które stopy twoje pozostawiły przed trzema wiekami w głębi tych mrocznych otchłani! Udostępniłeś innym oglądanie cudów, które sam obejrzałeś. Imię twoje, wyryte na kolejnych etapach drogi, prowadzi wprost do celu wędrowca, który ma odwagę iść za twoim przykładem, i będzie na pewno wypisane własną twoją ręką w samym środku naszej planety. I ja także uwiecznię swoje imię na tej ostatniej stronie z granitu! Ale niechże od dnia dzisiejszego ten przyłodek, odkryty przez ciebie nad morzem, które pierwszy ujrzałeś, zwie się po wsze czasy Przyłódkiem Saknussemma!

Taką mniej więcej tyradę wygłosił profesor, a ja czułem, że udziela mi się entuzjazm, jakim tchnęły jego słowa. Jakiś wewnętrzny ogień zapłonął w mojej piersi! Zapomniałem o niebezpieczeństwach podróży i o ryzyku związanym z powrotem. Pragnąłem także dokonać tego, czego dokonał inny, i wszystko, co było w zasięgu ludzkich możliwości, wydawało mi się wykonalne.

– Naprzód! Naprzód! – zawołałem.

Już miałem zapuścić się w głąb mrocznego korytarza, lecz profesor powstrzymał mnie, i to on właśnie, będący uosobieniem zapału, radził mi zachować cierpliwość i zimną krew.

– Przede wszystkim wróćmy do Hansa – rzekł – i sprowadźmy tu tratwę.

Niechętnie usłuchałem jego rozkazu i cofnąłem się między nadbrzeżne skały.

– Czy wuj zdaje sobie sprawę, jak bardzo sprzyjały nam dotychczas okoliczności? – odezwałem się w czasie drogi.

– Naprawdę tak sądzisz, Akselu?

– Oczywiście, przecież nawet burza naprowadziła nas na właściwą trasę! Niechże więc będzie błogosławiona burza! Zapędziła nas na to wybrzeże, od którego piękna pogoda byłaby nas oddaliła. Niech wuj sobie bodaj przez chwilę wyobrazi, co by się z nami stało, gdybyśmy dotarli do południowych wybrzeży Morza Lidenbrocka! Nigdy nie ujrzelibyśmy inicjałów Saknussemma i teraz

bylibyśmy pozostawieni sami sobie na wybrzeżu, skąd nie prowadzi dalej żadna droga.

– Tak, Akselu, to chyba zrzączenie Opatrzności, iż żeglując w kierunku południowym, zawróciliśmy na północ i dobiliśmy do Przylądka Saknussemma. Muszę przyznać, że jest to godne zastanowienia i kryje się w tym coś takiego, czego absolutnie nie potrafię zrozumieć.

– Mniejsza o to! Nie każdy fakt da się wytłumaczyć, grunt, by z niego skorzystać!

– Zapewne, mój chłopcze, ale...

– No cóż, znów wyruszymy w kierunku północnym, przejdziemy pod północnymi krajami, pod Szwecją, Rosją, Syberią – czy ja wiem zresztą pod czym, zamiast zagłębić się pod pustynie Afryki lub wody Atlantyku i to mi najzupełniej wystarczy!

– Masz rację, Akselu; wszystko układa się jak najlepiej, skoro rozstajemy się z tym morzem, które by nas – w linii poziomej – nigdzie nie doprowadziło. Będziemy znowu schodzić, schodzić coraz głębiej, wciąż schodzić! Czy wiesz, że od wnętrza Ziemi dzieli nas zaledwie tysiąc pięćset mil?

– Co tam! – zawołałem. – Nawet nie ma o czym mówić! W drogę! W drogę!

Te i tym podobne bezsensowne rozmowy trwały jeszcze, gdy dotarliśmy do Hansa. Wszystko było przygotowane do natychmiastowego odpłynięcia, cały bagaż załadowany; ulokowaliśmy się na tratwie, podnieśliśmy żagiel i Hans, płynąc wzdłuż wybrzeża, wziął kurs na Przylądek Saknussemma.

Wiatr nie był pomyślny dla tego rodzaju żeglugi. Toteż nieraz musieliśmy odpychać się za pomocą okutych kijów. Niekiedy trzeba było okrążyć z daleka skały wrzynające się głęboko w morze. Wreszcie po trzech godzinach, to jest około szóstej wieczorem, dopłynęliśmy do miejsca nadającego się na przybicie do lądu.

Wyskoczyłem na brzeg, a za mną wuj i Islandczyk. Ta krótka przeprawa bynajmniej mnie nie uspokoiła. Wprost przeciwnie. Zaproponowałem nawet, by „spalić za sobą mosty”, w tym wypadku tratwę, dla odcięcia sobie odwrotu. Wuj jednak sprzeciwił się temu stanowczo. Doszedłem do wniosku, że jest dziwnie opanowany.

– Przynajmniej nie traćmy czasu i natychmiast ruszajmy w drogę – rzekłem.

– Tak, mój drogi, ale najpierw musimy zbadać ten nowy chodnik, żeby wiedzieć, czy trzeba mieć w pogotowiu drabiny.

Tratwę uwiązaliśmy u brzegu, po czym wuj uruchomił aparat Ruhmkorffa. Wylot korytarza był najwyżej o dwadzieścia kroków od miejsca lądowania, toteż nasza mała gromadka, ze mną na czele, wkroczyła do niego niezwłocznie.

Otwór, mniej więcej w kształcie koła, miał blisko pięć stóp średnicy; mroczny tunel wydrążony był wprost w skale i misternie wysłany zakrzepłą lawą, która ongiś tędy przechodziła; spód jego był na tym samym poziomie, co plaża, dzięki czemu, wejście nie przedstawiało najmniejszych trudności.

Posuwaliśmy się korytarzem nieomal poziomym, ledwie jednak uszliśmy ze sześć kroków, gdy nagle wyrosła przed nami przeszkoda w postaci olbrzymiego skalnego bloku.

– Przeklęty głaz! – krzyknąłem ze złością, widząc przed sobą tę nieprzebytą zaporę.

Na próżno szukaliśmy na prawo i na lewo, u góry i u dołu – nie było żadnego przejścia, żadnego rozwidlenia. Czułem się niezmiernie rozczarowany i nie chciałem dopuścić myśli, że ta przeszkoda jest nie do pokonania. Pochylałem się, zaglądałem pod głaz. Ani śladu jakiejś szczeliny! Na górze – taka sama zaporę z granitu. Hans oświetlił lampą ścianę bloku: okazało się, że stanowił on jednolitą całość.

Trzeba było pożegnać się z nadzieją przejścia.

Usiadłem na podłodze korytarza, a wuj przemierzał go wielkimi krokami.

– Jak poradził sobie Saknussemm?! – zawołałem.

– Istotnie, czy i jego zatrzymały te kamienne wrota? – zastanowił się wuj.

– Nie, na pewno nie! – zaprotestowałem gwałtownie. – Ta bryła skalna zatarasowała nagle przejście na skutek jakiegoś wstrząsu czy też zjawiska magnetycznego działającego na skorupę ziemską. Wiele lat upłynęło między powrotem Saknussemma a zawaleniem się tego bloku. Nie ulega wątpliwości, że ongiś tym chodnikiem płynęła lava i krążyła po nim swobodnie. Ale proszę spojrzeć: widać świeże szczeliny na granitowym suficie; składa się on z naniesionych brył, z ogromnych głazów, jak gdyby ręka jakiegoś olbrzyma wznosiła tę podziemną budowlę; pewnego dnia jednak napór był większy niż zwykle i blok ten, niby zwornik sklepienia, który się obsuwa, runął w dół, zamykając przejście. Ta przeszkoda jest dziełem przypadku, Saknussemm jej nie napotkał, a jeżeli my jej nie usuniemy, nie jesteśmy godni dotrzeć do wnętrza Ziemi!

Oto jakimi słowami potrafiłem przemawiać! Wstąpił we mnie duch profesora, natchnął pęd do odkryć. Zapomniałem o przeszłości, lekceważyłem niebezpieczeństwa grożące nam w przyszłości. Wszystko, co pozostało na powierzchni globu, w którego łono zapadłem, przestało dla mnie istnieć – i miasta, i wsie, i Hamburg, i Königsstrasse, i nawet biedna moja Greta, która sądziła zapewne, że nigdy już nie powrócę z wnętrza Ziemi.

– Nie ma rady, trzeba utorować sobie drogę za pomocą motyki czy łomu! Musimy zburzyć ten mur! – rzekł wuj.

– Za twardy na motykę! – zawołałem.

– Użyjemy łomu.

– Za gruby na łom!

– Ależ...

– Od czegoż proch i miny! Możemy założyć minę i wysadzić tę przeszkodę w powietrze!

– Proch?!

– Oczywiście, przecież chodzi tylko o rozwalenie niewielkiego głazu!

– Hans, do roboty! – zawołał wuj.

Islandczyk pobiegł do tratwy i niebawem wrócił z łomem, którym zamierzał wykuć kanał na założenie miny. Nie była to łatwa sprawa. Chodziło o to, by zrobić otwór, w którym zmieściłoby się pięćdziesiąt funtów bawełny strzelniczej, jej siła wybuchowa bowiem przewyższa czterokrotnie siłę prochu.

Byłem podniecony do najwyższego stopnia. Kiedy Hans zajęty był kuciem, gorliwie pomagałem wujowi w sporządzaniu długiego lontu, to jest płóciennej kichy napchanej zmoczonym prochem.

– Musimy przejść! – mówiłem.

– Za wszelką cenę – wtórował mi wuj.

O północy nasze prace minierskie były ukończone, nabój z bawełny strzelniczej umieszczony w kanale, a lont ciągnął się przez chodnik i wychodził na zewnątrz. Teraz powinna wystarczyć jedna iskra, by uruchomić tę piekielną maszynę.

– Do jutra! – rzekł profesor.

Musiałem uzbroić się w cierpliwość i czekać jeszcze długie sześć godzin!

Dzień następny, to jest czwartek 27 sierpnia, był dniem pamiętnym w naszej podziemnej podróży. Kiedy powracam do niego myślą, za każdym razem serce bije mi z przerażenia. Począwszy od tej chwili nasz rozum, szybka orientacja czy pomysłowość nie wchodziły wcale w grę; mieliśmy stać się igraszką żywiołów.

O szóstej byliśmy już na nogach. Zbliżał się moment, kiedy należało utorować sobie przejście przez granitową zaporę.

Usilnie domagałem się zaszczytu zapalenia lontu, po czym miałem wrócić do towarzyszy, na tratwę, która wciąż jeszcze stała przy brzegu załadowana naszymi bagażami; wówczas dopiero mieliśmy wypłynąć na pełne morze, aby uchronić się od skutków wybuchu, mogących uszkodzić także i zewnętrzne ściany masywu.

Według naszych obliczeń lont miał tlić się dziesięć minut, zanim ogień dojdzie do prochu. Było więc dosyć czasu, aby dobiec do tratwy.

Przygotowywałem się do swojej roli nie bez większego wzruszenia.

Po szybko zjedzonym posiłku wuj wraz z myśliwym zajęli miejsca na tratwie, ja zaś pozostałem na brzegu. Trzymałem w ręku płonąca latarnię, za pomocą której miałem zapalić lont.

– Idź, chłopcze, idź – rzekł wuj – i wracaj natychmiast.

– Niech wuj będzie spokojny, nie będę marudzić po drodze. Niezwłocznie skierowałem się do wylotu korytarza, otworzyłem latarnię i chwyciłem koniec lontu.

Profesor trzymał zegarek w ręku.

– Gotowy jesteś? – krzyknął.

– Tak jest.

– Ognia!

Szybko przytknąłem lont do płomienia, a kiedy zasyczał, puściłem się pędem do tratwy.

– Wsiadaj! – krzyknął wuj. – Odbijajmy!

Mocnym pchnięciem Hans odsunął tratwę od brzegu. Oddaliła się o jakieś dwadzieścia sążni.

Był to moment pełen napięcia. Profesor śledził okiem wskazówkę zegarka.

– Jeszcze pięć minut – mówił. – Jeszcze cztery. Jeszcze trzy.

Puls mój wybijał ułamki sekund.

– Jeszcze dwie. Jedna! Zapadajcie się, granitowe góry!

Co wówczas zaszło? Zdaje mi się, że nie usłyszałem wcale detonacji, tylko kształt ściany skalnej zmienił się nagle w naszych oczach – rozsunęła się niby zasłona. Na samym środku wybrzeża otworzyła się raptem niezgłębiona przepaść. Oszałałe morze runęło naprzód niby jedna ogromna fala, a na jej grzbiecie tratwa uniosła się prawie pionowo.

Wszyscy trzej przewróciliśmy się. W ciągu ułamka sekundy światłość ustąpiła miejsca głębokim ciemnościom. Potem poczułem, że brak oparcia nie tyle moim nogom, ile tratwie. Myślałem, że idzie na dno. Ale nic podobnego się nie stało. Chciałem powiedzieć coś wujowi, lecz ryk wód i tak zagłuszyłby mój głos.

Pomimo ciemności, huku, zaskoczenia, natłoku wrażeń, zrozumiałem, co się stało.

Tuż za skałą, która wyleciała w powietrze, znajdowała się przepaść. W tym popękany masywie wybuch spowodował rodzaj trzęsienia ziemi, rozwarła się bezdenna czeluść i morze, zamienione w wodospad, wciągnęło nas tam za sobą.

Zrozumiałem, że jesteśmy zgubieni.

Upłynęła godzina, może dwie. Przyciskaliśmy się do siebie łokciami, chwytałyśmy się za ręce, byle utrzymać się na tratwie; za każdym razem gdy uderzała o ścianę, odczuwaliśmy gwałtowny wstrząs. Jednakże zdarzało się to względnie rzadko, z czego wywnioskowałem, że studnia rozszerzała się pokaźnie. Była to niewątpliwie droga obrona przez Saksussemma, ale zamiast iść nią sami, przez nieostrożność wciągnęliśmy tam całe morze.

Łatwo pojąć, że myśli, które snuły mi się po głowie, były mętne i niewyraźne. Kojarzyłem je z trudem w czasie tej zawrotnej jazdy. Sądząc po pędzie powietrza, które smagało mnie po twarzy, tratwa mogła rywalizować co do tempa z najszybszym pociągiem. W tych warunkach nie sposób było zapalić pochodni, a niestety ostatni aparat elektryczny rozbił się w czasie wybuchu. Toteż zdumiałem się na widok światła, które zabłysło nagle obok mnie. Mignęła mi spokojna twarz Hansa. Zręcznemu przewodnikowi udało się zapalić latarnię i chociaż płomień chwiały się i mógł lada chwila zgasnąć, rozjaśnił nieco straszliwy mrok.

Miałem rację – chodnik był bardzo szeroki. Niedostateczne oświetlenie nie pozwalało dojrzeć obydwu jego ścian naraz. Spadek wód osiągnął niezwykłą szybkość; powierzchnia ich przypominała pęki płynnych strzał wypuszczonych z niebywałą mocą – nie mogę tego inaczej określić. Niekiedy tratwa, pochwycona w wir, kręciła się w kółko. Gdy zbliżała się do ściany chodnika, oświetlałem skałę latarnią i mogłem wtedy ocenić naszą szybkość, ponieważ występy skalne zamieniały się w nieprzerwane linie; byliśmy jak gdyby uwięzieni w sieci ruchomych kresek. Szacowałem, że tratwa posuwa się z prędkością trzydziestu mil na godzinę.

Obaj z wujem patrzyliśmy przed siebie błędnym wzrokiem, opierając się o szczątki masztu, który złamał się podczas katastrofy. Chcąc uchronić się od uduszenia na skutek pędu, którego żadna siła

ludzka nie była w stanie zahamować, odwróciliśmy się tyłem do powietrznego prądu.

Tymczasem mijały godziny. Sytuacja nie zmieniała się ani na jotę, ale odkryłem pewien fakt, który mógł znacznie ją pogorszyć.

Usiłując uporządkować trochę ładunek, zauważyłem, że większość rzeczy zginęła podczas wybuchu, w momencie gdy porwało nas morze. Chciałem sprawdzić dokładnie stan naszych zapasów i rozpocząłem poszukiwania z latarnią w ręku. Jeśli chodzi o przyrządy, ocalały jedynie busola oraz zegarek. Liny i drabinki zniknęły bez śladu, pozostał tylko kawałek kabla, okręcony wokół szczątków masztu. Nie było ani oskarda, ani motyki, ani młotka i – o zgrozo! – żywności nie starczyłoby nawet na jeden dzień!

Zacząłem przeszukiwać najmniejsze nawet szczeliny, najmniejsze zakamarki między kłocami i deskami. Absolutnie nic! Całe nasze zapasy ograniczały się do kawałka wędzonego mięsa i kilku sucharów. Patrzałem na nie w osłupieniu. Trudno mi było w to uwierzyć. A przecież nie tu tkwiło największe niebezpieczeństwo! Gdyby prowiantów starczyło nam nawet na miesiące czy lata, jak wydostać się z tych przepastnych głębin, w które wciągał nas niepowstrzymany pęd potoku? Po co obawiać się mąk głodowych, skoro śmierć czyhała na nas pod tyloma innymi postaciami? Czy będziemy mieli czas umrzeć z wycieńczenia?

Jednakże, na skutek niewytłumaczonego kaprysu wyobraźni, zapomniałem o bezpośrednim niebezpieczeństwie mając na uwadze jedynie groźną przyszłość, która objawiała mi się w całej okropności. Zresztą może uda nam się wymknąć z objęć rozwścieczonego potoku i wrócić na powierzchnię Ziemi. W jaki sposób? Na to nie potrafiłem odpowiedzieć. Dokąd? Mniejsza o to! Ale istniała tu pewna szansa, choćby jedna na tysiąc, gdy tymczasem śmierć głodowa nie pozostawiła nam żadnej, bodaj najmniejszej nadziei.

Przyszło mi na myśl, by wszystko powiedzieć wujowi, wyjawić mu, jaki czeka nas los, i obliczyć dokładnie, ile mamy jeszcze godzin życia przed sobą. Ale ostatecznie zdobyłem się na odwagę i postanowiłem milczeć. Chciałem, by profesor zachował całą zimną krew.

W tym momencie światło latarni zaczęło zanikać i wreszcie zgasło zupełnie. Knot wypalił się do końca. Zapanowały całkowite ciemności, niemożliwy do rozproszenia, nieprzenikniony mrok. Pozostała nam wprawdzie pochodnia, ale i tej nie dałoby się zapalić. Przymknąłem oczy jak dziecko, które nie chce widzieć straszliwych ciemności wokoło.

Po pewnym, dość długim czasie szybkość nasza wzmogła się. Odczuwałem to po pędzie powietrza. Spadek wody spotęgował się jeszcze. Już właściwie nie ześlizgiwaliśmy się, lecz po prostu lecieliśmy w dół, rzekłbyś – po linii pionowej. Ręce wuja i Hansa, uczepliwszy się moich ramion, przytrzymały mnie mocno.

Nie wiem, ile upłynęło czasu, gdy nagle odczułem jak gdyby wstrząs; wprawdzie tratwa nie uderzyła o nic twardego, lecz niespodziewanie zatrzymała się w biegu. Trąba wodna, olbrzymi słup płynu, runął na jej powierzchnię.

Zatamowało mi oddech. Topiłem się. Jednakże ten nagły zalew nie trwał długo. Po kilku



sekundach znalazłem się na otwartej przestrzeni i odetchnąłem pełną piersią. Wuj i Hans z całych sił przyciskali moje ramię i wszyscy trzej cudem utrzymywaliśmy się na tratwie.

Po ostatnim wstrząsie pierwszy spośród moich zmysłów obudził się słuch. Dosłyszałem prawie natychmiast – gdyż był to prawdziwy efekt dźwiękowy – dosłyszałem ciszę, która zapadła nagle w galerii po huku wypełniającym mi uszy od kilkunastu godzin. Wreszcie doleciały do mnie słowa wuja ciche jak szept:

– Podnosimy się w górę!

– Co wuj chce przez to powiedzieć?! – zawołałem.

– Tak, podnosimy się na pewno!

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ściany – moja dłoń zaczęła krwawić.

Pędziliśmy w górę z szaloną szybkością.

– Pochodnia, pochodnia! – krzyknął profesor.

Hansowi z trudem udało się ją zapalić i aczkolwiek płomień opadał skutkiem biegu tratwy wzwyż, mieliśmy dość światła, by obejrzeć całą scenę.

– Jest tak, jak przewidywałem – stwierdził wuj. – Znajdujemy się w wąskiej studni, która nie ma nawet czterech sążni średnicy. Woda doszła do dna czeluści i – wyrównując poziom – podnosi się wraz z nami.

– Dokąd?

– Nie wiem, ale musimy być przygotowani na wszelkie ewentualności. Według mnie wznosi się z prędkością dwóch sążni na sekundę, czyli stu dwudziestu sążni na minutę, a więc przeszło trzech i pół mili na godzinę. Przy takim tempie podjedziemy w górę nie najgorzej.

– Tak, jeśli nas nic nie zatrzyma, jeśli ta studnia ma wylot. Ale jeśli jest ślepa, jeżeli powietrze będzie stopniowo gęstnieć pod naporem wody, jeśli zostaniemy zmiażdżeni?

– Akselu – odpowiedział profesor bardzo spokojnie – sytuacja jest nieomal bez wyjścia, są jednak pewne szanse ocalenia i trzeba je wziąć pod uwagę. W każdej chwili możemy zginąć, ale i w każdej chwili możemy zostać uratowani. Bądźmy więc w miarę możliwości przygotowani do wykorzystania każdej sprzyjającej okoliczności.

– A zatem co robić?

– Pożywić się dla podtrzymania sił.

– Słyszając te słowa, spojrzałem na wuja błędnym wzrokiem. Trzeba było wyjawić to, co chciałem ukryć.

– Pożywić się? – powtórzyłem.

– Tak. I to niezwłocznie.

Profesor dodał kilka słów po duńsku. Hans zaprzeczył ruchem głowy.

– Jak to? – przeraził się wuj. – Nasze zapasy przepadły?

– Tak, oto co z nich pozostało – kawałek wędzonego mięsa na nas trzech.

Wuj patrzył na mnie, nie chcąc uświadomić sobie moich słów.

– No i co? – powiedziałem. – Jeszcze i teraz wuj wierzy w nasze ocalenie?

Pytanie moje pozostało bez odpowiedzi.

Upłynęła jeszcze godzina. Głód zaczynał porządnie dawać mi się we znaki. Towarzysze moi cierpieli także, lecz żaden z nas nie śmiał ruszyć nędznych resztek żywności.

Tymczasem szybko wznosiliśmy się w górę; niekiedy pęd tamował nam oddech, podobnie jak aeronautom przy zbyt gwałtownym wzlocie. Tamci jednak odczuwają stopniowe ochładzanie się atmosfery, w miarę jak wzbijają się coraz wyżej, my natomiast doznawaliśmy wręcz przeciwnego wrażenia. Ciepło wzrastało w niepokojący sposób i z pewnością dochodziło do czterdziestu stopni.

Jaki mógł być powód tej zmiany? Dotychczas fakty poświadczały słuszność teorii Davy’ego i Lidenbrocka; jak dotąd specyficzne okoliczności, związane z nieprzepuszczalnością masywów skalnych, z elektrycznością i magnetyzmem, zmieniły prawa obowiązujące w przyrodzie, przyczyniając się do stworzenia umiarkowanej temperatury; pomimo to teoria ogniisto-płynnego jądra Ziemi była w moich oczach niewątpliwie słuszna i uzasadniona. Czyżbyśmy mieli znaleźć się w takim miejscu, gdzie prawa te zaczną działać z całą bezwzględnością, gdzie ciepło zamieni skały w ciecz? Bałem się tego i podzieliłem się tą obawą z profesorem:

– Jeżeli się nie utopimy albo nie rozbijemy, jeżeli nie umrzemy z głodu, zawsze pozostaje nam jeszcze jedna szansa – możemy spalić się żywcem.

Wuj wzruszył ramionami i pogрузzył się z powrotem w rozmyślaniach.

Minęła godzina i poza pewnym zwiększeniem się temperatury nie zaszło nic, co by zmieniło naszą sytuację. Wreszcie wuj przerwał milczenie:

– Trzeba się zdecydować.

– Na co? – spytałem.

– Należy podtrzymać nasze siły. Jeżeli oszczędzając te resztki pożywienia, spróbujemy przedłużyć życie o kilka godzin, będziemy osłabieni aż do końca.

– Tak, aż do końca, który nastąpi niebawem.

– A jeżeli trafi się jakaś szansa ocalenia, jeżeli wypadnie działać, skąd weźmiemy na to siły, skoro będziemy osłabieni przez głód?

– No dobrze, a gdy zjemy ten kawałek mięsa, co nam pozostanie?

– Nic, Akselu, nic. Ale czy się nim pożywisz pozerając go wzrokiem? Rozumujesz jak człowiek o słabej woli, całkowicie pozbawiony energii.

– A czy wuj nie zwątpił o naszym ocaleniu?! – zawołałem z irytacją.

– Nie – odparł profesor twardo.

– Co? Wuj widzi jeszcze jakieś możliwości ratunku?

– Tak jest! Bez wątpienia! Istota obdarzona wolą nie powinna poddawać się rozpacz, póki bije jeszcze jej serce, póki krew pulsuje w żyłach.

Cóż za słowa! Człowiek, który potrafił wypowiedzieć je w podobnych okolicznościach, musiał bezsprzecznie posiadać nieprzeciętną moc ducha!

– A więc co wuj zamierza robić?

– Zjeść wszystko, co nam pozostało, aż do ostatniej kruszynki i podreperować nadwątlone siły. Ten posiłek będzie ostatni, zgoda! Ale przynajmniej nie wyzbędziemy się resztek energii i w razie potrzeby zachowamy się jak prawdziwi mężczyźni.

– No, to jedzmy! – zawołałem.

Wuj wziął kawałek mięsa oraz suchary ocalałe z katastrofy, podzielił wszystko na trzy porcje i rozdał nam. Wypadło mniej, więcej funt żywności na każdego. Profesor jadł łapczywie, w jakimś gorączkowym podnieceniu, ja – mimo głodu – bez żadnej przyjemności, prawie ze wstrętem, Hans natomiast ze spokojem i umiarkowaniem, żując w skupieniu małe kawałki i delektując się każdym kęsem, z opanowaniem cechującym człowieka, któremu obce są wszelkie obawy o przyszłość. Przeszukawszy starannie tratwę, znalazł manierkę do połowy napełnioną jałowcówką i ten dobroczynny trunek podniósł mnie nieco na duchu.

– *Förträfflig!* – rzekł Hans, gdy przyszła na niego kolej.

– Doskonałe! – potwierdził wuj.

Odzyskałem odrobinę nadziei. Skończył się nasz ostatni posiłek. Była godzina piąta rano.

Człowiek ma już taką naturę, że ceni zdrowie tylko wtedy, gdy je utracił; a zatem, kiedy żołądek jest napełniony, trudno sobie wyobrazić udręki głodu; trzeba ich doznawać, aby je zrozumieć. Toteż po długim poście dzięki kilku kęsom sucharów i mięsa zapomnieliśmy o minionych mękach.

Po posiłku każdy z nas zatopił się w rozmyślaniach. Nie wiem, o czym medytował Hans, ów mieszkaniec dalekiego Zachodu, który kierował się w życiu rezygnacją i fatalizmem, właściwym ludziom Wschodu. Moje myśli natomiast krążyły uparcie wokół wspomnień i powracałem pamięcią na powierzchnię naszego globu, której nigdy nie powinienem był opuścić. Dom na Königsstrasse, moja biedna Greta, zacna Marta przesunęły się niby wizje przed moimi oczyma i zdawało mi się, że wśród ponurych pomruków rozlegających się w skalnym masywie rozróżniam gwar wielkich miast na Ziemi.

Wuj zaś, wciąż zajęty swoimi myślami, badał uważnie właściwości terenu; przyświecając sobie pochodnią, próbował zorientować się w naszym położeniu na podstawie obserwacji kolejnych skalnych warstw. Te obliczenia, a raczej ocena były bardzo względne; uczony jednak pozostanie zawsze uczonym, jeśli tylko potrafi zachować zimną krew, a profesor Lidenbrock posiadał niewątpliwie tę zaletę, i to w stopniu wyższym niż kto inny.

Słyszałem, jak mamrocze jakieś określenia z dziedziny geologii. Rozumiałem je i mimo woli interesowały mnie te jego – być może ostatnie – badania.

– Granit – mówił. – A więc znajdujemy się w erze archaicznej. Ale podnosimy się nieustannie! Kto wie?

„Kto wie?” A więc jeszcze żywił jakieś nadzieje! Macał ręką pionową ścianę i po chwili mamrotał znowu:

– Oto gnejsy! Oto łupek mikowy! W porządku! Niedługo zaczną się formacje epoki przejściowej i wtedy...

Co profesor miał na myśli? Czyżby potrafił zmierzyć grubość skorupy ziemskiej zawisłej nad nami? Czy miał jakieś sposoby przeprowadzenia tego rodzaju obliczeń. Chyba nie. Straciliśmy manometr i żadne obserwacje nie mogły go zastąpić.

Tymczasem temperatura podniosła się znacznie – czułem, że zaczynam po prostu pławić się w żarze. Mogłem go porównać jedynie do ciepła wydzielanego przez piece hutnicze w czasie wytopu. Wszyscy trzej zdjęliśmy najpierw marynarki, a potem kamizelki; każda część odzieży nie tylko zawadzała, ale męczyła niepomierne.

– Czy wznosimy się ku jakiemuś ognisku cieplnemu? – zawołałem, gdy gorąco spotęgowało się jeszcze.

– Nie – odparł wuj. – To niemożliwe! Niemożliwe!

– A jednak ta ściana aż parzy! – zauważyłem dotykając skały.

Jednocześnie musnąłem dłonią wodę i musiałem cofnąć ją szybko.

– Woda też jest gorąca! – wykrzyknąłem.

W odpowiedzi profesor wykonał tylko pełen irytacji gest.

Umysł mój opanowało bezgraniczne przerażenie i nie opuściło mnie już aż do końca. Czułem, że grozi nam straszliwa katastrofa, i to taka, jakiej nie jest w stanie wyobrazić sobie najbujniejsza nawet fantazja. Ten niesamowity żar, ta wrząca woda... Postanowiłem spojrzeć na busolę.

Ogarnęło ją po prostu szaleństwo...

Tak, szaleństwo... Igła przeskakiwała gwałtownie od jednego bieguna do drugiego, przebiegała przez wszystkie punkty na tarczy i kręciła się jak zwariowana. Wiedziałem, że zgodnie z powszechnie przyjętymi teoriami skorupa ziemska nigdy nie znajduje się w stanie idealnego spoczynku; zmiany spowodowane ruchami magmy, przetaczanie się wielkich mas ciekłych, działanie sił magnetycznych – wszystko to wstrząsa nieustannie skorupą ziemską nawet wówczas, gdy istoty rozsiane na jej powierzchni nic o tym nie wiedzą. To zjawisko nie przeraziłoby mnie tak bardzo, a przynajmniej nie zrodziłoby w moim umyśle strasznego przypuszczenia.

Natomiast inne fakty, inne swoiste szczegóły upewniły mnie do reszty; detonacje wzmożyły się, i to z przeraźliwą intensywnością; można je było porównać do turkotu mnóstwa wozów pędzących szybko po bruku. Był to jak gdyby nieustający grzmot.

Poza tym oszalała busola, pobudzana przez zjawiska magnetyczne, potwierdzała moje obawy – zachodziła możliwość pęknięcia skorupy ziemskiej, połączenia się masywów granitowych, zalania szczelin, wypełnienia próżni, a nam, nieszczęsnym drobinom, groziło zmiżdżenie w tym strasznym uścisku!

– Wuju, wuju! – zawołałem. – Jesteśmy zgubieni!

– Cóż to znów za nagła panika? – odpowiedział ze zdumiewającym spokojem profesor. – Co ci jest?

– Co mi jest? Proszę tylko zwrócić uwagę na te dygocące ściany, na rozpadający się masyw skalny, na ten piekielny żar, na tę wrzącą wodę, na gęstniejące opary i oszalałą igłę, słowem – na wszystkie oznaki trzęsienia ziemi!

Wuj spokojnie pokiwał głową.

– Trzęsienia ziemi? – zapytał.

– Tak jest.

– Zdaje mi się, że jesteś w błędzie.

– Jak to? Wuj nie poznaje tych objawów?

– Objawów zapowiadających trzęsienie ziemi? Nie. Spodziewam się czegoś o wiele lepszego.

– Co wuj ma na myśli?

– Wybuch wulkanu, Akselu.

– Wybuch?! – zdumiałem się. – Czyżbyśmy byli w kominie czynnego wulkanu?

– Tak mi się zdaje – rzekł profesor z uśmiechem. – I nic bardziej pomyślnego nie mogło nas spotkać.

Nic bardziej pomyślnego? Czyżby wuj postradał zmysły? Co oznaczały te słowa? Czemu należało przypisać ten spokój i ten uśmiech?

– Jak to? – zawołałem. – Trafiliśmy na wybuch? Los rzucił nas na trasę rozpalonej lawy, rozżarzonych głazów skalnych, wrzących wód, wszelakich materiałów wulkanicznych? Będziemy wypchnięci, wyparci, wyrzuceni w powietrze wraz z odłamkami skalnymi, z deszczem popiołu i żużlu, w kłębach płomieni – i to ma być dla nas najlepsze wyjście?

– Tak – odparł profesor patrząc na mnie sponad szkieł okularów – gdyż jest to jedyna możliwość powrotu na powierzchnię Ziemi!

Przechodzę do porządku nad nawąłem myśli kłębiących się wówczas w moim mózgu. Wuj miał rację, całkowitą rację i nigdy nie wydał mi się równie śmiały i pewny siebie, jak w tej chwili, kiedy wyczekiwał na erupcję i obliczał spokojnie nasze szansę.

Tymczasem nieustannie posuwaliśmy się w górę i na tym upłynęła cała noc; wokół nas rosły grzmoty, dusiłem się nieomal, myślałem, że nadeszła ostatnia nasza godzina. Ale wyobraźnia ludzka miewa niekiedy dziwaczne wyskoki, toteż snułem jednocześnie jakieś dziecinne dociekania. Biernie poddawałem się tokowi swoich myśli, nie panując nad nimi.

Rzecz jasna, że pchała nas siła erupcji, pod tratwą była wrząca woda, a pod wodą gęsta bryja z lawy oraz wielkie ilości głazów, które na szczycie krateru rozlecają się na wszystkie strony. Znajdowaliśmy się w kominie wulkanu. To nie ulegało wątpliwości.

Tym razem jednak nie był to wygasły wulkan, taki jak Sneffels, lecz wulkan czynny. Zastanawiałem się, co to może być za góra i w której części świata zostaniemy wyrzuceni na powierzchnię.

Niewątpliwie gdzieś w strefach północnych. Zanim busola zepsuła się, nie okazywała pod tym względem żadnego wahania. Od czasu opuszczenia Przylądka Saknussemma przez setki mil kierowaliśmy się na północ. Czy wróciliśmy pod Islandię? Czy mieliśmy być wyrzuceni przez krater Hekli, czy przez któryś z siedmiu innych czynnych wulkanów na tej wyspie? O ile pamiętałem, w promieniu pięciuset mil w kierunku zachodnim były pod tym równoleżnikiem tylko mało znane, ziejące ogniem góry na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki. Na wschodzie natomiast istniała tylko jedna, pod osiemdziesiątym stopniem szerokości, na Wyspie Jana Mayena w pobliżu Spitsbergenu. Tak, kraterów nie brakowało i były na tyle szerokie, że mogły, wyrzucić bodaj całą armię. Ale usiłowałem odgadnąć, który z nich posłuży nam za drzwi wyjściowe.

Nad ranem pęd ku górze przybrał na sile. Zamiast maleć w miarę zbliżania się do powierzchni Ziemi, ciepło wzrastało, było to bowiem ciepło lokalne pochodzenia wulkanicznego. Nasz środek lokomocji nie mógł już wzbudzać żadnych wątpliwości – pchała nas olbrzymia, nieprzeparata siła, siła kilkuset atmosfer, a źródłem jej była nagromadzona w łonie Ziemi para. Na ileż niebezpieczeństw byliśmy narażeni!



Niebawem pionowa studnia poszerzyła się znacznie i wypełniła płowym blaskiem; na prawo i lewo widniały głębokie korytarze podobne do ogromnych tuneli; wydobywały się z nich gęste opary, języki płomieni lizały ich ściany, sycząc głośno.

– Wuju, wuju! Niech wuj spojrzy! – zawołałem.

– Nic wielkiego, to są płomienie siarki. Całkiem naturalne zjawisko w czasie wybuchu wulkanu.

– A jeżeli nas ogarną?

– Nie ma obawy.

– A jeżeli się udusimy?

– Nie, i to nam nie grozi; studnia rozszerza się i jeśli zajdzie potrzeba, opuścimy tratwę i schronimy się w jakiejś rozpadlinie.

– A woda? Przecież woda wciąż się podnosi?

– Nie ma już wody, Akselu, tylko rodzaj gęstej lawy, która wypycha nas do wylotu krateru.

Istotnie słup wody znikł ustępując miejsca dość gęstym, wrzącym materiom. Temperatura stawała się nie do wytrzymania i termometr wskazywałby niezawodnie przeszło siedemdziesiąt stopni. Gdyby nie pęd, z jakim uciekaliśmy w górę, groziłoby nam uduszenie?

Jednakże profesor nie ponowił propozycji opuszczenia tratwy i słusznie postąpił. Te kilka kłoców, zdawałoby się lichy ze sobą połączonych, tworzyło jednak solidny pomost, dając nam punkt oparcia, którego byśmy nigdzie indziej nie znaleźli.

Około ósmej rano zaszedł po raz pierwszy pewien dziwny incydent. Ruch ku górze ustał nagle. Tratwa znieruchomiła.

– Co się stało? – zapytałem, poruszony tym niespodziewanym postojem, na który zareagowałem jak na nowy wstrząs.

– Zatrzymaliśmy się – odparł wuj.

– Czyżby wybuch się uspokajał?

– Mam nadzieję, że nie.

Wstałem. Spróbowałem rozejrzeć się wokoło. Może tratwa, powstrzymana przez występ skalny, stawiała chwilowy opór lawie? W tym wypadku należało jak najprędzej oswobodzić tratwę.

Ale nic podobnego nie zaszło. Po prostu słup popiołu, żużlu i odłamków skalnych przestał podnosić się ku górze.

– Czyżby wybuch miał ustać?! – zawołałem.

– Widzisz, teraz obawiasz się tej ewentualności – syknął wuj. – Ale bądź spokojny, to nie przeciągnie się długo; ten postój trwa już pięć minut i wkrótce znów zaczniemy wznosić się ku wylotowi krateru.

Mówiąc to profesor nie odrywał oczu od zegarka i niebawem przepowiednia jego sprawdziła się. Wkrótce tratwa zaczęła posuwać się w górę szybko i nierównomiernie. Po upływie mniej więcej dwóch minut zatrzymała się znowu.

– Zgadza się – powiedział profesor śledząc ruch wskazówek. – Za dziesięć minut ponownie ruszy w drogę.

– Za dziesięć minut?

– Tak jest. Mamy do czynienia z wulkanem, którego działalność jest przerywana. Podwala nam odetchnąć wraz z sobą.

Słowa te sprawdziły się co do joty. W ściśle wyznaczonym przez wuja momencie popędziliśmy dalej z niezwykłą szybkością; musieliśmy z całej siły trzymać się kłoców, aby nie spaść z tratwy, po czym znów napór ustał.

Od tej pory nieraz zastanawiałem się nad tym osobliwym zjawiskiem i nie umiałem znaleźć dlań właściwego wytłumaczenia. To jedno wydaje mi się pewne, że nie znajdowaliśmy się w głównym kominie wulkanu, lecz w bocznym, gdzie działalność erupcyjna była słabsza.

Nie umiem powiedzieć, ile razy powtórzyła się ta jazda z przystankami; mogę tylko stwierdzić z całą pewnością, że ilekroć ruch rozpoczynał się na nowo, siła pędu wzrastała, jakby unosił nas prawdziwy pocisk. Podczas postojów formalnie dusiliśmy się, a podczas rzutów w górę rozpalone powietrze tamowało nam oddech. Przez chwilę wyobrażałem sobie, jaką rozkoszą byłoby znaleźć się nagle w strefach północnych, gdzie zimno dochodzi do trzydziestu stopni poniżej zera. Ponosiła mnie podniecona wyobraźnia, spacerowałem po śnieżnych polach, marzyłem o chwili, gdy tarzać się będę po lodowych kobiercach bieguna! Stopniowo jednak głowa moja, rozbita przez te powtarzające się wstrząsy, zatraciła częściowo świadomość. Gdyby nie Hans, nieraz roztrzaskałbym sobie czaszkę o granitową opokę.

Toteż nie zachowałem jasnego wspomnienia o tym, co zaszło w ciągu następnych godzin. Przypominam sobie tylko jak przez mgłę nieustające detonacje, dygotanie skalnego masywu, ruch obrotowy traty. Bujała się na falach lawy wśród deszczu popiołów. Zewsząd otaczały ją huczące płomienie. Huragan, pochodzący jak gdyby z jakiegoś olbrzymiego wentylatora podsycał podziemne ognie. Po raz ostatni zamajaczyła mi w odblasku pożogi twarz Hansa i jedno jedyne uczucie opanowało wszystko inne – paniczne przerażenie skazańca uwięzającego u wylotu armaty w chwili, gdy ma paść strzał, by rozszarpane jego członki wyrzucić w powietrze.

Kiedy otworzyłem oczy, poczułem, że mocne ramię przewodnika obejmuje mnie w pół. Drugą ręką podtrzymywał wuja. Nie doznałem poważniejszych obrażeń, byłem raczej ogólnie poturbowany. Stwierdziłem, iż leżę na zboczu górskim, o dwa kroki od ogromnego leja i najmniejszy nieostrożny ruch mógł mnie tam wtrącić. Hans uratował mnie od śmierci, gdy staczałem się po skłonie krateru.

– Gdzie jesteśmy? – spytał wuj, który wydał mi się wyraźnie poirytowany tym powrotem na powierzchnię Ziemi.

Myśliwy wzruszył ramionami na znak, że nie umie na to pytanie odpowiedzieć.

– Na Islandii? – zapytałem.

– *Nej* – odparł Hans.

– Jak to „nie”?! – zawołał profesor.

– Hans się chyba myli – powiedziałem wstając.

Po niezliczonych niespodziankach tej podróży czekało nas jeszcze jedno zaskoczenie. Spodziewałem się, że zobaczę szczyt pokryty wiecznym śniegiem, wznoszący się wśród jałowych pustynnych stref północnych, oświetlony bladymi promieniami polarnej nieba, położony hen, na najwyższej szerokości geograficznej. Tymczasem, wbrew wszelkim przewidywaniom, leżeliśmy wszyscy trzej na zboczu góry wypalanej żarem słońca, które prażyło nas niemiłosiernie.

Nie chciałem wierzyć własnym oczom; lecz spiekota, w której się smażyłem, wykluczała wszelkie wątpliwości. Wydostaliśmy się z krateru na pół nadzy i słońce, z którego dobrodziejstw nie korzystaliśmy dwa miesiące, okazało się teraz hojne, w światło i ciepło, zalewając nas potokiem jaskrawych promieni.

Kiedy oczy moje przyzwyczyły się do blasku, postarałem się sprostować błąd popełniony przez moją wyobraźnię. Byłem przekonany, że znajdziemy się na Spitsbergenie, i nie miałem wielkiej ochoty z tego rezygnować.

Profesor odezwał się pierwszy:

– Rzeczywiście, to mi nie wygląda na Islandię.

– A może jesteśmy na Wyspie Jana Mayena? – zaryzykowałem pytanie.

– Wykluczone, mój chłopcze. To nie może być wulkan północny z granitowymi stokami i szczytem w śnieżnym kapturze.

– A jednak...

– Spójrz tylko, Akselu, spójrz!

Najwyżej o pięćset stóp nad nami ział krater wulkanu; co kwadrans mniej więcej, przy wtórce potężnych detonacji, wydobywał się z niego słup płomieni pomieszanych z kamieniami, popiołem i lawą. Czułem wyraźnie drżenie góry, oddychającej na modłę wielorybów i wyrzucającej od czasu do czasu ogień i powietrze przez swoje olbrzymie tryskawki. Poniżej, wzdłuż dość stromego zbocza, spływały strugi lawy sięgając na siedemset czy osiemset stóp; wulkan liczył ogółem nie więcej jak jakieś trzysta sążni. Podstawa jego tonęła w prawdziwym wieńcu zielonych drzew, pośród których rozróżniałem oliwki, drzewa figowe oraz krzewy winne obwieszane rumianymi gronami.

Trzeba przyznać, że strefy arktyczne wyglądają inaczej!

Gdy wzrok sięgał poza zielony pierścień roślinności, gubił się w błękicie przepięknego morza czy też jeziora okalającego ten zaczarowany zakątek w ten sposób, iż tworzył on wyspę zaledwie na kilka mil szeroką. Od wschodniej strony widniał mały port, przed nim zaś kilka domostw, statki o osobliwym kształcie kołysały się na szafirowych falach. W oddali z lustra wody wychylały się grupy wysp tak licznych, że przywodziły na myśl olbrzymie mrowisko. Ku zachodowi wznosiły się na widnokręgu jakieś dalekie wybrzeża; na jednych rysowały się błękitne pasma gór o harmonijnym układzie, na innych zaś – bardziej oddalonych – majaczył wyniosły szczyt uwieńczony pióropuszem dymu. Od strony północnej ogromna przestrzeń wód mienił się w promieniach słońca; gdzieś tam sterczał czubek masztu lub żagiel wydęty na wietrze.

Widok ten był zupełnie niespodziewany, toteż jego piękno urzekło nas z tym większą siłą.

– Gdzie my jesteśmy? Gdzie jesteśmy? – powtarzałem półgłosem.

Hans przymykał oczy, zachowując zwykłą obojętność, wuj zaś patrzył nie rozumiejąc nic.

– Nie wiem, jaka to góra, w każdym razie bardzo na niej gorąco – odezwał się wreszcie. – Wybuchy nie ustają i nie po to wyszliśmy cało z erupcji, by oberwać odłamkiem skały po głowie. Zejdźmy i dowiemy się wszystkiego. Zresztą umieram z głodu i pragnienia.

Stanowczo profesor nie miał zamiłowania do kontemplacji. Ja osobiście potrafiłbym siedzieć tu całymi godzinami, niepomny na pragnienie, głód i wyczerpanie. Trzeba było jednak udać się w ślad za towarzyszami.

Stoki wulkanu były bardzo spadziste; ślizgaliśmy się po rozpadlinach pełnych popiołu, omijając strumienie lawy, pełznące niby ogniste węże. W trakcie schodzenia usta mi się nie zamykały – wyobraźnia moja była zbyt rozigrana, by nie miała poszukać ujścia w słowach.

– Jesteśmy w Azji – wykrzyknąłem – na wybrzeżach Indii, na Wyspach Malajskich lub w samym środku Oceanii! Przeszliśmy pół globu i dotarliśmy do antypodów Europy!

– A busola? – wtrącił wuj.

– Rzeczywiście, busola... – odrzekłem z zakłopotaniem. – Jeśli by jej dać wiarę, posuwaliśmy się wciąż na północ.

– A więc wprowadziła nas w błąd?

– W to trudno uwierzyć...

– Chyba że to biegun północny!

– Biegun na pewno nie, ale...

Tkwilo w tym coś niejasnego, czego nie umiałem sobie wytłumaczyć.

Tymczasem zbliżaliśmy się do owego pasa zieleni tak przyjemnego dla oka. Dręczył mnie głód i pragnienie. Na szczęście po dwugodzinnym marszu ujrzelismy uroczy zakątek porośnięty całkowicie oliwkami, granatowcami i krzewami winorośli – robił wrażenie ziemi niczyjej. Zresztą będąc w specyficznej sytuacji, nie przejmowaliśmy się zbyt sprawą, do kogo to wszystko należy. Jakaż to była rozkosz poczuć smak tych pysznych owoców, pochłaniać różowawe winne jagody wprost z grona! Odkryłem w pobliżu, wśród traw, w błogim cieniu drzew, chłodne źródło i z prawdziwą przyjemnością zanurzyliśmy w nim twarze i ręce.

Gdy tak zażywaliśmy rozkoszy wypoczynku, jakieś dziecko ukazało się wśród kępy drzew oliwnych.

– Ach, oto mieszkaniec tej szczęśliwej krainy! – zawołałem.

Był to jakiś ubogi chłopczyna, nędznie przyodziany, o chorowitym wyglądzie. Malca przeraził nasz widok; istotnie, na pół nadzy, z rozwichrzonymi brodami, musieliśmy mieć mocno podejrzaną sylwetkę i jeśli ten kraj nie był krajem złoczyńców, mogliśmy łatwo wzbudzić postrach wśród jego mieszkańców.

Chłopiec chciał dać drapakę, lecz Hans pobiegł za nim i sprowadził go z powrotem, mimo że mały wrzeszczał i wierzgał nogami.

Wuj uspokajał go jak mógł i zapytał piękną niemczyzną:

– Jak nazywa się ta góra, przyjacielu?

Dziecko nie odpowiedziało ani słowa.

– Zatem nie jesteśmy w Niemczech – stwierdził wuj i powtórzył to samo pytanie po angielsku.

Dziecko znów nie zareagowało. Byłem bardzo zaintrygowany.

– Czyżby był niemy?! – zawołał profesor i dumny ze swojej znajomości języków zadał to samo pytanie po francusku.

Chłopiec milczał w dalszym ciągu.

– Teraz spróbujmy włoskiego – rzekł wuj. – *Dove noi siamo?* – zapytał.

– Tak, gdzie jesteśmy? – powtórzyłem z niecierpliwością. Dziecko nic nie odpowiedziało.

– A to dopiero! Czy odezwiesz się nareszcie? – krzyknął wuj, wyraźnie już zirytowany, i pociągnął chłopca za ucho. – *Come si chiama questa isola?*

– Stromboli – odpowiedział pastuszek i wyrwawszy się z rąk Hansa pomknął ku równinie między oliwnymi drzewami. Zapomnieliśmy o nim w jednej chwili. Stromboli! Jakież wrażenie wywarła na mnie ta nieoczekiwana nazwa! Byliśmy więc w centrum Morza Śródziemnego, na archipelagu eolskim, pamiętnym z mitologii, w starożytnej Strongilii, gdzie Eol więził na łańcuchu wiatry i burze. Owe góry na wschodzie to góry Kalabrii! A wulkan wznoszący się na południu, tam na horyzoncie, to Etna, groźna Etna w całej swojej okazałości.

– Stromboli! Stromboli! – powtarzałem raz po raz.

Wuj wtórował mi słowami i gestem. Rzekłbyś – śpiewaliśmy duet!

Ach, cóż za podróż! Cóż za cudowna podróż! Weszliśmy przez jeden wulkan, a wyszliśmy przez drugi, odległy o tysiąc dwieście mil od Sneffelsa, od owej jałowej Islandii leżącej na krańcach świata!

Dziwnym zrzędzeniem losu, który odegrał tak wielką rolę w tej wyprawie, znaleźliśmy się oto w sercu najpiękniejszej krainy świata. Porzuciliśmy strefę wiecznych śniegów dla strefy nie przemijającej zieleni, opuściliśmy szarą mgłę obszarów lodowych, by wrócić pod lazurowe niebo Sycylii!

Po wyśmienitym posiłku składającym się z owoców i źródlanej wody ruszyliśmy dalej, kierując się w stronę portu. Przez ostrożność woleliśmy nie mówić, w jaki sposób dostaliśmy się na wyspę – zabobonni Włosi nie omieszkaliby wziąć nas za szatanów wyrzuconych z czeluści piekła. Musieliśmy więc zadowolić się rolą zwykłych rozbitków. Było to wprawdzie nie tak chwalebne, ale za to bezpieczniejsze.

W drodze dosłyszałem szept wuja:

– Co z tą busolą? Przecież busola wskazywała północ! Czym wytłumaczyć ten fakt?

– Dalibóg! Najprostsza rzecz nie tłumaczyć go odrzekłem z wyraźnym lekceważeniem.

– Cóż znowu! Wstyd, żeby profesor Johanneum nie potrafił zgłębić przyczyny takiego zjawiska.

Wypowiadając te słowa wuj – na pół nagi, ze skórzaną kiesą uwiązaną u pasa, z okularami sterczącymi na nosie – stał się znów groźnym profesorem mineralogii.

W godzinę po wyjściu z gaju oliwnego doszliśmy do portu San Vincenzo, gdzie Hans upomniał się o zapłatę za trzynasty tydzień służby. Wuj wręczył mu ją, serdecznie ściskając jego dłoń.

Aczkolwiek w tym momencie przewodnik nie podzielał naszego niekłamanego wzruszenia, niemniej pozwolił sobie na odruch niebywałej wprost wylewności.

Czubkiem palców dotknął lekko naszych dłoni i uśmiechnął się promiennie.

Oto epilog opowieści, której nie zechcą dać wiary nawet ludzie przyzwyczajeni nie dziwić się niczemu. Lecz jestem zawczasu przygotowany na ludzką nieufność.

Rybacy – mieszkańcy wyspy – okazali nam wszelkie względy należne rozbitkom. Dali nam żywność i odzież. Czekaliśmy dwie doby, a potem, 31 sierpnia, mały stateczek zabrał nas do Mesyny, gdzie odpoczywaliśmy kilka dni, by przyjść do siebie po trudach wyprawy.

W piątek, 4 września, weszliśmy na pokład „Volturne’a”, francuskiego statku pocztowego. W trzy dni później wylądowaliśmy w Marsylii i nic nie mąciłoby naszego spokoju, gdyby nie problem busoli. Ten niezrozumiały fakt drażnił nas niebywale. 9 września wieczorem przyjechaliśmy do Hamburga.

Nie podejmuję się opisać ani zdumienia Marty, ani radości Grety.

– Teraz, kiedy zostałeś bohaterem, nigdy nie będziesz potrzebował już mnie opuszczać, Akselu – powiedziała moja ukochana narzeczona.

Nie mogłem od niej oczu oderwać, a ona śmiała się przez łzy.

Łatwo sobie wyobrazić, jaką sensacją w Hamburgu wywołał powrót profesora Lidenbrocka. Wskutek niedyskrecji Marty wiadomość, że wyruszył, by zbadać wnętrze Ziemi, rozeszła się po całym świecie. Nikt nie chciał w to wierzyć, a gdy profesor wrócił zdrowy i cały, tym bardziej nie wierzone w taką wyprawę.

Jednakże obecność Hansa oraz różne wiadomości, które dotarły z Islandii, wpłynęły stopniowo na zmianę opinii publicznej.

Wówczas wuj stał się wielkim człowiekiem, ja zaś siostrzeńcem wielkiego człowieka, co również nie mało znaczy. Hamburg urządził szereg uroczystości na naszą cześć. W Johanneum było się publiczne posiedzenie, na którym profesor złożył sprawozdanie ze swojej ekspedycji, przemilczając jedynie fakty dotyczące busoli. Tego samego dnia ofiarował archiwum miejskiemu rękopis Saknussemma, wyrażając szczerzy żal, iż musiał ustąpić wobec nie sprzyjających okoliczności i nie dotarł po śladach islandzkiego podróżnika do środka globu. Mimo zdobytej sławy profesor zachowywał się skromnie, czym zyskał jeszcze większą popularność.

Siłą rzeczy znaleźli się i tacy, którzy patrzyli zawistnym okiem na sukcesy mego wuja, a ponieważ teorie jego, opierające się na niezbitych faktach, przeczyły hipotezom o ognistym jądrze Ziemi, prowadził słowem i pismem świetne polemiki z uczonymi całego świata.

Ja osobiście nie uznaję jego teorii o oziębieniu – wbrew temu, co widziałem, wierzę i nadal wierzyć będę w ciepło wewnętrzne, przyznaję jednak, że pewne, mało znane jeszcze okoliczności, przy współdziałaniu określonych zjawisk przyrody, mogą wpłynąć na zmianę tego prawa.

Gdy problemy te wzbudzały najgorętsze zainteresowanie, spotkało wuja wielkie zmartwienie.



Mimo usilnych jego nalegań Hans opuścił Hamburg; człowiek, któremu tyle zawdzięczaliśmy, nie pozwolił nam spłacić długu wdzięczności. Ogarnęła go nostalgia za krajem rodzinnym.

– *Färval* – rzekł pewnego dnia; po tym krótkim pożegnaniu wyruszył w drogę do Rejkjaviku i przybył tam szczęśliwie.

Przywiązaliśmy się ogromnie do dzielnego myśliwego; jakkolwiek nie pozostał z nami, zachowamy na zawsze w pamięci tego, który uratował nam życie. Muszę stanowczo jeszcze raz go przed śmiercią zobaczyć!

Na zakończenie trzeba dodać, że nasza wyprawa do wnętrza Ziemi wywołała wielką sensację na całym świecie. Opis jej wydano i przetłumaczono na wszystkie języki; popularne pisma wrywały sobie nawzajem najważniejsze jej fragmenty – były one komentowane, roztrząsane, atakowane i bronione z jednakowym przekonaniem zarówno przez entuzjastów, jak i niedowiarków.

Wuj zdobył sławę już za życia, i to taką, że niejaki Barnum, właściciel cyrku i muzeum osobliwości, zaproponował mu „wystawienie go na pokaz” w Stanach Zjednoczonych za wysoką opłatą.

Lecz sławę tę mąciła tajona zgrzyzota, śmiało powiedzieć można – udręka. Pewien fakt pozostał dotychczas nie wyjaśniony, mianowicie sprawa busoli. Otóż dla uczonego zjawisko nie dające się wytłumaczyć stało się z czasem istną obsesją. Los jednak postarał się o to, by wuj i pod tym względem był całkowicie szczęśliwy.

Pewnego dnia, gdy porządkowałem w gabinecie profesora kolekcję minerałów, wzrok mój padł na ową sławetną busolę i zacząłem ją obserwować.

Od sześciu miesięcy leżała tu w kącie, nie podejrzewając nawet, jakie sprawiała nam kłopoty.

Nagle osłupiałem po prostu. Krzyknąłem głośno. Przybiegł profesor.

– Co się stało? – zapytał.

– Busola!...

– No i co?

– Igła jej zamiast północy wskazuje południe!

– Co ty mówisz?

– Proszę tylko spojrzeć! Bieguny jej są zmienione!

– Jak to – zmienione?

Wuj patrzył, porównywał i nagle podskoczył do góry, aż dom zadrgał w posadach. Błysk świadomości rozjaśnił jednocześnie i jego, i mój umysł.

– A więc po naszym przybyciu do Przylądka Saknussemma igła tej przeklętej busoli wskazywała północ zamiast południa?! – zawołał profesor, gdy odzyskał znów mowę.

– Bez wątpienia.

– Zatem nasza omyłka wyjaśniła się! Ale jakie zjawisko mogło spowodować to przestawienie biegunów?

– Nic prostszego.

– Powiedz, co o tym myślisz, mój chłopcze.

– W czasie burzy na Morzu Lidenbrocka owa ognista kula która magnesowała żelazo na tratwie, uszkodziła naszą busolę.

– Ach! – zawołał profesor wybuchając śmiechem. – A więc to elektryczność spłatała nam takiego figla?

Począwszy od tego dnia wuj był najszcześliwszym z uczonych, a ja najszcześliwszym z ludzi, gdyż moja śliczna Greta, zrzekając się pozycji pupilki, osiągnęła w domu na Königsstrasse podwójną godność: siostrzenicy i żony. Chyba nie trzeba dodawać, że wujem jej został sławny profesor Lidenbrock, członek-korespondent wszystkich towarzystw naukowych, geograficznych oraz mineralogicznych pięciu części świata.

---

\* Najada - w mitologii greckiej boginka opiekująca się źródłem lub strumieniem.

\* Mowa tu o stopie będącej dawną francuską miarą długości; liczyła ona około 32 cm.

\* Mila - używana dawniej we Francji miara długości równa 4 km.

\* Obecnie wiadomo, że temperatura ta wynosi  $-290^{\circ}$ .

\* *Et quacumque...* (łac.) - Jakąkolwiek drogę wyznaczy nam los - pójdziemy nią!

\* Boër - chata islandzkiego chłopca (przyp. autora).

\* Kolos rodyjski - posąg z brązu liczący 31 m, wzniesiony w porcie na wyspie Rodos w III w. przed n.e.

\* Okres sylurski nazywa się tak dlatego, że tereny uformowane w tym czasie znajdują się między innymi w Anglii w okolicach, gdzie mieszkały ongiś celtyckie plemiona Sylurów (przyp. autora).

\* Woryginalie *toise*, dawna francuska miara długości licząca 1,94 m.

\* Cuvier Georges (1769-1832) - sławny przyrodnik francuski, twórca paleontologii i anatomii porównawczej.

\* Ajaks - jeden z bohaterów „Iliady” Homera.

\* Kąt twarzowy tworzą dwie płaszczyzny; jedna mniej lub więcej pionowa jest styczną czoła i zębów przednich, druga - pozioma - przechodzi przez otwór ucha i dolną część kości nosowej. Prognatyzm w języku antropologicznym to wysunięcie szczęki ku przodowi, zmieniające kąt twarzy (przyp. autora).

\* *Come si chiama questa isola?* (włosk.) - jak się nazywa ta wyspa?